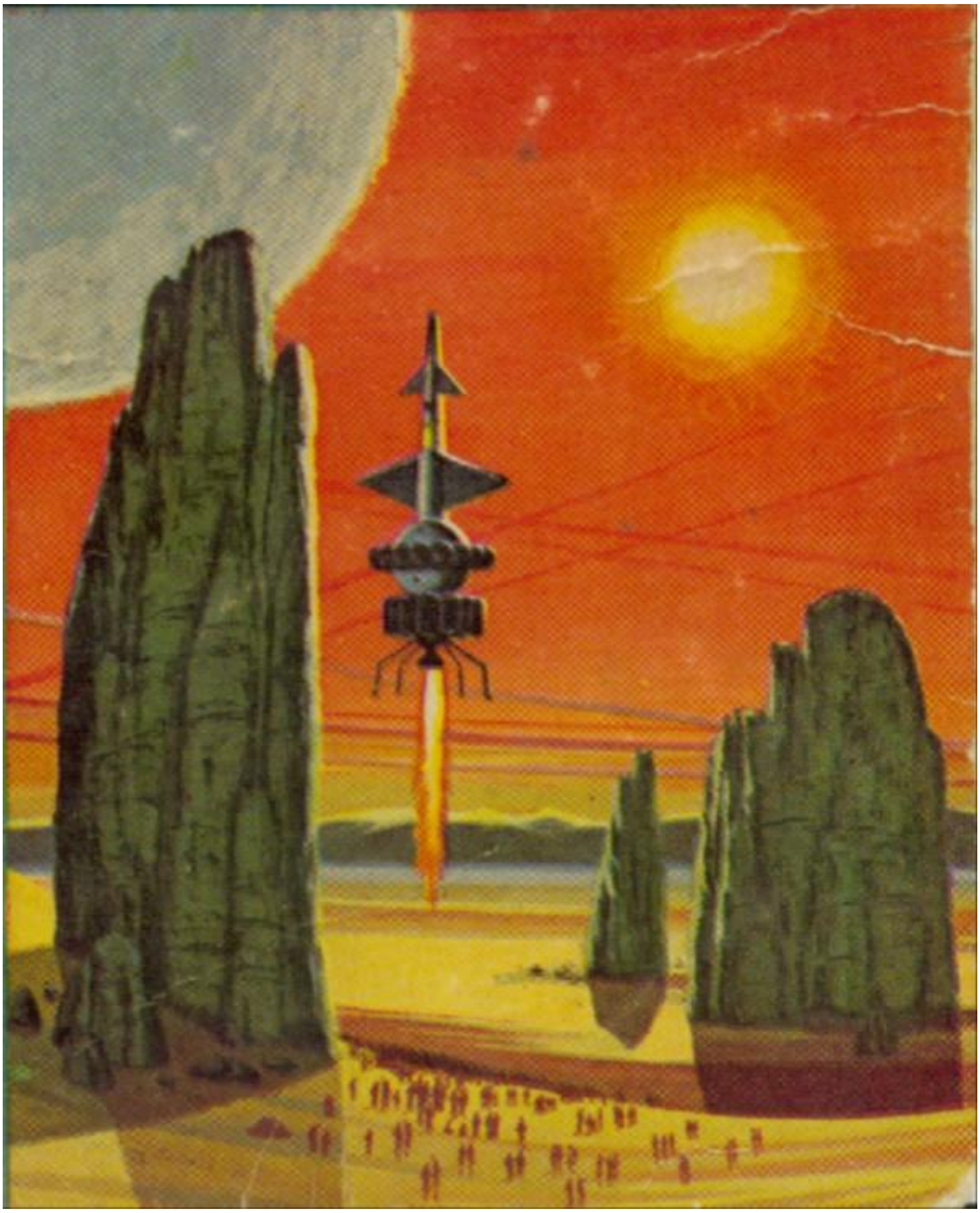


Tom Godwin

Kosmiczne więzienie

(Space Prison)

Pyramid, 1962.
Originally this novel was published by Gnome Press (1958) under the title "The Survivors".

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain
This text is translation of the novel "Space Prison" by Tom Godwin, published by Project Gutenberg, September 9, 2007 [EBook #22549]
According to the included copyright notice:
"Extensive research did not uncover any evidence that the United States copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Translation by Witold Bartkiewicz. Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with almost no restrictions whatsoever. You may copy it, give it away or re-use it under the terms of the Project Gutenberg License available online at www.gutenberg.org

Część I

Przez siedem tygodni statek kosmiczny *Constelation*, niosący na pokładzie osiem tysięcy kolonistów, leciał zanurzony w nadprzestrzeni. Uciekał jak ścigane zwierzę, z milczącymi komunikatorami, a jego silniki dudniły i jęczały z wysiłku. Jak mówiono Irene, na górze w sterówce, wskazówki wszystkich niemal przyrządów w dzień i w nocy tańczyły w pobliżu czerwonych linii wyznaczających granice niebezpieczeństwa.

Leżała w łóżku i wsłuchiwała się w nieustanny stłumiony ryk silników, wyczuwając pojękujące drgania kadłuba. *Do tej pory powinniśmy być już niemal bezpieczni*, pomyślała. *Atena jest już tylko czterdzieści dni drogi stąd*.

Rozmyślania o nowym życiu, jakie ich tam oczekiwało, spowodowały że stała się za bardzo podenerwowana, żeby dłużej tak leżeć. Podniosła się więc, usiadła na krawędzi łóżka i zapaliła światło. Dale'a nie było. Został wezwany do wyregulowania jednej maszyn w gabinecie rentgenowskim statku. Billy zaś smacznie spał, niemal całkowicie zagrzebany pod kołdrą, spod której widać było jedynie czuprynę brązowych włosów i futrzasty nosek jego sfatygowanego misia.

Podeszła do niego aby wygładzić kołdrę, delikatnie, tak by się czasami nie obudził. To stało się właśnie wtedy. Rzecz, której wszyscy się obawiali.

Od strony rufy statku dobiegł odgłos zgrzytliwego, ogłuszającego wybuchu. Statek gwałtownie się przechylił, z wyciem wręg i dźwigarów, a światło zamrugało i zgasło.

W ciemnościach usłyszała szybką serię uderzeń, stuk – stuk – stuk, kiedy automatyczny system bezpieczeństwa, pozatrzaskiwał grodzie pomiędzy poszczególnymi przedziałami, odcinając sekcje statku w nagły sposób pozbawione powietrza. Ciągle jeszcze waliły zamykające się grodzie, kiedy doleciał odgłos kolejnego wybuchu, tym razem od strony dziobu. Potem zapadła cisza; uczucie całkowitego milczenia i bezruchu.

W swoje szpony złapał ją lęk, a umysł przemówił do niej, zimno i beznamiętnie, jakby powiedział to ktoś obcy: *Gernowie nas znaleźli*.

Ponownie zapaliły się światła, słabiutkim blaskiem, a z innych kabin doleciały stłumione dźwięki dopytujących się głosów. Ubrała się, trzęsącymi i zesztywniałymi palcami, pragnąc żeby wrócił Dale i ją uspokoił, żeby jej powiedział, że nie stało się nic tak naprawdę poważnego, że to nie byli Gernowie.

W małej kabinie było bardzo spokojnie, jakoś dziwnie. Skończyła się już ubierać, kiedy zrozumiała co się stało: przestał działać system obiegu powietrza.

Znaczyło to, że awaria zasilania była na tyle poważna, że nie mogły działać nawet regeneratory powietrza. A na *Constellation* było osiem tysięcy ludzi, którzy musieli mieć powietrze, aby przeżyć…

W głośnikach ogólnego systemu komunikacji wewnętrznej, porozmieszczanych wzdłuż wszystkich korytarzy statku, zabrzmiał buczek alarmowy. Po chwili przemówił z nich głos, który rozpoznała jako należący do komandora porucznika Lake'a:

– Dziesięć dni temu Cesarstwo Gern wypowiedziało Ziemi wojnę. Zaatakowały nas dwa krążowniki Gern, a ich blastery zniszczyły rufę i dziób naszego statku. Jesteśmy całkowicie pozbawieni napędu i nie mamy energii poza zmagazynowaną w bateriach alarmowych. Jestem jedynym ocalałym oficerem Constellation, i jeden z oficerów marynarki Gern przechodzi właśnie na nasz pokład, aby przekazać mi warunki kapitulacji.

– Wszyscy mają pozostać w swoich kabinach, dopóki nie zostaną wydane rozkazy aby je opuścić. Jeżeli tylko jest to możliwe, proszę z nich nie wychodzić. Jest to niezbędne dla

uniknięcia zamieszania, oraz aby jak najwięcej osób pozostawało w znanych lokalizacjach, w przypadku odebrania kolejnych instrukcji. Powtarzam: proszę nie opuszczać swoich kabin.

Mówca wyłączył mikrofon. Stała bez ruchu a w głowie ponownie dźwięczały jej słowa: *Jestem jedynym ocalałym oficerem* Constellation…

Gernowie zabili jej ojca.

Był zastępcą dowódcy wyprawy Dunbara, która odkryła planetę Atena, a jego wiedza na temat Ateny była bardzo cenna dla planów kolonizacji. Jego kwatera znajdowała się pomiędzy kwaterami oficerów *Constellation*, a strzał Gernów zniszczył właśnie tamtą sekcję statku.

Ponownie usiadła na krawędzi łóżka, i próbowała się przeorientować, zaakceptować fakt, że zarówno jej życie, jak i życie wszystkich pozostałych, w nieodwołalny sposób, uległo zmianie.

Plan Kolonizacji Ateny był skończony. Wszyscy wiedzieli, że coś takiego może się wydarzyć, to dlatego właśnie Constellation była przygotowywana do drogi w ścisłej tajemnicy, i czekała przez kilka miesięcy, na pojawienie się szansy prześlizgnięcia się przez pierścień statków szpiegowskich Gern. To dlatego właśnie statek pędził z pełną szybkością, z wyłączonymi komunikatorami, tak by nawet ślad promieniowania nie zdradził Gernom jego położenia. Pozostało im już jedynie czterdzieści dni i dolecieliby do zielonej i dziewiczej planety Ateny, czterysta lat świetlnych poza najdalej wysuniętymi granicami Imperium Gern. Tam byliby bezpieczni przed detektorami Gernów przez wiele kolejnych lat, być może nawet na tyle długo, aby udało im się stworzyć środki obrony planety, chroniące ją przed atakiem. Tam mogliby wykorzystać bogate zasoby Ateny, do budowy statków oraz uzbrojenia do obrony wyjałowionej z surowców Ziemi, zapobiegając niebłaganie zaciskającej się wokół niej pętli, zarzuconej przez zimno kalkulującego kolosa, jakim było Imperium Gern.

Sukces albo porażka Planu Ateny, oznaczało ostatecznie życie lub śmierć dla Ziemi. Podjęli wszystkie możliwe środki ostrożności, ale siatka szpiegowska Gern musiała jakoś dowiedzieć się o Atenie i o Constellation. W tej chwili zimna wojna nie była już dłużej zimną, a cały Plan rozsypał się w proch i w pył…

Billy westchnął i poruszył się, śpiąc snem małego dziecka, którego nie były w stanie przerwać strzały zmieniające życie ośmiu tysięcy ludzi i los całej planety.

Potrząsnęła go za ramię i powiedziała:

– Billy.

Usiadł, taki mały i kruchy w jej oczach, że natychmiast w myślach pojawiło jej się pytanie, kłębiące się jak udręczona modlitwa: *Dobry Boże — co Gernowie zrobią pięcioletnim chłopcom*?

Zobaczył wyraz jej twarzy, przyciemnione światło i senność natychmiast z niego opadła.

– Co się dzieje, mamo? I dlaczego jesteś taka wystraszona?

Nie było żadnego powodu, aby go okłamywać.

– Gernowie nas odnaleźli i zatrzymali.

– Och – stwierdził. W jego sposobie zachowania, podobnie zresztą jak zwykle, widać było poważne zamyślenie chłopca, który mógłby być ze dwa raz starszy.

– Czy oni… czy oni nas zabiją?

– Lepiej się ubierz, słonko – powiedziała. – Szybko, tak żebyśmy byli gotowi, kiedy wróci tata, i powie nam co mamy robić.

Oboje czekali już gotowi, kiedy na korytarzach zabrzmiał ponownie buczek alarmowy. Lake ogłosił, ponurym i rozgoryczonym głosem.

– Nie mamy energii do regeneratorów powietrza, i za dwadzieścia godzin zaczniemy się dusić. W tych okolicznościach nie mogę zrobić nic innego, jak tylko zaakceptować warunki przetrwania, zaproponowane nam przez oficera marynarki Gern.

– Teraz to on do przemówi do państwa i proszę wysłuchać jego rozkazów, bez najmniejszego protestu. Jedyną alternatywą jaką mamy, jest śmierć.

Potem rozległ się głos oficera Gern, szybki, szorstki i ostry.

– Sektor przestrzeni, w którym się znajdujemy, włącznie z planetą Atena, położony jest w strefie rozwoju Imperium Gern. Ten statek rozmyślnie najechał terytorium Gern w czasie wojny, z zamiarem zajęcia i eksploatacji planety należącej do Gern. Jesteśmy jednak skłonni podejść do sprawy z wyrozumiałością, która wcale nie jest wymagana w tych okolicznościach. Ziemscy inżynierowie, technicy i robotnicy wyszkoleni w pewnych określonych dziedzinach, mogą być użyteczni w fabrykach, jakie zbudujemy na Atenie. Pozostali nie będą nam potrzebni i nie mamy miejsca na krążownikach, aby zabrać ich ze sobą.

– Na podstawie waszych informacji o zawodzie, podzielimy was na dwie grupy: Zaakceptowanych i Odrzuconych. Odrzuceni zostaną przetransportowani przez krążowniki na znajdującą się w pobliżu planetę typu ziemskiego, i pozostawieni tam razem z osobistymi rzeczami, które przechowują w swoich kabinach, oraz dodatkowymi i to dużymi zapasami. Zaakceptowani zostaną zabrani na Atenę, a w późniejszym terminie krążowniki odwiozą Odrzuconych z powrotem na Ziemię.

– Ten podział spowoduje rozłączenie rodzin, ale nie wolno się temu opierać. Strażnicy Gern, którzy dokonają podziału, zostaną wysłani natychmiast, a wy macie czekać na nich w swoich kabinach. Będziecie bezzwłocznie wykonywać wszystkie ich rozkazy, i zabrania się drażnić ich niepotrzebnymi pytaniami. Przy pierwszej oznace oporu lub buntu, powyższa oferta zostanie wycofana, i krążowniki ponownie wyruszą w swoją drogę.

W ciszy, jaka nastąpiła po wygłoszonym ultimatum, mogła dosłyszeć podszyte niepokojem szmery z innych kabin. W każdej kabinie rodzice i dzieci, bracia i siostry, spoglądali na siebie być może po raz ostatni…

W korytarzu na zewnątrz rozebrzmiał tupot nóg, odgłos kroków kilkunastu Gernów, maszerujących szybko, z wojskową precyzją. Wstrzymała oddech, a jej serce łomotało w szaleńczym tempie, ale minęli jej drzwi i poszli dalej, na koniec korytarza.

Stamtąd usłyszała stłumione odgłosy otwieranych drzwi, potem wchodzili do środka, dopytywali się o nazwiska, i mówili: *Na zewnątrz... na zewnątrz*! Raz usłyszała jak Gern mówi:

– Zaakceptowani mają pozostać w środku, aż do otrzymania dalszych poleceń. Nie otwierać drzwi, dopóki nie zostaną stąd zabrani Odrzuceni!

Billy dotknął jej ręki.

– Tatuś nie przyjdzie?

– On… on w tej chwili nie może. Niedługo się znowu zobaczymy.

Przypomniała sobie, co oficer Gern powiedział o tym, że Odrzuconym zezwala się na zabranie rzeczy osobistych. Miała bardzo mało czasu, żeby spakować razem, to co powinna wziąć…

W kabinie miała jedynie dwie małe torby, i szybko spakowała je różnymi rzeczami, jakich mogli potrzebować ona, Dale i Billy. Nie wiedziała przecież, które z nich, jeżeli w ogóle któreś, zostanie Odrzucone. Nie miała również pojęcia, czy powinna zabrać ze sobą

ubrania przydatne na zimnej planecie, czy na gorącej. Oficer Gern mówił, że Odrzuceni zostaną pozostawieni na planecie typu ziemskiego, ale gdzie to mogło być? Ekspedycja Dunbara pokonała pięciuset lat świetlnych, i znalazła tylko jedną planetę typu ziemskiego, Atenę.

Kiedy skończyła, Gernowie byli już niemal u jej drzwi. Usłyszała właśnie jak otwierają drzwi kabiny naprzeciwko niej. Doleciały stamtąd ostre, krótkie pytania, a następnie rozkaz:

– Na zewnątrz… szybko!

Kobieta spytała o coś błagalnym tonem, w odpowiedzi rozległ się tylko głuchy odgłos uderzenia i słowa:

– Na zewnątrz! Bez żadnych pytań!

Chwilę później usłyszała jak kobieta odchodzi dalej korytarzem, próbując powstrzymać płacz.

Potem Gernowie znaleźli się w jej drzwiach.

Trzymała Billy'ego za rękę i czekała na nich z walącym sercem. Trzymała wysoko uniesioną głowę, i przygotowała się z całą determinacją, jaką tylko zdołała w sobie znaleźć, tak by aroganccy Gernowie nie zobaczyli, jak bardzo się boi. Billy stał tuż koło niej, wyprostowany na całą wysokość, jaką mogło osiągnąć ciało pięciolatka, niosąc pod pachą misia. I tylko w sposób jaki trzymał swoją dłoń w jej, pokazywał, że on również był bardzo wystraszony.

Drzwi stanęły otworem, i do środka weszło dwóch Gernów.

Byli to wielcy, ciemnowłosi mężczyźni, o potężnych, rozpychających mundury mięśniach. Obrzucili ją oraz pomieszczenie szybkim spojrzeniem błyszczących jak kawałki obsydianu oczu, z zaciśniętymi ustami, okrutnymi szramami na płaskich, brutalnych twarzach.

– Twoje nazwisko – warknął ten, który niósł ze sobą plik kartek z rejestrów zawodowych.

– Nazywam się – próbowała powstrzymać drżenie w głosie, i spowodować, że będzie brzmiał chłodno i bez cienia strachu, – Irene Lois Humbolt… Jestem żoną pana Dale'a Humbolta.

Gern zerknął w papiery.

– Gdzie jest twój mąż?

– Był w gabinecie rentgenowskim kiedy…

– Jesteś Odrzucona. Na zewnątrz… i dalej korytarzem, razem z innymi.

– Mój mąż… czy on będzie…

– *Na zewnątrz*!

To był ten sam ton głosu, który w kabinie naprzeciwko poprzedził uderzenie, a Gern robił już szybki krok w jej kierunku. Schwyciła obie torby w jedną rękę, nie chcąc wypuścić Billy'ego, i szybko odwróciła się, by pośpieszyć na korytarz. Drugi z Gernów wyszarpnął jej z ręki jedną torbę, i rzucił ją na podłogę.

– Tylko jedna torba na osobę – oznajmił i niecierpliwie odepchnął ją mocno, tak że potykając się przeleciała razem z Billym przez drzwi.

Stała się jedną z grupy Odrzuconych, których pędzono korytarzem jak stado owiec i prowadzono dalej w stronę śluzy powietrznej. Pośród nich było wiele dzieci, bardzo małych, wystraszonych i zapłakanych, często mających tylko jedno z rodziców, albo starszego brata lub siostrę, którzy mogli się o nie zatroszczyć. Było również wiele takich, które nie miały zupełnie nikogo i uzależnione były od obcych, trzymających je za rękę, i mówiących co muszą zrobić.

Kiedy mijała korytarz, prowadzący do gabinetu rentgenowskiego, zobaczyła pędzoną stamtąd inną grupę Odrzuconych. Dale'a nie było wśród nich i wtedy zdała sobie sprawę, że ona i Billy już go nigdy nie zobaczą.

– **W**ychodzić ze statku… szybciej… szybciej…

Rozkazy strażników Gern trzaskały wszędzie dookoła jak bicze, poganiając ją i innych Odrzuconych, stłoczonych i potykających się, spychały ich biegiem po rampie i dalej, ze statku na skalistą ziemię. Straszliwa siła ciężkości, jakiej nigdy wcześniej jeszcze nie doświadczyli, przyginała ich wręcz do ziemi. Znajdowali się w ponurej, pustynnej dolinie, w której łkały tylko zimne wiatry, wzbijające gorzkie chmury alkalicznych pyłów. Dookoła doliny sterczały postrzępione skaliste wzgórza, z ich białych wierzchołków spływały smugi niesionego przez wiatr śniegu, a niebo ciemniało już po zachodzie słońca.

– Wychodzić ze statku… szybciej…

Przy dużym ciążeniu trudno było iść szybko, niosąc w jednej ręce torbę, a w drugiej podtrzymując tak dużą część wagi Billy'ego, jaką tylko mogła od niego przejąć.

– Okłamali nas! – powiedział do kogoś idący obok niej mężczyzna. – Zawracajmy i walczmy. Weźmy…

Rozległ się trzask blastera jednego z Gernów, i jednocześnie wystrzeliło z niego jaskrawe wyładowanie, a mężczyzna padł martwy na ziemię. Instynktownie odsunęła się od niego i przewróciła na jakiejś niewidocznej skale, torba z cennymi ubraniami wyleciała jej z ręki. Szybko się znowu podniosła, z odrętwiałym lewym kolanem, i odwróciła się by ją odzyskać.

Strażnik Gern był już przy niej, ciągle trzymając w ręku blaster.

– Wychodzić ze statku… szybciej.

Lufa jego blastera trzasnęła ją w bok głowy.

– Ruszać się… ruszać się…

Zatoczyła się w oślepiającym płomieniu bólu, a potem pośpieszyła dalej, trzymając mocno rękę Billy'ego. Wiatr bezlitośnie ciął przez cienkie ubranie, jak lodowatym ostrzem, a po policzku stróżką spływała jej krew.

– On cię uderzył – powiedział Billy. – Zranił cię. – Potem obdarzył Gerna określeniem, jakiego zdecydowanie nie powinien znać pięcioletni chłopiec, i z taką gwałtownością, jakiej pięcioletni chłopiec również nie powinien w sobie posiadać.

Kiedy udało jej się stłumić oślepiającą poświatę bólu, zobaczyła, że wszyscy ludzie zostali już wypędzeni z krążownika, a strażnicy wchodzili już z powrotem na pokład. Pół mili dalej, wzdłuż doliny, stał drugi krążownik, z którego Odrzuceni również zostali już wygnani, a rampy ładunkowe były wciągnięte na swoje miejsce.

Kiedy zapięła mocniej bluzę Billy'ego i otarła trochę krew z twarzy, od strony dalszego z krążowników doleciał pierwszy błysk odrzutu rakiet. Bliższy z nich uruchomił silniki chwilę później, i obydwa zaczęły się wznosić niemal jednocześnie, wypełniając rykiem całą dolinę. Leciały w górę coraz szybciej i szybciej, zmniejszając swoje rozmiary w miarę pokonywanej odległości. Potem znikły gdzieś w czarnym niebie, ryk ich silników ucichł w oddali, i po chwili wokoło słychać było już tylko łkanie wiatru, a gdzieś nieco dalej płacz dziecka.

Czyjś głos zapytał:

– Gdzie my jesteśmy? W imię Boże — co oni nam zrobili?

Spojrzała na śnieg spływający z postrzępionych wzgórz, poczuła siłę przyciągania, i już wiedziała, gdzie się znaleźli. Byli na Ragnarok, piekielnej planecie o półtora razy większej grawitacji, pełnej dzikich zwierząt, na której szalały zarazy, gdzie ludzie nie byli w stanie przeżyć. Nazwa pochodziła ze starych mitów germańskich i oznaczała: *Ostatni dzień dla bogów i ludzi*. Ragnarok odkryła ekspedycja Dunbara i ojciec opowiadał jej o niej, o tym jak z ośmiu ludzi którzy opuścili statek, sześciu zginęło niemal natychmiast, a nie przeżyłby nikt, gdyby pozostali na niej choćby parę chwil dłużej.

Wiedziała już gdzie byli, i zdawała sobie sprawę, że Gernowie okłamali ich, i że nigdy nie przyślą statku, który by ich zabrał na Ziemię. Ich porzucenie tutaj było absolutnie zamierzone, i miało spełniać rolę wyroku śmierci dla nich wszystkich.

A nie było z nimi Dale'a, i ona oraz Billy mieli umrzeć bezradnie i samotnie…

– Będzie ciemno — i to wkrótce. – Głos Billy'ego drżał z zimna. – Co zrobimy jak tatuś nie będzie mógł nas znaleźć w ciemności?

– Nie wiem – odparła. – Nikt nam tu nie pomoże, a ja nie wie wiem jak… co powinniśmy zrobić…

Pochodziła z miasta. Skąd więc miała wiedzieć, co robić na obcej wrogiej planecie, gdzie zginęli uzbrojeni badacze. Próbowała grać odważną przed Gernami, ale teraz… teraz noc była już bardzo blisko, a z jej mroków w każdej chwili mogła niespodziewanie wychynąć groza i śmierć, dla niej samej i dla Billy'ego. Mogą już nigdy nie zobaczyć Dale'a, nigdy nie zobaczyć Ateny lub Ziemi, albo nawet świtu na tej planecie, która ich zabije.

Próbowała powstrzymać płacz, ale nie udało się jej. Zimna mała rączka Billy'ego dotknęła jej własnej, próbując ją trochę pocieszyć.

– Nie płacz, mamusiu. Wydaje mi się… wydaje mi się, że wszyscy pozostali są również mocno wystraszeni.

Wszyscy pozostali…

Nie była tu sama. Jak w ogóle mogła pomyśleć, że jest sama? Wszędzie dookoła niej było mnóstwo innych ludzi, tak samo bezradnych i niepewnych jak ona. Jej los był tylko jednym z czterech tysięcy.

– Mnie też się wydaje, że są, Billy – powiedziała. – Nigdy wcześniej o tym tak nie pomyślałam.

Uklękła, żeby objąć go ramionami i myślała: *Łzy i strach to kiepska broń. W żaden sposób nie dadzą nam lepszego jutra. Będziemy musieli walczyć ze wszystkim, co będzie chciało nas zabić, niezależnie od tego jak bardzo będziemy wystraszeni. Dla nas samych i dla naszych dzieci. A przede wszystkim, dla naszych dzieci…*

– Muszę wrócić, żeby znaleźć nasze ubrania – oznajmiła. – Ty poczekaj na mnie tutaj, w ukryciu tej skały. Nie idę na długo.

Potem powiedziała mu jeszcze coś, do czego mógł być ciągle za młody, żeby to naprawdę zrozumieć.

– Nie mam zamiaru już nigdy więcej płakać, i teraz już wiem, co muszę zrobić. Będę walczyła o zapewnienie dla ciebie jutra, zawsze, aż do ostatniego tchu w piersi.

Jasna błękitna gwiazda z wolna zaczęła ciemnieć, inne zaś już całkowicie pogasły. Brzask dotknął nieba, przynosząc ze sobą zimno, które pokryło szronem stal strzelby w rękach Johna Prentissa i utworzyło paciorki lodu na jego szarych wąsach. W położonym za nim obszarze rozpoczęła się krzątanina, kiedy zmęczeni Odrzuceni przygotowywali się do stawienia czoła nowemu dniu, a skądś dobiegł głos piszczącego z zimna dziecka. Poprzedniego dnia nie było czasu, aby przed wieczorem zebrać drewno na ogniska…

– *Szperacze*!

Ostrzegawczy krzyk pochodził od jednego z zewnętrznych posterunków, i z mroków świtu nagle zaczęły się wylewać czarne cienie.

Stworzenia te najlepiej można określić jako na wpół wilki, na wpół tygrysy, każde z nich stanowiło trzysta funtów niewiarygodnej dzikości, z oczyma płonącymi jak żółte ognie, na ich tygrysio-wilczych pyskach. Nadbiegały jak wiatr, płynącą czarną falą, i przedarły się przez linię zewnętrznych posterunków, tak jakby w ogóle jej nie było. Strażnicy na linii wewnętrznej dali ognia, klekoczącym staccato wystrzałów, próbując zmusić je do odwrotu. Prentiss przyłączył się do prowadzonego ognia, a jego strzelba zaczęła wyrzucać z siebie

blade języki płomieni. Szperacze parły naprzód, przedzierając się przez obronę, część z nich jednak padła trupem, a inne zostały zepchnięte przez ogień karabinowy, tak że zaatakowały jedynie zewnętrzną krawędź obszaru, na którym zgrupowali się Odrzuceni.

Na taką odległość, zlewały się z ciemnym podłożem, tak że nie był w stanie znaleźć żadnego celu dla swojej strzelby. Mógł tylko przyglądać się bezradnie jak na ich drodze znalazła się ciemnowłosa kobieta, próbująca uciekać z dzieckiem w ramionach, pomimo że już zdała sobie sprawę, że jest za późno. W jej stronę biegł jakiś mężczyzna z siekierą w ręku, zbyt wolny w warunkach wysokiej grawitacji, wywarkując wściekłe, dzikie przekleństwa. Przez moment jej biała twarz odwróciła się do niego oraz do innych, w bezradnym wezwaniu, po chwili jednak szperacze już się na nią rzuciły i upadła rozmyślnie na ziemię, przyciskając pod sobą trzymane w ramionach dziecko, tak by jej ciało je ochroniło.

Szperacze przetoczyły się ponad nią, przystając tylko na moment, by przeciąć jej życie, i ponownie mknąc dalej. Znikły gdzieś w ciemnościach na zewnątrz, odprowadzane przez niecelne strzały dalej stojących strażników, a potem zapadła cisza, przerywana jedynie odległym histerycznym kobiecym szlochem.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Był to piąty atak szperaczy tej nocy, i to o najłagodniejszym przebiegu.

Do czasu zanim nadszedł pełny świt, zastąpił zabitych w ostatnim ataku strażników, i wykonał kilka obchodów, sprawdzających inne posterunki. Wrócił na miejsce, gdzie szperacze zabiły kobietę, ze znużeniem pokonując podczas marszu zwiększone przyciąganie grawitacyjne. Leżała na ziemi, ze skłębionymi czarnymi włosami, zabrudzonymi krwią, a jej biała twarz odwróciła się w górę, w stronę poczerwieniałego nieba. Po raz pierwszy zobaczył wyraźnie jej rysy.

To była Irene.

Zatrzymał się, ściskając bezwiednie zimną stal strzelby, nie czując nawet jak jej muszka wbija mu się w rękę.

Irene… Nie zdawał sobie sprawy, że była na Ragnarok. Nie dostrzegł jej nigdzie w ciemnościach nocy, i miał nadzieję, że ona oraz Billy są bezpieczni z Dalem, pomiędzy Zaakceptowanymi.

Usłyszał odgłos kroków i obok niego stanęła dziewczyna w czerwonej spódnicy, o śmiałej twarzy, a jej spojrzenie przewędrowało po nim z ciekawością.

– Ten mały chłopiec – spytał ją, – czy wiesz, czy wszystko z nim w porządku?

– Szperacze poraniły mu twarz, ale wszystko z nim w porządku – odparła. – Wróciłam po ubrania dla niego.

– Czy zaopiekujesz się nim?

– Ktoś musi to zrobić, a ja – wzruszyła ramionami – myślę, że byłam na tyle miękka, żeby wybrać się sama do tej pracy. Dlaczego pytasz — czy jego matka była twoją przyjaciółką?

– Ona była moją córką – stwierdził krótko.

– Och. – Na chwilę śmiały, zuchowaty wygląd zniknął z jej twarzy, jak maska, która właśnie opadła. – Bardzo mi przykro. I zaopiekuję się Billym.

Pierwszy sprzeciw przeciwko jego przywództwu, wydarzył się godzinę później. Z nadejściem pełni dnia, szperacze wycofały się, i można było zacząć zbierać gałęzie z drzew, dla rozpalenia ognisk. Mary, jedna z kucharek ochotniczek, poprosiła dwóch przechodzących obok ludzi o przyniesienie jej trochę wody. Mniejszy z mężczyzn, wziął jeden z

prymitywnych pojemników, pośpiesznie zaimprowizowanych z brezentu, i ruszył w kierunku strumienia. Drugi z nich, wielki człowiek o potężnej klatce piersiowej, nawet się nie ruszył.

– Musimy mieć wodę – przekonywała go Mary. – Ludzie są głodni, przemarznięci i chorzy.

Mężczyzna nadal kucał przy ogniu, wyciągając ręce w stronę ciepła.

– Zawołaj kogoś innego – odburknął tylko.

– Ale…

Z niepewnością popatrzyła na Prentissa. Podszedł do mężczyzny o potężnej klatce piersiowej, wiedząc że skończy się to użyciem przemocy, i przyjmując to jak coś, co pomoże mu odpędzić wizję bladej twarzy Irene, zimnej twarzy pod czerwonym niebem.

– Pani poprosiła cię, abyś przyniósł jej trochę wody. Idź i przynieś.

Człowiek popatrzył na niego w górę, przyglądając mu się przez chwilę z rozmyślną bezczelnością. Potem podniósł się na nogi, a jego ciężkie ramiona przygarbiły się wyzywająco.

– Będę musiał cię trochę naprostować, dziadku – wycedził przez zęby. – Nikt z nas tutaj, nie wyznaczył cię na szefa tego bajzlu dookoła. A teraz, tutaj jest pojemnik, który chcesz napełnić, a tam – wykonał lekki ruch jedną ręką – jest strumień. Chyba wiesz, co masz zrobić?

– Tak – powiedział, – wiem co mam zrobić.

Machnął kolbą strzelby, uderzając od dołu. Trafił mężczyznę w dół podbródka, i rozległ się ostry trzask pękającej dolnej szczęki. Przez ułamek sekundy na twarzy tamtego pojawił się wyraz osłupienia i zdumienia, a potem jego oczy się zaszkliły, i upadł na ziemię ze złamaną i sterczącą na boki żuchwą.

– W porządku – powiedział do Mary. – Teraz idź i zawołaj kogoś innego.

Stwierdził, że szperacze podczas nocy zabiły siedemdziesiąt osób. Dodatkowe ponad sto umarło od Piekielnej Gorączki, która często towarzyszyła wyziębieniu i zabijała w ciągu godziny.

Kiedy tylko skończył późne śniadanie, przeszedł pół mili do grupy, która przyleciała na drugim krążowniku. Zanim jeszcze do niej doszedł, zobaczył już z oddali, że dowodzi nią komandor porucznik Vincent Lake z *Constellation*.

Lake, wysoki mężczyzna o twardo zarysowanej szczęce, bladych niebieskich oczach pod jasnymi brwiami, wyszedł mu na spotkanie, zaraz jak tylko go rozpoznał.

– Cieszę się, że ciągle jesteś wśród żywych – przywitał go Lake. – Myślałem, że ten drugi strzał Gernów załatwił cię razem z pozostałymi.

– Kiedy to się stało, byłem właśnie z wizytą na śródokręciu i nie było mnie w domu – wyjaśnił.

Popatrzył na grupę Odrzuconych Lake'a, w swojej nędzy i niepewności tak bardzo podobną do jego, i spytał:

– Jak minęła wam ostatnia noc?

– Źle… cholernie źle – stwierdził Lake. – Szperacze, Piekielna Gorączka i żadnego drewna na ogniska. Ubiegłej nocy straciliśmy dwieście osób.

– Zaszedłem tu do was, żeby zobaczyć, czy ktokolwiek w ogóle tutaj dowodzi, i powiedzieć wam, że musimy natychmiast przemieścić się do lasów — jeszcze dzisiaj. Tam będziemy mieli mnóstwo drewna na ogniska, jakąś osłonę przed wiatrami, a łącząc nasze możliwości obrony, będziemy mogli lepiej bronić się przed szperaczami.

Lake zgodził się z nim. Po krótkim przedyskutowaniu planów, kiedy skończyli, spytał:

– Jak dobrze znasz Ragnarok?

– Nie za bardzo – odparł Prentiss. – Nie zostaliśmy tutaj na tyle długo, by dokładniej ją przebadać. Nie ma tu zresztą żadnych rud metali ciężkich, ani jakichkolwiek innych wartościowych zasobów. Na Ragnarok zrobiliśmy więc tylko krótki rekonesans, i kiedy zginęło sześciu ludzi, oznaczyliśmy ją na mapie jako nie nadającą się do zamieszkania, i ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Jak pewnie wiesz – kontynuował Prentiss, – ta jasna niebieska gwiazda, to drugie słońce Ragnarok. Jego pozycja przed żółtym słońcem, wskazuje że pora roku jaką teraz mamy, to wczesna wiosna. Kiedy nadejdzie lato, Ragnarok będzie przechodzić pomiędzy obydwoma słońcami, i będzie panowało tu takie gorąco, jakiego żaden człowiek jeszcze nigdy nie musiał znosić. Ani takiego zimna, jakie będzie kiedy nadejdzie zima.

– Nie znam żadnych jadalnych roślin, chociaż pewnie jakieś tu mogą być. Jest kilka gatunków zwierząt podobnych do gryzoni, to padlinożercy, a także roślinożercy, których nazywaliśmy kozłami leśnymi. Szperacze są dominującą formą życia na Ragnarok i jak podejrzewam, ich inteligencja jest na dużo wyższym poziomie, niż byśmy tego chcieli. Między nami a nimi, toczyć się będzie nieustanna walka o przetrwanie.

– Jest jeszcze jedno zwierzę, co prawda nie tak inteligentne jak szperacze, ale równie niebezpieczne — jednorożec. Jednorożce są duże i szybkie, w dodatku podróżują w stadach. Jak do tej pory nie widziałem żadnego, i mam nadzieję, że nie zobaczę. W niższych partiach planety żyją pełzacze bagienne. To czysty koszmar ze złego snu. Mam nadzieję, że latem nie wchodzą one tutaj, na większe wysokości. Szperacze, piekielna gorączka, przyciąganie, gorąco, zimno i głód, to już chyba wystarczy, żebyśmy mieli z czym walczyć.

– Rozumiem – odparł Lake. Uśmiechnął się, a jego uśmiech był tak ponury jak blask księżyca na arktycznym lodowcu. – Typu ziemskiego — pamiętasz obietnicę, jaką Gernowie złożyli Odrzuconym? – Jego wzrok prześlizgnął się po obozowisku, po chłoszczącym z mroźnych wzgórz śniegu, po martwych i umierających, i po małej dziewczynce, na próżno próbującej obudzić swojego brata.

– Zostali skazani, bez najmniejszego powodu, i bez szansy przeżycia – stwierdził. – Tak wielu z nich jest takich młodych… a kiedy ktoś jest młody, to zawsze dla niego śmierć przychodzi za wcześnie.

Prentiss powrócił do własnej grupy. Umarłych pogrzebano w płytkich grobach i pobrano wyposażenie z obiecanych „dużych zapasów”. Mieli jeszcze trochę rzeczy osobistych, jakie pozwolono wziąć ze sobą Odrzuconym, oraz niewielkie zapasy żywności, które Gernowie zabrali z magazynów *Constellation*. Gernowie byli zmuszeni do wydzielenia Odrzuconym chociaż niewielkich ilości jedzenia. Gdyby bowiem otwarcie pozostawili ich na śmierć głodową, Zaakceptowani, których rodziny znajdowały się pomiędzy Odrzuconymi, mogliby się zbuntować.

Ilość broni i amunicji, po zebraniu wszystkiego razem, okazała się zastraszająco mała. Najwcześniej jak to tylko będzie możliwe, musieli się nauczyć wytwarzania i wykorzystania łuków oraz strzał.

Prowadząc za sobą pierwszą grupę strażników i robotników, Prentiss wyruszył do mniejszej doliny, która miała swoje ujście do głównej, jakąś milę na północ. Było to dobre miejsce na obozowisko, tak jak miał nadzieję, szeroka i gęsto poznaczona kępami i zagajnikami drzew, z płynącym przez środek strumieniem.

Robotnicy zaczęli budować schronienia, a on wyruszył aby wspiąć się na stok najbliższego wzgórza. Wszedł na wierzchołek, z mocno przyspieszonym oddechem, z powodu siły ciężkości, która dodawała mu brzemię równoważne ładunkowi o połowie jego własnej wagi, i zobaczył jak wygląda otaczający ich teren.

Na południu, poza pustynną doliną, widać było, że grunt opada łagodną krzywizną ku południowym nizinom, gdzie żyły jednorożce i pełzacze bagienne. Na północy przez kilka mil łagodnie wyrastały wzgórza, a następnie kończyły się one pod stromo wznoszącą się ścianą olbrzymiego płaskowyżu. Płaskowyż zajmował cały północny horyzont, od samego wschodu, aż do zachodu, nadal bieląc się śniegami zimy i wyrastając tak wysoko ponad rozciągające się poniżej terytorium, że zawadzały o niego chmury, na wpół go zasłaniając.

Zszedł z powrotem ze wzgórza, kiedy pojawili się ludzie Lake'a. Zaczęli budować coś w rodzaju rozszerzenia jego obozowiska, a tymczasem on opowiedział Lake'owi o tym, co zobaczył ze wzgórza.

– Jesteśmy pomiędzy nizinami i wyżynami – opowiadał. – Będzie to tak blisko średniej wysokości, jak tylko może być na Ragnarok. Przeżyjemy tu, albo nie. Nie ma innego miejsca, do którego moglibyśmy się udać.

W południe zachmurzenie zaciemniło niebo, i wiatr ucichł, niemal do bezruchu. W powietrzu zawisło uczucie napięcia i oczekiwania, wrócił więc do Odrzuconych, aby przyśpieszyć ich przenosiny do lasu. Sami wyruszyli już wcześniej w rozproszonych grupach, chronionych przed szperaczami przez strażników, przemarsz ten nie był jednak w żaden sposób zorganizowany, i zajęłoby mnóstwo czasu, zanim ostatni z nich znaleźliby się bezpiecznie w nowym obozie.

Nie mógł znajdować się w dwóch tysiącach miejsc jednocześnie. Potrzebował, jakiegoś zastępcy, kogoś kto doglądałby przenoszenia Odrzuconych i ich rzeczy do lasu, oraz ich rozmieszczenia, kiedy już się tam znajdą.

Znalazł człowieka, który dużo wcześniej zaczął pomagać Odrzuconym, szczupłego, spokojnego mężczyznę. Nazywał się Henry Adams i dobrze też walczył ostatniej nocy przeciwko szperaczom, nawet jeżeli jego determinacja była większa niż celność jego strzałów. Należał do tego rodzaju ludzi, których inni od razu lubią i którym ufają, stanowił dobry wybór na zastępcę, którego praca polegać będzie na zajmowaniu się mnóstwem drobiazgów w obozie, podczas gdy on, i drugi zastępca jakiego jeszcze wybierze, będą mieli pod swoją pieczą sprawy obrony i polowania.

– Nie podoba mi się to zachmurzenie – powiedział Andersowi. – Coś się kroi. Każ wszystkim żeby się ruszali, a potem pomogli budować schronienia tak szybko jak to tylko będzie możliwe.

– Mogę mieć tam większość z nich już za jakąś godzinę lub dwie – odparł Anders. – Jednak niektórzy ze starszych ludzi będą musieli poruszać się wolno. Ta grawitacja… już wcześniej wielu z nim przeciążyło sobie serca.

– A jak znoszą zwiększoną grawitację dzieci? – spytał Prentiss.

– Dzieci, zwłaszcza bardzo małe… trudno jeszcze o nich cokolwiek powiedzieć. Ale dzieci, które mają już jakieś cztery lata i więcej, początkowo bardzo szybko się zmęczyły, poszły spać, a kiedy się obudziły, tak jakby trochę z tego wyszły.

– Może zdołają do pewnego stopnia przystosować się do tego zwiększonego przyciągania. – Pomyślał o tym, co Lake powiedział mu dzisiejszego ranka: *Tak wielu z nich jest takich młodych… a kiedy ktoś jest młody, to zawsze dla niego śmierć przychodzi za wcześnie*. – Być może Gernowie popełnili błąd… być może ludzkie dzieci nie są wcale takie łatwe do zabicia, jak im się wydawało. To twoje zadanie, i moje, i wszystkich pozostałych, żeby dać dzieciom szansę na udowodnienie, że Gernowie się pomylili.

Ponownie ruszył dalej swoją drogą, tak by przejść koło miejsca, gdzie Julia, dziewczyna, która stała się macochą Billy'ego, przygotowywała się do drogi do nowego obozu.

Spotkał się z Billym po raz drugi tego ranka. Za pierwszym razem, Billy ciągle był oszołomiony przez smutek, i na widok dziadka nie wytrzymał i zupełnie się załamał.

– Ten Gern ją uderzył – szlochał, a jego poraniona twarz ponownie zaczęła krwawić od skręcającego ją grymasu płaczu. – On ją zranił, a tatusia nie było, a potem… a potem te inne stworzenia ją zabiły…

Teraz jednak miał już trochę czasu, aby zaakceptować to co się stało, i zmienił się. Stał się kimś starszym, nieomal mężczyzną, złapanym jedynie chwilowo w pułapkę ciała pięcioletniego chłopca.

– Myślę, że to chyba wszystko – właśnie mówiła Julia, podnosząc zebrane razem swoje skąpe rzeczy osobiste i torbę Irene. – Weź swojego misia, i pójdziemy już.

Billy podszedł do misia i przyklęknął, żeby go wziąć na ręce. Wtedy jednak zatrzymał się, i powiedział coś, co zabrzmiało jak „*Nie*". Odłożył z powrotem misia na ziemię, ocierając nieco pył z jego twarzy, tak jakby w geście pożegnania, i wstał stając przed Julią z pustymi rękoma.

– Nie wydaje mi się, żebym kiedyś jeszcze chciał się bawić moim misiem – oznajmił. – Nie wydaje mi się, żebym w ogóle kiedykolwiek chciał się jeszcze bawić.

Potem ruszył w drogę u jej boku, pozostawiając swojego misia leżącego na ziemi, i razem z nim pozostawiając na zawsze łzy i śmiech dzieciństwa.

Zachmurzenie pogłębiało się i wczesnym popołudniem pojawiły się napływające z zachodu chmury burzowe. Zarówno w jego części obozowiska, jak i w części Lake'a, zintensyfikowano jeszcze wysiłki, żeby zakończyć całą przeprowadzkę, zanim uderzy burza. Schronienia mogły mieć krytyczne znaczenie, i były one budowane ze wszystkich materiałów, jakie tylko dało się szybko pozyskać: suchych gałęzi, krzewów i ograniczonych ilości brezentu oraz koców, jakie posiadali Odrzuceni. Mogły się okazać zbyt słabą ochroną, ale nie było czasu na to, aby zbudować cokolwiek lepszego.

Wydawało się, że minęło zaledwie kilka minut, zanim czarne chmury znalazły się ponad ich głowami, przetaczając się i mknąc po niebie z niewiarygodną szybkością. Razem z nimi nadszedł basowy ryk wiejącego wysoko w górze wiatru, który je niósł ze sobą, a w reakcji również powietrze na powierzchni ziemi zaczęło się niespokojnie poruszać, jakby jakiś potwór próbował odpowiedzieć na wezwanie innego stworzenia swojego gatunku.

Prentiss wiedział już, kogo by chciał wziąć na swojego drugiego zastępcę. Znalazł go kiedy ciężko pracował, pomagając budować schronienia. Howard Craig, potężnie umięśniony mężczyzna, z twarzą tak twardą i ponurą, jak granitowa skała. To właśnie Craig próbował tego ranka uratować Irene przed szperaczami, mając za broń jedynie zwykłą siekierę.

Prentiss trochę go znał, ale Craig ciągle nie wiedział, że Irene była jego córką. Craig był jednym inżynierów terenowych, którzy mieli stanowić Służbę Geologiczną Ateny. Miał żonę, delikatną blondynkę, która poprzedniej nocy jako pierwsza zmarła na piekielną gorączkę, a nadal jeszcze miał trójkę małych dzieci.

– Poprzestajemy na tych schronieniach, które już zbudowaliśmy – powiedział Craigowi. – Cały pozostały nam czas musimy poświęcić na ich wzmocnienie, tak by wytrzymały ten wiatr. Potrzebuję kogoś, kto by mi pomógł razem z Andersem. Chciałbym wybrać ciebie.

– Wyślij jakichś młodych i szybkonogich ludzi do naszego nocnego obozu, żeby wycięli pasy skóry ze wszystkich szperaczy, jakie tylko uda im się znaleźć. Każdy element tych szałasów musi być umocowany do czegoś stałego. Rozejrzyj się też, czy nie uda ci się znaleźć jakiegoś doświadczonego biwakowicza, który pomoże ci kontrolować prace.

– I powiedz też Andersowi, że w schronieniach zostaną umieszczone tylko kobiety i dzieci. Nie będzie w nich miejsca dla nikogo innego, i jeżeli jakiś mężczyzna, nieważne jaką by miał wymówkę, wypchnie na zewnątrz kobietę albo dziecko, to osobiście go zabiję.

– O to nie musisz się martwić – odparł Craig. Uśmiechnął się z dzikim brakiem wesołości. – Każdym takim incydentem, z radością zajmę się sam.

Prentiss dopilnował, czy stosy drewna na ognie wartownicze zostały przygotowane do zapalenia, kiedy tylko przyjdzie na to pora. Rozkazał wszystkim strażnikom aby zajęli swoje stanowiska, i na nich przez chwilę odpoczęli, jeżeli im się uda. Po nadejściu ciemności, nie będą mieli możliwości odpoczynku.

Następnie spotkał się z Lakem, na północnym krańcu obozowiska swojej grupy, gdzie łączyło się ono z obozem grupy Lake'a, i gdzie nie trzeba było wystawiać posterunków wartowniczych. Lake powiedział mu, że jego obóz również będzie przygotowany najlepiej, jak to jest możliwe w tych okolicznościach, w ciągu kolejnej godziny. Do tego czasu wiejący między drzewami wiatr, szybko zaczął się robić coraz silniejszy, uderzając coraz mocniej i mocniej w prowizoryczne schronienia, i wydawało się wątpliwe, czy burza powstrzyma swój atak jeszcze przez godzinę.

Lake dostał jednak swoją godzinę, plus połowę kolejnej. Potem nadciągnął głęboki zmrok, chociaż nie do końca był to zachód słońca. Prentiss nakazał rozpalenie wszystkich ogni wartowniczych, i ewakuację kobiet i dzieci do schronień. Piętnaście minut później w końcu rozpętała się burza.

Pojawiła się jako rycząca ściana zimnego deszczu. Razem z nią nadeszła zupełna ciemność i wiatr wzmógł się do prędkości, która przyginała drzewa. Minęła godzina, a wiatr ciągle robił się coraz silniejszy, waląc we wszystkie schronienia z siłą, której ich prowizoryczna konstrukcja nie mogła się przeciwstawić. Pasy ze skór łupieżców wytrzymały, ale brezent i koce zostały poszarpane na wstęgi, trzaskające na wietrze jak wystrzały karabinowe, a potem zostały porwane zupełnie na kawałki i odleciały w ciemności nocy.

Jedno po drugim ogniska wartownicze gasły, a deszcz ciągle nie ustawał, robiąc się coraz zimniejszy i zacinając niemal poziomymi strugami, niesionymi przez wiatr. Kobiety i dzieci tuliły się do siebie w chłodzie i w niedoli, pod wątłą ochroną, jaką cięgle dawały im poszarpane schronienia. Nie można było jednak zrobić niczego aby im pomóc.

O północy deszcz zmienił się w śnieg, w wyjącą zamieć, którą ogniska Prentissa, jak sprawdził robiąc obchód, były w stanie przeniknąć, ale jedynie na kilka stóp. Szedł z narastającym zmęczeniem, zmuszając się do zrobienia każdego kolejnego kroku. Nie był już taki młody, miał pięćdziesiąt lat, i musiał chociaż trochę odpocząć.

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że prawdziwe przywództwo wymaga większych poświęceń po stronie tego kto chce przewodzić. Mógłby uniknąć tej odpowiedzialności, a jego osobiste dobro tylko by na tym zyskało. Żył na obcych planetach niemal przez połowę swojego życia. Mając strzelbę i nóż, mógłby przetrwać długo, zanim Ragnarok by go w końcu dopadła, i to przy dużo mniejszym wysiłku, niż ten który wymagano od niego jako od przywódcy. Taki sposób działania był jednak dla niego odrażający, wręcz nie do pomyślenia. To co wiedział o przetrwaniu na wrogich planetach, mogło przecież pomóc w przeżyciu pozostałym.

Przejął więc dowodzenie, nie tolerując żadnego sprzeciwu i lekceważąc fakt, że może to skrócić jego i tak już krótki czas, jaki zdoła przeżyć na Ragnarok. Musiał to być, jak sądził, jakiś odwieczny instynkt, który nie pozwalał jednostce stać na boku i pozwolić grupie umrzeć.

Śnieg skończył się godzinę później i wiatr osłabł do lodowatych powiewów. Chmury przerzedziły się, porozrywały i gigantyczna gwiazda spoglądała w dół, na całą krainę, zalewając ją swoim zimnym, niebieskim światłem.

Wtedy nadeszły szperacze.

Zmyliły pozorowanym atakiem posterunki na wschodniej i zachodniej linii, a potem uderzyły od południa, zmasowaną, dziką szarżą. Przez zmasakrowane południowe posterunki przedarło się dwadzieścia z nich, i rzuciły się do wnętrza obozu. Kiedy to się stało, linie wartownicze obiegło przewidziane przez niego, w przypadku takiej sytuacji, wezwanie:

– Alarmowe posterunki ze wschodu i zachodu — *otoczyć*!

W obozie przez tryumfalny, demoniczny lament szperaczy, przebiły się wrzaski kobiet, słabsze krzyki dzieci i wołania oraz przekleństwa mężczyzn, próbujących walczyć ze szperaczami nożami i maczugami. Potem strażnicy z alarmowych posterunków, jedna trzecia ludzi ze wschodniej i zachodniej linii, nadbiegli przedzierając się przez śnieg i w miarę pojawiania się strzelając.

Szperacze oderwały się od swoich ofiar i ruszyły w stronę strażników, pozostawiając za sobą zataczającą się bezcelowo kobietę, której krew tryskała z porozrywanych tętnic, rozlewając się w świetle gwiazd, ciemnymi plamami, na błękitno-białym śniegu. Powietrze wypełniło się hukiem ognia z broni palnej i głębokim, dzikim warczeniem szperaczy. Połowie ze szperaczy udało się wyrwać, pozostawiając za sobą siedmiu martwych strażników. Pozostałe leżały w śniegu, w miejscach, w których padły, a ci ze strażników którzy przeżyli, odwrócili się i pośpieszyli na swoje stanowiska, po drodze przeładowując broń.

Ranna kobieta upadła bezwładnie w śnieg i obok niej przyklęknął sanitariusz zajmujący się pierwszą pomocą. Po chwili wstał, pokręcił głową i przyłączył się do pozostałych, którzy szukali rannych pomiędzy ofiarami szperaczy.

Nie znaleźli żadnych rannych, jedynie zabitych. Szperacze zabijały z niesamowitą efektywnością.

– John…

John Chiara, młody lekarz, pośpieszył w jego stronę. Jego ciemne oczy spoglądały z zatroskaniem spoza oszronionych szkieł, a brwi pokryły się lodem.

– Drewno jest przemoczone – powiedział. – Upłynie trochę czasu zanim uda nam się rozpalić ogień. Zanim to zrobimy część dzieci zamarznie na śmierć.

Prentiss wskazał ręką na leżące na śniegu szperacze i skinął w ich stronę głową.

– One są ciepłe. Wywalcie im na wierzch bebechy i płuca.

– Co…

Oczy Chiary zajaśniały zrozumieniem i pośpieszył ku nim bez żadnych dodatkowych pytań.

Prentiss ruszył dalej, na obchód posterunków wartowniczych. Kiedy wrócił, zobaczył, że jego rozkazy zostały wykonane.

Szperacze leżały na śniegu tak samo jak przedtem, ich dzikie pyski nadal skręcało przedśmiertne warczenie, ale wewnątrz nich bezpiecznie i ciepło spały dzieci.

Szperacze atakowały raz za razem, i kiedy blade słońce uniosło się nad horyzontem, aby oświetlić białą, zmrożoną krainę, w obozie Prentissa było pięciuset zabitych: trzysta osób przez piekielną gorączkę, a dwieście przez ataki szperaczy.

Pięćset osób — i to była tylko jedna noc na Ragnarok.

Lake poinformował o ponad sześciuset ofiarach.

– Mam nadzieję – stwierdził z gorzką nienawiścią, – że Gernowie spali spokojnie tej nocy.

– Żeby powstrzymać szperacze będziemy musieli zbudować płot wokół obozu – zaproponował Prentiss. – Nie możemy sobie pozwolić na dalsze zużywanie naszych niewielkich zapasów amunicji w tempie, w jakim korzystaliśmy z niej podczas dwóch ostatnich nocy.

– Przy tej grawitacji to będzie olbrzymia praca – odparł Lake. – Musimy zebrać obie grupy razem, aby zredukować jego obwód tak bardzo, jak to tylko możliwe.

W taki właśnie sposób Prentiss planował to zrobić. Pozostała tylko jedna rzecz, jaką należało ustalić z Lakem. Połączone grupy nie mogą mieć dwóch niezależnych przywódców.

Lake obserwując go uważnie, stwierdził:

– Myślę, że jakoś się dogadamy. Obce planety stanowią raczej twoją specjalność, a nie moją. A biorąc pod uwagę średnie straty na Ragnarok, pewnie i tak wkrótce pozostanie tylko jeden z nas.

Tego dnia wszystko zostało przeniesione do środka obszaru obozowiska, i kiedy w nocy nadciągnęły szperacze, napotkały gęsty pierścień strażników i ognisk, przez które były w stanie przeniknąć jedynie pojedyncze sztuki, i to kosztem olbrzymich strat.

Następnego ranka świeciło piękne słońce i śnieg zaczął się topić. Rozpoczęto prace nad budową palisady. Musiała ona mieć dwanaście stóp wysokości, tak by szperacze nie mogły przeskoczyć ponad nią, a ponieważ miały one ostre pazury i potrafiły wspinać jak się koty, a więc jej wierzchołek został zwieńczony rzędem zaostrzonych kołków, sterczących na zewnątrz i do dołu. Zostały one pewnie osadzone w otworach w mocującej u góry palisadę belce, przywiązanej do słupów pasami ze skóry szperaczy.

Drzewa znajdujące się na wschód od obozu, nawet w dużej odległości, były udekorowane skrawkami brezentu i ubrań, zaniesionymi tam przez wiatr. Grupa chłopców, chronionych jak zwykle przed szperaczami przez strażników, wyruszyła, żeby wchodzić na drzewa i je pozbierać. Wszystko co udało się znaleźć, do najmniejszego strzępka, zostało przekazane kobietom, które nie były w stanie pomóc fizycznie w pracach nad budową palisady. Zaczęły cierpliwie zszywać szmaty i łachmany, nadając im z powrotem użyteczną formę.

Wyruszyła pierwsza wyprawa łowiecka, i wróciła z sześcioma kozłami leśnymi, żółto-płowymi zwierzętami, o ostrych rogach, i wielkości mniej więcej ziemskiego jelenia. Myśliwi donosili, że kozły leśne są trudne do podejścia, a w zapędzone w sytuację bez wyjścia, bardzo niebezpieczne. Ponieważ nie wiedzieli o tym wcześniej, jeden z łowców został zabity, a drugi ranny.

Przynieśli ze sobą również kilka zwierząt padlinożernych, o rozmiarach królika. Składały się głównie z nóg, zębów i szczeciniastego futra, a ich mięso było niemal niejadalne. Strzelanie do kolejnych, uznano za zwykłe marnowanie ograniczonych zapasów amunicji.

Znaleźli również pokryte czarną korą drzewa, które Ekspedycja Dunbara nazwała drzewami włóczniowymi, z powodu smukłych, prostych, sterczących na wszystkie strony gałęzi. Ich drewno było równie twarde jak hikorowe i sprężyste jak cedr. Prentiss odnalazł dwóch łuczników amatorów, którzy z gałęzi drzewa włóczniowego, potrafili wykonać nadające się do użytku łuki i strzały. Natychmiast zagonił ich do roboty, razem z kilkoma pomocnikami.

Dni nagle zrobiły się gorące, chociaż w noce ciągle temperatura spadała poniżej zera. Piekielna gorączka zbierała stałą, bezwzględną daninę. Potrzebowali odpowiednich schronień, ale kurczące się zapasy amunicji i nocne ataki szperaczy, sprawiały że budowa palisady była jeszcze pilniejszym nakazem chwili. Schronienia musiały poczekać.

Pewnego wieczora wyszedł poszukać doktora Chiarę, i znalazł go wychodzącego z jednego z prowizorycznych schronień.

W środku leżał chłopiec, z twarzą zarumienioną od piekielnej gorączki, i z oczyma zbyt jasnymi i zbyt ciemnymi, kiedy spoglądał do góry, na twarz siedzącej obok niego matki. Miała zupełnie suche oczy i nic nie mówiła, tylko mu się przyglądała, ale zamknęła jego rękę w swojej dłoni, mocno, desperacko, jak gdyby w ten sposób jakoś mogła go powstrzymać przed jej opuszczeniem.

Prentiss szedł u boku Chiary, i kiedy szałas został już kawałek drogi za nimi, zapytał go:

– Nie ma żadnej nadziei?

– Żadnej – odparł Chiara. – Jak zwykle zresztą w przypadku piekielnej gorączki.

Chiara zmienił się bardzo. Nie był już tym samym krępym, wesołym człowiekiem co na Constellation. Lekarzem którego brązowe oczy uśmiechały się do całego świata przez grube szkła okularów, i który śmiał się i żartował, zapewniając swoich pacjentów, że wkrótce będą zupełnie zdrowi. Bardzo mocno wychudł, a jego twarz wręcz wynędzniała od trosk i zmartwień. Na swój spokojny sposób, był równie dzielny jak ci, którzy walczyli ze szperaczami. Pracował przez całe dnie i noce, próbując zmagać się z formą śmierci, której nie mógł zobaczyć, i przeciwko której nie miał żadnego oręża.

– Chłopiec umiera – powiedział Chiara. – On to wie, i jego matka również. Powiedziałem mu, że lekarstwo, które mu dałem, być może zdoła mu pomóc. Ale to było kłamstwo. Próbowałem tylko uczynić to wszystko nieco łatwiejszym, dla obojga z nich, zanim nadejdzie koniec. To lekarstwo, które mu dałem, to zwykła tabletka soli. To wszystko co mam.

I wtedy po raz pierwszy w życiu Prentiss zobaczył go, jak okazuje gorycz. Chiara wyrzucił z siebie:

– Nazywasz mnie „doktorem". Wszyscy to robią. Ale ja nim nie jestem. Mam za sobą tylko rok specjalizacji internistycznej. Robię wszystko co tylko umiem, ale to za mało… to zawsze będzie za mało.

– Tego, czego musisz dowiedzieć się tutaj, żaden lekarz na Ziemi nie mógłby cię nauczyć – odparł. – I musisz mieć trochę czasu na naukę… a poza tym potrzebujesz lekarstw i sprzętu.

– Gdybym tylko mógł zdobyć antybiotyki i inne lekarstwa… Chciałem zabrać zapasy z gabinetu, ale Gernowie nie pozwolili mi pójść.

– Niektóre z roślin na Ragnarok, może by się do czegoś przydały, gdyby tylko dało się znaleźć te właściwe. Właśnie wracam od Andersa, trochę o tym rozmawialiśmy. Dostarczy ci wszystkiego co tylko będzie możliwe, jeśli chodzi o wyposażenie i zapasy do badań… wszystkiego co jest w obozie, i czego potrzebujesz do ratowania ludziom życia. Przyjdzie dzisiaj wieczorem do twojego schronienia, żeby dowiedzieć się, czego ci potrzeba. Chcesz spróbować powalczyć?

– Tak… oczywiście. – Oczy Chiary rozjaśniły się nową nadzieją. – Znalezienie lekarstwa, może zająć dużo czasu. Być może nigdy nie uda nam się tego zrobić. Ale chcę jakoś pomóc, a więc mogę spróbować. Chciałbym pewnego dnia, ponownie móc powiedzieć wystraszonemu dziecku, „Weź to lekarstwo, a jutro rano będzie ci już lepiej". I żebym wiedział, że mówię prawdę.

Nocne ataki szperaczy nie ustawały i zapasy amunicji malały coraz bardziej. Potrzeba było jeszcze trochę czasu, zanim ludzie nabiorą zręczności w użyciu łuków i strzał, które właśnie zostały wyprodukowane. Prace nad palisadą były więc popychane do przodu w maksymalnie szybkim tempie. Nikt nie był z nich zwolniony, nawet jeśli nie był w stanie zrobić niczego więcej niż tylko przenosić zaostrzone kołki. Dzieci, już od najmłodszych, pracowały u boku mężczyzn i kobiet.

Praca była dużo bardziej wycieńczająca z powodu półtora razy większej siły przyciągania. Ludzie wykonując swoje zadania, poruszali się bardzo ciężko i nawet noc nie dawała żadnej ucieczki przed grawitacją. Zapadali jedynie w podobny do letargu sen, który nie dawał prawdziwego odpoczynku, i po którym budzili się zmęczeni i obolali. Codziennie rano było także kilka osób, które nie budziły się w ogóle, chociaż ich serca byłyby dostatecznie silne do pracy na Ziemi albo Atenie.

Zabójcza praca była jednak powszechnie uznawana za konieczność, i nie było żadnych skarg z tego powodu, dopóki pewnego ranka nie został zaczepiony przez Petera Bemmona.

Spotkał Bemmona kilka razy na *Constellation*, wielki mężczyzna o miękkiej twarzy, przywiązujący dużą wagę do swojej roli pomniejszego członka Zarządu Planu Atena. Jednak nawet na *Constellation*, Bemmon uważał, że zasłużył na jeszcze wyższą pozycję, a jego służalcza postawa gdy stawał przed przełożonymi, zmieniało się w pełne insynuacji

drobiazgowe wytykanie błędów i podawanie w wątpliwość ich zdolności w porównaniu z jego, kiedy tylko odwrócili się do niego plecami.

Ta niechęć przybrała nową formę na Ragnarok, gdzie jego poprzednia pozycja, kompletnie dla wszystkich, utraciła swoje znaczenie, a jego brak jakichkolwiek pożytecznych umiejętności, albo doświadczenia w życiu na wolnym powietrzu, spowodowały, że był tylko jednym z pośród wielu robotników.

Tego dnia, który Bemmon wybrał sobie do wystawienia na próbę, cierpliwości Prentissa jako przywódcy, słońce świeciło niemiłosiernie gorąco. Bemmon ciął i ostrzył kołki, wykonując zadania, jakie przydzielił mu czasami zbyt łagodny Anders, po tym kiedy zaczął narzekać, że jego serce jest na skraju zawału, z powodu wykonywania cięższej pracy. Prentissowi śpieszyło się i przeszedł by tylko koło niego, ale Bemmon zatrzymał go ostrym poleceniem:

– Hej, ty… poczekaj chwileczkę!

Bemmon miał w ręku siekierę, ale na ziemi przed nim leżał tylko jeden kołek, a jego twarz poczerwieniała z gniewu, a nie z wysiłku. Prentiss stanął, zastanawiając się, czy Bemmon ma zamiar prosić się o złamaną szczękę, a Bemmon podszedł do niego.

– Jak długo jeszcze – spytał Bemmon, gniew powodował, że jego głos brzmiał nieco niewyraźnie – wydaje ci się, że będę tolerował tę absurdalną sytuację?

– Jaką sytuację? – zdziwił się Prentiss.

– To głupie naleganie na to, abym ograniczył się do pracy fizycznej. Jestem jedynym członkiem Zarządu Planu Atena na Ragnarok i chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że to chaotyczne zamieszanie wśród tych ludzi – Bemmon wskazał na otaczających ich śpieszących się, pracujących do upadłego mężczyzn, kobiety i dzieci – może zostać przekształcone w efektywny, zorganizowany wysiłek, jedynie dzięki właściwemu nadzorowi. Jak dotąd jednak moje zdolności w tym kierunku są zupełnie ignorowane, i zostałem zmuszony do pracy zwykłego robotnika — do ociosywania drewna!

Rzucił ze złością siekierę, na leżące pod nogami kamienie, ciężko oddychając z oburzenia i wyzwania.

– Domagam się szacunku, do jakiego jestem uprawniony!

– Spójrz – odpowiedział mu Prentiss.

Wskazał ręką na grupę dzieci, która właśnie przeszła obok nich. Szesnastoletnia dziewczynka, uginała się niemal wpół, pod ciężarem palika, który niosła, a jej kiedyś ładna buzia, teraz była cała czerwona i spocona. Za nią dwóch dwunastoletnich chłopców, dźwigało nawet jeszcze większy pal. Obok nich szło jeszcze kilkoro mniejszych dzieci, a każde z nich trzymało tyle zaostrzonych kołków, ile tylko ona czy on byli w stanie unieść, i to nieistotne, że czasami był to tylko jeden. Wszyscy próbowali się śpieszyć, żeby zrobić tak dużo, jak to tylko możliwe, i żadne z nich się nie skarżyło, nawet pomimo tego, że zaczynały już słaniać się ze zmęczenia.

– A więc wydaje ci się, że jesteś uprawniony do większego szacunku? – spytał Prentiss z pogardą. – Te dzieci pracowałyby ciężej, gdybyś wydawał im rozkazy, stojąc sobie w cieniu drzew? Czy tego właśnie sobie życzysz?

Wargi Bemmona pocieniały, i nienawiść aż biła blaskiem z jego twarzy. Prentiss powiódł wzrokiem od jedynego kołka, jaki wyciął Bemmon tego poranka, do jego białych, nie poznaczonych pęcherzami rąk. Następnie spojrzał na siekierę, którą Bemmon rzucił na kamienie i na szczerbę w kształcie V, wyłamaną w jej cienko zakończonym ostrzu. To była najlepsza z tych naprawdę niewielu siekier jakie mieli…

– Następnym razem, jeśli nawet draśniesz tę siekierę, to rozwalę ci nią czaszkę na pół – oznajmił. – Podnoś ją i bierz się z powrotem do roboty. Powiedziałem *roboty*. Dzisiaj wieczorem albo będziesz miał popękane pęcherze na każdym palcu, albo jutro wylądujesz w zespole przenoszącym. A teraz ruszaj się!

To co Brennan myślał że było gniewem, opuściło go pod wpływem furii Prentissa. Nachylił się, żeby wykonać polecenie, ale nienawiść pozostała mu na twarzy, a kiedy siekiera znalazła się już w jego ręku, wykonał ostatnią próbę podniesienia buntu.

– Być może w końcu nadejdzie dzień, kiedy odmówimy dalszego tolerowania twoich sadystycznych pokazów silnej władzy.

– W porządku – stwierdził Prentiss. – Każdego kto nie lubi mojego stylu rządzenia, serdecznie zapraszam do próby jego zmiany — lub do próby zastąpienia mnie. Przy użyciu noży, maczug, strzelb lub poszczerbionych siekier, Bemmon. W taki sposób w jaki tylko chcesz i kiedy tylko chcesz.

– Ja… – wzrok Bemmona przebiegł od siekiery w jego na wpół wzniesionej ręce, do długiego noża za pasem Prentissa. Przełknął ślinę z konwulsyjnym szarpnięciem swojego jabłka Adama, a ręka trzymająca siekierę nagle opadła. – Ja nie chcę walczyć… żeby ciebie zastąpić…

Przełknął ponownie i zmusił się do ułożenia swojej twarzy w słabą próbę przymilnego uśmiechu.

– Nie miałem zamiaru sugerować żadnego braku respektu dla ciebie, ani dobrej roboty jaką wykonujesz. Bardzo mi przykro.

Potem pośpiesznie odszedł, jak człowiek zadowolony z tego, że udało mu się uciec, i zaczął ociosywać kołki ze zdumiewającą szybkością.

Ale przymilny uśmiech nie do końca zdołał skryć ponurą nienawiść, i Prentiss zdawał sobie sprawę, że Bemmon był człowiekiem, w którym już zawsze będzie miał wroga.

Dni ciągnęły się w jeden za drugim w nużącym, monotonnym znoju, ale przeciążone mięśnie z wolna zaczęły się wzmacniać i ludzie poruszali się już z nieco mniejszym wysiłkiem. Dwudziestego dnia nareszcie została ukończona palisada, i obóz stał się bezpiecznym schronieniem przed szperaczami.

Ale wiosenna pogoda, ze swoją szaloną zmiennością, z następującymi szybko po sobie okresami zimna i ciepła, oraz gwałtownymi burzami, spowodowała że piekielna gorączka zbierała swoje żniwo każdego dnia. Nie było więc mowy o żadnej przerwie w wyczerpującej pracy. Schronienia dające schronienie przed deszczem musiały zostać zbudowane tak szybko, jak to tylko było możliwe.

Prace nad ich konstrukcją, zostały więc rozpoczęte, ze znużeniem, czasami nawet niemal bez wiary, ale również bez żadnych skarg, poza przekleństwami miotanymi na Gernów i nienawiścią do nich, która stawała się jeszcze większa niż przedtem.

Bemmon nie sprawiał więcej kłopotów. Prentiss już prawie o nim zapomniał, kiedy pewnej nocy został publicznie wyzwany przez krzepkiego, niebezpiecznego mężczyznę, o nazwisku Haggar.

– Przechwalałeś się, że będziesz walczył z każdym człowiekiem, który ośmieli się nie zgodzić z tobą – głośno oświadczył Haggar. – No dobrze, oto jestem. Będziemy walczyć na noże, i zanim jeszcze zdążą dzisiaj wieczorem pogrzebać twoje zwłoki, mam zamiar wykopać twoich kolesiów i zastąpić ich ludźmi, którzy dadzą nam kompetentne przywództwo, a nie pełen błędów autorytaryzm.

Prentiss zauważył, że Haggar wydawał się mieć pewne kłopoty z wygłoszeniem ostatniego słowa, tak jakby dopiero co się go nauczył.

– Z przyjemnością wyświadczę ci tę przysługę – łagodnie odparł Prentiss. – No dalej, wyciągaj nóż.

Haggar wyciągnął go już wcześniej, rzeźnicki nóż, o długim ostrzu, i pojedynek się rozpoczął. Haggar był zdumiewająco sprawny w walce nożem, ale nigdy nie miał szansy zdobyć wyszkolenia i tak dużego doświadczenia w walce, jakie mieli międzygwiezdni

odkrywcy, tacy jak Prentiss. Haggar był dobry, ale znacząco gorszy od tego aby być wystarczająco dobrym.

Prentiss go nie zabił. Nie to żeby miał jakieś skrupuły, przed zrobieniem czegoś takiego, ale byłoby to bezmyślne marnowanie tak niezbędnej siły roboczej. Dał Haggarowi uważną, bolesną i krwawą lekcję, która gruntownie wybiła mu z głowy całą ochotę do dalszej scysji, nie zadając mu przy tym żadnej poważniejszej rany. Pojedynek skończył się w ciągu minuty po jego rozpoczęciu.

Bemmon, który z żywym zainteresowaniem przyglądał się przebiegowi wyzwania, a potem z ekscytacją obserwował klęskę Haggara, po zakończeniu walki stał się w stosunku do Prentissa niesamowicie służalczy i pochlebczy. Prentiss zdawał sobie sprawę bez najmniejszej wątpliwości, aczkolwiek nie miał na to żadnego dowodu, ze to Bemmon podpuścił prostolinijnego Haggara do wyzwania go na pojedynek.

Jeżeli rzeczywiście tak było, widok tego, co stało się z Haggarem, musiał skutecznie pohamować żądzę zemsty Bemmona, ponieważ stał się on niemal wzorowym robotnikiem.

Tak jak przewidywał Lake, jemu i Prentissowi dobrze się razem pracowało. Lake spokojnie przyjął podrzędną rolę, kompletnie niezainteresowany posiadaniem władzy, ale jedynie przetrwaniem Odrzuconych. Tylko raz wspominał o poddaniu się *Constellation,* opowiadając:

– Wiedziałem, że w tej części kosmosu, może chodzić wyłącznie o Ragnarok. Musiałem rozkazać czterem tysiącom ludzi, by poszli jak owce na miejsce swojej kaźni, po to by pozostałe cztery tysiące mogły przeżyć, chociaż jako niewolnicy. To był mój ostatni rozkaz jako oficera.

Prentiss podejrzewał, że Lake nie był w stanie podświadomie nie winić się za zrobienie tego, do czego w gruncie rzeczy zmusiły go okoliczności. To było całkowicie irracjonalne, ale ludzie posiadający sumienie, całkiem często zachowywali się nieco irracjonalnie, jeśli chodzi o sprawy za które odpowiadają.

Lake miał dwóch zastępców: wesołego rudowłosego człowieka, który nazywał się Ben Barber, i zwinnego jak kot, Karla Schroedera. Barber miał być na Atenie farmerem, jednak na Ragnarok okazał się znakomitym pomocnikiem dla dowódcy.

Schroeder twierdził, że ma dwadzieścia cztery lata, ale nawet blizny na jego twarzy nie były w stanie sprawić, aby wyglądał więcej niż na dwadzieścia jeden. Często się uśmiechał, trochę za często. Prentiss widywał już kiedyś tego typu uśmiech. Schroeder był typem człowieka, który mógłby się uśmiechać nawet wtedy, kiedy zabijał człowieka, co prawdopodobnie już mu się zdarzało.

Jeśli jednak Schroeder był urodzonym wojownikiem, a być może nawet zabójcą, to tutaj cechy te ukierunkował całkowicie na szperacze. Był śmiertelnie niebezpiecznym znakomitym strzelcem, całkowicie pozbawionym uczucia strachu. Stał się prawą ręką Lake'a.

Pewnego wieczora, kiedy Lake wydawał Schroederowi jakieś instrukcje dotyczące rzeczy, które mają zostać zrobione następnego dnia, Schroeder odpowiedział na nie, z na wpół żartobliwym uśmieszkiem, słowami:

– Dopilnuję, żeby to zostało zrobione, komandorze.

– Nie „komandorze". – poprawił go Lake. – Ja… mu wszyscy… pozostawiliśmy nasze szarże, tytuły i zasługi na *Constellation*. Przeszłość już dla nas umarła..

– Rozumiem – odparł Schroeder. Uśmiech zniknął z jego twarzy, a następnie spojrzał Lake'owi w oczy i zapytał: – A co z naszymi minionymi błędami, haniebnymi czynami i innymi tego typu rzeczami?

– One również pozostały na Constellation – potwierdził Lake. – Jeżeli ktoś zasłuży na hańbę, to musi sobie na nią od nowa zapracować.

– To brzmi uczciwie – stwierdził Schroeder. – To brzmi tak uczciwie, że nikt nie mógłby prosić o więcej,

Odwrócił się i Prentiss zobaczył wyraźnie to, co wydawało mu się już wcześniej. Czarne włosy Schroedera u nasady robiły się jasnobrązowe. To był kolor, który dużo lepiej pasował do jego jasnej cery. I był to również kolor włosów człowieka o nazwisku Schrader, którego poszukiwała policja na Wenus.

Włosy mogły być przefarbowane, dokumenty mogły zostać podrobione, ale to wszystko były sprawy, w które Prentiss w ogóle nie miał zamiaru wnikać, przynajmniej dopóki Schroeder nie da mu do tego powodu, jeżeli w ogóle zajdzie taka potrzeba. Schroeder był twardym i niebezpiecznym człowiekiem, nawet pomimo swojego młodego wieku. Czasami jednak ludzie tego pokroju, kiedy trzeba wyłożyć karty na stół, ujawniają większe poczucie obowiązku, niż słabi ludzie wygłaszające nabożne tyrady o szacunku dla społeczeństwa, a potem bojący się stawić czoła niebezpieczeństwu, aby ochronić to społeczeństwo i ludzi, o których twierdzili że tak bardzo ich szanują.

Jedenastej nocy po zakończeniu budowy palisady, pojawił się samotny szperacz. Zbliżył się po cichu, pod osłoną nocy i zorientował się jak dosięgnąć i porozrywać skórzane pasy przytrzymujące na miejscu szpiczaste kołki, a potem wyszarpnąć kołki z gniazd, w których je osadzono. Zauważono go, kiedy usuwał już trzeci kołek, dzięki czemu miałby dostatecznie duże przejście, żeby przedostać się do środka. Szperacz został postrzelony. Spadł na dół i udało mu się uciec do lasu, chociaż zataczał się i mocno krwawił.

Następnej nocy palisada zaatakowana została przez kilkadziesiąt szperaczy, które równocześnie zaczęły usuwać zaostrzone kołki, w taki sam sposób, jaki zastosował szperacz przybyły poprzedniej nocy. Ich atak został powstrzymany z ciężkimi stratami po obu stronach i przy niepokojąco dużym zużyciu cennej amunicji.

Nie mogło być wątpliwości, skąd banda szperaczy dowiedziała się jak usuwać kołki: szperacz z poprzedniej nocy zdążył im powiedzieć, zanim umarł. Wątpliwe było, aby szperacze posiadały artykułowany język, tym niemniej musiały jednak mieć jakiś sposób komunikacji. Współpracowały między sobą i cechowała je wysoki stopień inteligencji, prawdopodobnie w gdzieś połowie skali pomiędzy psem i człowiekiem.

Szperacze okazywały się wrogiem nawet jeszcze bardziej straszliwym, niż spodziewał się Prentiss.

Brakujące kołki zostały zastąpione następnego dnia, a pozostałe dużo pewniej umocowane. Ponownie obóz był bezpieczny przed atakami szperaczy, ale jedynie pod warunkiem, że uzbrojeni strażnicy patrolujący wewnątrz palisady będą w stanie zabić atakujące szperacze, w tym krótkim czasie, jaki zabierało im usunięcie kołków.

Tego dnia grupy łowieckie poniosły nadzwyczaj ciężkie straty z powodu ataków szperaczy. Wieczorem, kiedy obchodzili posterunki wartownicze pilnujące ścian obozu, Lake powiedział do Prentissa.

– Szperacze są tak cholernie uparte. Im nie chodzi o zaspokojenie głodu, one nie zabijają nas, żeby nas zjeść. W zasadzie to nie mają żadnego powodu, żeby nas zabijać, po prostu nas nienawidzą.

– Kiedy one mają powód – odparł Prentiss. – Robią dokładnie to samo, co my, po prostu walczą o przetrwanie.

Blade brwi Lake'a uniosły się w wyrazie zdziwienia.

– Szperacze są władcami Ragnarok. – wyjaśnił Prentiss. – Tak jak człowiek robił to na Ziemi, walczą tutaj o swoją drogę na szczyty, aż nie staną się panami wszystkich stworzeń na swojej planecie. Nawet jednorożców i pełzaczy bagiennych. Teraz jednak pojawiliśmy się my, a one są na tyle inteligentne, żeby zrozumieć, że my sami również przywykliśmy do roli

gatunku dominującego. Nie może być dwóch władców na jednej planecie, i one dobrze o tym wiedzą. Ludzie albo szperacze, w końcu jedni będą musieli paść pod ciosami drugich.

– Myślę, że chyba masz rację – przyznał Lake. Popatrzył na strażników, z których jedna czwarta miała już uzbrojenie zredukowane do luków i strzał, chociaż nie mieli jeszcze czasu nauczyć się, jak ich używać. – Jeśli nawet wygramy tę wojnę o supremację, to będzie długa walka, być może nawet potrwa przez stulecia. A jeżeli wygrają ją szperacze, to być może wszystko skończy się już w ciągu roku lub dwóch.

Gigantyczna błękitna gwiazda, będąca drugim składnikiem układu podwójnego Ragnarok, szybko nabierała coraz większych rozmiarów i każdego ranka coraz bardziej wyprzedzała żółte słońce. Kiedy nadejdzie lato błękitne słońce będzie tak samo gorące jak żółte, a Ragnarok znajdować się będzie między nimi. Żółte słońce będzie wypalać ziemię w ciągu dnia, a błękitne przypiekać ją w nocy, która nie będzie nocą. Potem nadejdzie krótka jesień, a po niej długa, mroźna zima, podczas której żółte słońce świecić będzie bladym, zimnym światłem, daleko na południu, a błękitne słońce ponownie stanie się gwiazdą, odległą o dwieście pięćdziesiąt milionów mil i skrytą za zimnym żółtym słońcem.

Piekielna gorączka po wybudowaniu porządnych schronień trochę osłabła, ale nadal codziennie kogoś zabijała. Chiara i jego pomocnicy pracowali z niesłabnącą determinacją aby znaleźć jakieś lekarstwo na nią, ale takie lekarstwo, zakładając że w ogóle istniało, nieustannie wymykało im się z rąk. Cmentarz miał już czterdzieści grobów długości i czterdzieści szerokości, a każdego dnia dodawane były nowe. Dla wszystkich oczywisty stał się ponury fakt: wymierali bardzo szybko, a jeszcze nawet nie stawili czoła najgorszym aspektom Ragnarok.

Odwieczny instynkt przetrwania domagał się jednak swoich praw, i pomiędzy młodszymi zaczęto zawierać małżeństwa. Jedną z pierwszych, która wyszła za mąż, była Julia.

Pewnego wieczora przystanęła, żeby porozmawiać z Prentissem. Nadal nosiła swoją czerwoną spódnicę, teraz już mocno połataną i zniszczoną, ale jej twarz nie była już taka śmiała, tylko zmęczona i zamyślona.

– John, czy to prawda – spytała go, – że być może tylko niektóre z nas będą mogły mieć tutaj dzieci, i że większość z kobiet, które będą próbowały zajść w ciążę i urodzić dziecko w tej grawitacji, umrze z tego powodu?

– Tak, to prawda – przyznał. – Ale przecież wiedziałaś o tym, kiedy wychodziłaś za mąż.

– Tak… wiedziałam o tym. – Nastąpiła chwila milczenia. – Cale moje poprzednie życie było jedną wielką zabawą, a ja robiłem zawsze to co chciałam. Rasa ludzka specjalnie mnie nie potrzebowała, i obie dobrze o tym wiedziałyśmy. Teraz jednak… nikt z nas nie może stać na uboczu, albo czegokolwiek się obawiać. Jeśli będziemy samolubni i bojaźliwi, szybko nadejdzie czas, kiedy ostatni z nas powymierają, i na Ragnarok nie pozostaną nawet żadne ślady, mówiące że kiedyś tutaj byliśmy.

– Nie chcę, żeby to wszystko skończyło się w taki właśnie sposób. Chcę, żeby pojawiły się dzieci, które będą tutaj żyć, kiedy my już umrzemy. Dlatego mam zamiar spróbować urodzić dziecko. Nie boję się, i nie będę się bała w przyszłości.

Kiedy początkowo nic jej nie odpowiedział, dodała niemal nieśmiało:

– Pewnie z moich ust, musi to brzmieć trochę głupio.

– To brzmi mądrze i wspaniale, Julio – sprostował. – i prawdę mówiąc, spodziewałem się, że pewnego dnia to powiesz.

Nadeszła pełnia wiosny i rośliny wybuchły pękami liści, pąków i kwiatów. Stało się to bardzo szybko, ponieważ instynkty rozrodcze drzemiące w ich wnętrzu wiedziały w swój pozbawiony rozumu sposób, jak krótki jest czas na wzrost i rozmnażanie, zanim nadejdzie śmierć lata. Szperacze pewnego dnia nagle znikły, podążając na północ, za wiosną, a ludzie mogli wychodzić i pracować za palisadą bez ochrony uzbrojonych strażników.

Wtedy jednak pojawiło się nowe zagrożenie, którego się zupełnie nie spodziewali: jednorożce.

Palisada pozostała daleko za nimi, widoczna jako niebiesko-czarny prostokąt, a w górze z jasnością kilkunastu księżyców, płonęła błękitna gwiazda, znacząc las niebieskimi cieniami i lazurowym światłem. Prentiss wraz z innym myśliwym szli nieco przed dwoma strzelcami, idąc zakosami, tak by trzymać się rozjaśnionych światłem gwiazdy polan.

– To było po drugiej stronie tej następnej kępy drzew – półgłosem przekazał mu myśliwy. – Fred przygotowywał się do zabrania reszty leśnych kozłów. Powinien wrócić nie później niż dziesięć minut po mnie, a minęła już ponad godzina.

Obeszli zarośnięty drzewami teren. W pierwszej chwili wydawało się, że przed nimi niczego nie ma, poza pustą, trawiastą przestrzenią. Potem zobaczyli coś leżącego na ziemi, nie dalej niż dwadzieścia stóp przed nimi.

To był, a raczej to kiedyś był, człowiek. Był połamany i stratowany, zamieniony w ohydny bezkształtny worek, a coś oderwało mu ręce.

Przez chwilę panowała martwa cisza, a potem myśliwy szepnął:

– Co mogło to zrobić?

Odpowiedź nadeszła w postaci dzikiego piszczącego ryku i tupotu racic. Bezkształtny cień spoza drzew zmaterializował się nagle jako monstrualna szarżująca masa. Stworzenie wyglądało jak gigantyczny szary byk, o wysokości ośmiu stóp w kłębie, z uzębionym warczącym pyskiem dzika, a światło gwiazd połyskiwało wzdłuż krzywizny pojedynczego rogu o przerażającej długości.

– Jednorożec – zawołał Prentiss i podrzucił do ramienia swoją strzelbę.

Strzelby huknęły nierówną salwą. Jednorożec zapiszczał z furią i uderzył na myśliwego, nabijając go na swój róg, i odrzucając na odległość trzydziestu stóp. Jeden ze strzelców dostał się pod kopyta zwierzęcia, i jego wrzask zakończył się niemal tak samo szybko, jak rozpoczął.

Jednorożec rozerwał darń, rysując w niej głęboką bruzdę, kiedy zawrócił w stronę Prentissa i drugiego strzelca. Nie zakręcił, tak jak to robią czworonożne zwierzęta na Ziemi, ale okręcił się i zawirował na tylnich nogach. Kiedy wykonywał nawrót, wznosił się ponad nimi jak wieża, z końcem rogu znajdującym się na wysokości co najmniej piętnastu stóp, a jego przednie kopyta zawinęły się dookoła jak potężne maczugi.

Prentiss ponownie wystrzelił, wyszukując miejsce, które jak miał nadzieję, było jakimś ważnym dla życia regionem, a strzelec dał ognia chwilę później.

Strzały trafiły w dobre miejsce. Jednorożec zdołał wykonać nawrót do końca, ale nogi załamały się pod nim i padł na ziemię z ciężkim łomotem.

– Dostaliśmy go! – zawołał strzelec. – My…

Zwierzę na wpół uniosło się na nogi i wydało z siebie głos. Zew, który przebił ciemności nocy, na podobieństwo ryku potężnej trąby. Potem jednorożec upadł ponownie na ziemię, by umrzeć, a jego głos ciągle odbijał się echem od pobliskich wzgórz.

Ze wschodu nadszedł w odpowiedzi podobny ryk trąby, trąbienie zabrzmiało również z południa i z północy. Potem rozległo się basowe i przytłumione dudnienie, tak jakby tętentu tysięcy kopyt.

Twarz strzelca w świetle gwiazdy zrobiła się błękitno-biała.

– Zbliżają się inne… musimy przed nimi uciekać!

Odwrócił się i zaczął biec w kierunku odległego kształtu palisady.

– Nie! – szybko rozkazał Prentiss, ochrypłym głosem. – Nie w stronę palisady!

Strzelec biegł dalej, w panice wydając się nie słyszeć rozkazu. Prentiss krzyknął za nim jeszcze raz:

– Nie w stronę palisady… *naprowadzisz na nią jednorożce*!

Ale strzelec ponownie zdawał się go nie słyszeć.

Jednorożce pojawiły się już w zasięgu wzroku, zbierając się ze wschodu, południa i zachodu. Huk ich kopyt urósł do grzmotu, wypełniającego całą noc. Strzelec dopadłby do palisady tuż przed nimi, a one przeszły by przez nią, równie łatwo, jak gdyby była zrobiona z papieru.

Po krótkiej chwili cały obszar obozu wewnątrz palisady wypełniłby się pyłem, piskami krążących i szarżujących jednorożców, i okrzykami umierających. Ludzie znajdujący się w środku, nawet by nie mieli szansy jakiejkolwiek ucieczki. Po dwóch minutach, byłoby już po wszystkim, ostatnie dzieci zostałyby odnalezione pomiędzy porozbijanymi schronieniami, i stratowane na pobawione życia bezkształtne ochłapy, rozciągnięte na pokrwawionej ziemi.

W ciągu dwóch minut nastąpiłby koniec życia ludzkiego na Ragnarok.

Była tylko jedna rzecz, jaką mógł zrobić.

Przyklęknął na jedno kolano, żeby mógł dobrze wycelować, i muszka i szczerbinka jego strzelby pochwyciły plecy biegnącego człowieka. Nacisnął spust, strzelba trzasnęła sucho i uderzyła go w ramię.

Mężczyzna obrócił się i upadł ciężko na ziemię. Skręcał się, próbując unieść się choć trochę i obejrzeć do tyłu. Jego twarz zrobiła się biała i pojawił się na niej wyraz oskarżenia i niedowierzania.

– Strzeliłeś do mnie!

Potem upadł na twarz i leżał nieruchomo.

Prentiss odwrócił się, by spojrzeć na jednorożce i rozejrzał się po drzewach rosnących w pobliskim zagonie lasu. Zobaczył tylko to, o czym wiedział już wcześniej, to były młode drzewa i za małe, żeby mogły stanowić dla niego ratunek. Nie było żadnego miejsca, gdzie mógłby uciec, żadnego miejsca, gdzie mógłby się schować.

Nie mógł więc zrobić niczego innego, tylko czekać. Nie mógł zrobić niczego innego, jak tylko stać w błękitnym świetle gwiazdy, obserwować pędzące w jego stronę diabelskie stado, i myśleć w ostatnich chwilach swojego życia, jak szybko i niespodziewanie na Ragnarok, śmierć może pojawić się po człowieka.

Jednorożce trzymały Odrzuconych uwięzionych za palisadą przez resztę nocy i cały kolejny dzień. Lake zauważył ogień karabinowy prowadzony przez strzelców i obserwował jak stado jednorożców zabiło Johna Prentissa, a potem tratowało zabitych ludzi.

Zawczasu wydał rozkaz, aby przygotować rząd gotowych do szybkiego rozpalenia ognisk wewnątrz ściany palisady, zanim jeszcze jednorożce skończyły rozrywać swoje ofiary na kawałki, chrząkając i popiskując w tryumfie, kiedy kości trzaskały w ich pyskach, i rozrzucając fragmenty ciał na wszystkie strony.

Ogniska zostały rozniecone i nawrzucano do niech zielonych, mokrych gałęzi, tak by tliły się i dymiły przez jak najdłuższy czas. Wtedy do palisady podeszły jednorożce i wszyscy ludzie znajdujący się w środku, pochowali się w swoich schronieniach.

Lake zawczasu wydał również ostatni rozkaz: Panować ma absolutna cisza, aż do chwili kiedy jednorożce odejdą, jeżeli w ogóle to zrobią. Cisza miała zostać w razie potrzeby wymuszona pięścią lub wszelkimi innymi dostępnymi środkami.

Kiedy nadszedł poranek, jednorożce ciągle były na zewnątrz. Nie można było dołożyć do ognisk, widok ludzi poruszających się wewnątrz palisady, spowodowałby natychmiast szarżę całego stada na nią. Godziny wlokły się powoli, dym z płonących ognisk osłabł, kurcząc się

do cienkich pasemek. Jednorożce stawały się coraz śmielsze i coraz bardziej podejrzliwe, tłocząc się w pobliżu palisady i spoglądając przez szczeliny pomiędzy jej palami.

Słońce już zachodziło, kiedy jeden z jednorożców w końcu zatrąbił, innym dźwiękiem niż poprzednie wezwanie do walki. Pozostałe uniosły łby nasłuchując, a następnie odwróciły się i powędrowały z wolna dalej. W ciągu kilku minut całe stado odeszło już poza zasięg wzroku, zmierzając przez las w kierunku północnym.

Lake czekał i obserwował, dopóki nie upewnił się, że na dobre sobie odeszły. Wtedy zarządził odwołanie alarmu i pośpieszył do południowej ściany obozu, aby spojrzeć z góry na pustynną dolinę, mając nadzieję, że nie zobaczy tego, co spodziewał się zobaczyć.

Barber wszedł do niego na górę i odetchnął z ulgą.

– To było naprawdę blisko. Strasznie trudno zmusić tak wielu ludzi, aby siedzieli zupełnie cicho, godzina za godziną. A już szczególnie dzieci. One po prostu nie rozumieją.

– Będziemy musieli stąd odejść – oznajmił Lake.

– Odejść? – spytał Barber. – Możemy wzmocnić tę palisadę, tak by wytrzymała natarcie jednorożców.

– Spójrz na południe – powiedział tylko Lake.

Barber zrobił tak, i zobaczył to, co Lake dostrzegł już wcześniej, poruszającą się z wolna w ich stronę, szeroką chmurę kurzu, nisko nad ziemią.

– Kolejne stado jednorożców – potwierdził Lake. – John nie wiedział, że one migrują. Ekspedycja Dunbara była tutaj za krótko, żeby to stwierdzić. Przechodziło będzie tędy stado po stadzie, a my nie będziemy mieli nawet czasu, żeby umocnić ściany obozu. Musimy stąd odejść, i to jeszcze dzisiejszej nocy.

Poczyniono odpowiednie przygotowania do wymarszu. Przygotowania, które polegały głównie na rozdzieleniu pomiędzy wszystkich ludzi takich ilości pożywienia i zapasów, jakie tylko każdy z nich mógł przenieść. Przy sile ciężkości półtora razy większej, oznaczało to niezbyt dużo.

Wyruszyli, kiedy wzeszła niebieska gwiazda. Opuścili obóz przez północną bramę, a tylnia straż zamknęła ją za wszystkimi. Pomiędzy ludźmi nie było niemal rozmów. Niektórzy tylko odwracali się, by po raz ostatni rzucić okiem na miejsce, które na Ragnarok było jedynym domem jaki mieli, a potem wszystkie twarze skierowały się do przodu, na północny zachód, gdzie pogórze u stóp płaskowyżu być może oferuje im schronienie.

Znaleźli poszukiwane schronienie na drugi dzień, wapienne wzgórze, podziurawione jaskiniami jak plaster miodu. Mężczyźni natychmiast wyruszyli z powrotem, aby przynieść do nowego domu żywność i rzeczy pozostawione w palisadzie.

Wrócili, przynosząc wieści, że drugie stado jednorożców przełamało ściany i zamieniło wnętrze obozu wewnątrz palisady w rumowisko. Duża część zapasów żyzności i rzeczy została kompletnie zniszczona.

Lake posyłał ich jeszcze dwukrotnie, aby przynieśli wszystko, co do ostatniego kawałeczka pogiętego metalu, czy też każdej porwanej szmatki. Wszystko znajdzie swoje wykorzystanie w przyszłości.

System jaskiń był obszerny. Było tu dosyć miejsca nawet dla kilka razy większej liczby ludzi. Głębsze partie jaskiń musiały pozostać niezamieszkałe, dopóki nie doprowadzi się do nich odpowiednich ciągów wentylacyjnych, ale miejsca w zewnętrznych komnatach było i tak więcej niż wystarczająco. Natychmiast rozpoczęto prace, aby oczyścić je z leżącego gruzu, postrącać z góry cały luźno wiszący materiał skalny i powyrównywać podłogi. Z położonego

w pobliżu jaskiń wzgórza tryskało źródło, a dojście do jaskiń było tak wąskie i strome, że jednorożce mogłyby się do nich wdrapać jedynie z najwyższym trudem i to po jednym na raz. A i tak mogłyby dotrzeć jedynie na naturalny taras przed wejściem do jaskiń. Aby wejść do samych jaskiń były za duże, i mogłyby sobie co najwyżej postać na zewnątrz, same stanowiąc doskonały cel dla siedzących w środku łuczników.

Za przystosowanie jaskiń do zamieszkania odpowiedzialny był Anders, a jego siła robocza została ograniczona niemal wyłącznie do kobiet i dzieci. Lake wysłał Barbera na zewnątrz, z małą wydzieloną grupą mężczyzn, aby obserwowali leśne kozły i zorientowali się które rośliny one jedzą. A potem sprawdzili, na drodze eksperymentalnej, czy te rośliny mogą być bezpiecznie spożywane także przez ludzi.

Kiedy nadejdzie lato, ogromne wzrośnie zapotrzebowanie na sól. Ponieważ Lake sam kiedyś doświadczył dwóch tygodni pobytu na pustyni, bez zapasu soli, wątpił więc czy ktokolwiek z nich zdoła bez niej wytrzymać. Wszystkie grupy łowieckie, jak również zespół Barbera, otrzymały polecenie badania wszelkich złóż, które mogły zawierać sól, jak również wszystkich strumieni i sadzawek, które miały białe ślady wzdłuż brzegów.

Wyprawy łowieckie miały nadrzędne znaczenie, i były prowadzone aż do osiągnięcia kresów wytrzymałości. Każdy człowiek zdolny fizycznie do uczestnictwa w polowaniu, musiał towarzyszyć grupom myśliwych. Wszyscy którzy nie mogli zabijać zwierzyny łownej, mieli ją odnosić z powrotem do jaskiń. Nie było czasu do stracenia. Liczba jednorożców już zaczęła spadać, a leśne kozły znajdowano coraz dalej i dalej na północ.

Po dwudziestu dniach nieobecności wyprawy Barbera, Lake wyruszył na jej poszukiwania, martwiąc się o losy grupy. Ich misja mogła okazać się równie niebezpieczna jak każda z wypraw łowieckich. Ponadto nie było żadnych dowodów na to, że ludzie i stworzenia żyjące na Ragnarok były na tyle podobne, aby zagwarantować, że to co jest żywnością dla jednych, nie będzie trucizną dla drugich. Jednak była to bardzo potrzebna misja, jedzenie wyłącznie suszonego mięsa, mogło podczas lata przynieść poważne choroby związane z niedoborem odpowiednich składników pokarmowych, którym suszone zioła i owoce mogłyby zapobiec.

Kiedy odnalazł grupę Barbera, okazało się, że Barber leży pod drzewem, słaby i blady po swoich ostatnich eksperymentach, ale najwyraźniej wracający do zdrowia.

– Robiłem wczoraj za świnkę morską – oznajmił Barber. – Podejrzewaliśmy, że pewne małe purpurowe jagody, które leśne kozły od czasu do czasu skubną, mogły zawierać coś podobnego do jakichś witamin, czy czegoś podobnego. Coś mi się wydaje, że zjadłem ich za dużo, ponieważ łupnęły mnie w serce jak wierzgający muł.

– Czy w ogóle znalazłeś coś zachęcającego? – spytał Lake.

– Znaleźliśmy cztery rodzaje ziół, które są chyba najbardziej gwałtownymi środkami przeczyszczającymi, jakie w życiu widziałeś. I małą srebrzystą paproć, która ma smak jak cukierek przyprawiony wanilią, a po trzecim przełknięciu paraliżuje cię sztywnego jak deskę. Musi minąć godzina, zanim ci to minie.

– Ale teraz o lepszej stronie tego wszystkiego. Znaleźliśmy także trzy różne rodzaje roślin, które wydają się być w porządku. Wykopaliśmy je i powiesiliśmy na drzewach, żeby się zasuszyły.

Lake spróbował jadalnych ziół i stwierdził, że w smaku są nieco podobne do szpinaku. Była szansa, że mogą one zawierać potrzebne witaminy i substancje mineralne. Ponieważ wyprawy myśliwskie żywiły się wyłącznie mięsem, podjął decyzję, że musi pokazać jadalne zioła wszystkim tym grupom, tak aby ich członkowie wiedzieli co mogą jeść, gdyby którykolwiek z nich poczuł skutki niedoborów diety.

Odwiedzając różne grupy łowców, podróżował samotnie, stwierdzając, że taka podróż z każdym dniem staje się coraz bezpieczniejsza, w miarę kurczenia się w okolicy liczby jednorożców, aż do zupełnego niemal zupełnego zaniku tych zwierząt. Jednak wcale się nie

cieszył z tego zjawiska. Oznaczało ono bowiem, że niedługo ostatnie resztki zwierzyny odejdą na północ, zanim zgromadzone zostaną wystarczające duże zapasy mięsa.

Żadna z wypraw myśliwskich nie zanotowała dobrych wyników. Leśne kozły, i tak szybkie i trudne do upolowania, znikały razem z jednorożcami. Wystrzelano już ostatnie naboje, a łucznicy, chociaż przez cały czas się poprawiali, ciągle jednak dalecy byli od biegłości. Jednorożce, które powinny być ich głównym źródłem mięsa, były bardzo odporne na strzały, chyba że myśliwy trafił z niewielkiej odległości, w bok karku, tuż za łbem. A przy podchodzeniu na niewielką odległość, jednorożce nieodmiennie szarżowały, nie wystawiając takiego miejsca na cel.

Wyruszył w długą, trudną wspinaczkę, w górę południowej ściany płaskowyżu, aby w końcu stanąć na jego wierzchołku. Była to bezdrzewna, równa jak stół, zielona płaszczyzna, rozciągająca się na północ tak daleko jak tylko okiem sięgnąć. Może ze sto mil na północny zachód, położony był łańcuch górski, którego szczyty ciągle pokryte były czapami śnieżnymi. Z tej odległości wyglądał jak biała, nisko położona chmura na horyzoncie. Niekończącego się morza górskiej równiny nie zakłócały żadne inne góry ani wzgórza.

Trawa była tutaj gęsta, i tu i ówdzie widać było małe strumyki wody powstałej z niedawno stopniałego śniegu. Była to rajska kraina dla roślinożernej zwierzyny z Ragnarok, ale dla ludzi było to trudne, niemal niemożliwe do życia miejsce. Na tej wysokości powietrze było takie rzadkie, że nawet umiarkowany wysiłek powodował, że serce i płuca pracowały z prawdziwym bólem. Ciężki i przedłużający się wysiłek, byłby niemożliwy.

Wydawało się niepodobne, że na tak dużej wysokości ludzie mogą polować i narażać się na ataki jednorożców, ale dwie wyprawy łowieckie znalazły się tutaj już przed nim. Jedną z nich dowodził ponury Craig, a drugą śmiały Schroeder. Obie grupy ograniczały się do najmłodszych i najsilniejszych mężczyzn spośród Odrzuconych.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, odnalazł Schroedera, prowadzącego swoich łowców w stronę malej grupy leśnych kozłów. Pośród nich pasły się dwa jednorożce, i myśliwi obchodzili całe stado tak, aby znaleźć się po ich zawietrznej. Schroeder zobaczył że się zbliża, i cofnął się kawałek drogi, aby wyjść mu naprzeciw.

– Witamy w naszej zapierającej dech w piersiach krainie – przywitał go Schroeder. – Co tam słychać u innych wypraw myśliwskich?

Schroeder był wychudzony i spod jego ciągle giętkich ruchów, wyglądało zmęczenie. Jego bokobrody stanowiły skłębioną, najeżoną szczotę, a przez całą kość policzkową przebiegała brzydko wyglądająca, tylko na wpół zagojona rana. Na ramieniu miał kolejne głębokie rozcięcie, a coś poszarpało mu jedno ucho. Przypominał Lake'owi poszczerbionego w licznych walkach, nieposkromionego kocura, który nigdy, jak długo żyje, nie zrezygnuje z radości bitwy i niebezpieczeństwa.

– Jak dotąd – odparł Lake, – ty i Craig jesteście jedynymi grupami, które zdołały uporać się z płaskowyżem.

Zaczął wypytywać Schroedera o szczęście w łowach i dowiedział się, że było dużo lepsze niż u innych, dzięki zabiciu trzech jednorożców, metodą którą wymyślił Schroeder.

– Ponieważ łucznicy muszą znajdować się z boku jednorożca, aby go zabić – wyjaśniał Schroeder, – pomysł polega tylko na tym, aby wysłać jednego człowieka na przynętę i pozwolić jednorożcom gonić go pomiędzy ukrytymi łucznikami. Jeżeli mamy do czynienia tylko z jednym lub dwoma jednorożcami, jeżeli przynęta nie musi biec bardzo długo i jeżeli łucznicy nie chybią, to wszystko działa bardzo dobrze.

– Sądząc po twoim godnym pożałowania stanie – stwierdził Lake, – to za każdym razem przynętą musiałeś być ty.

– No cóż… – Schroeder wzruszył ramionami. – W końcu to był mój pomysł.

– Zastanawiałem się nad innym sposobem podejścia do strzału na bliską odległość – powiedział Lake. – Weź skórę leśnego kozła, nadaj jej kształt jak najbardziej zbliżony do

oryginalnego, a być może łucznik w środku będzie w stanie udawać pasącego się leśnego kozła, dopóki nie zajmie takiej pozycji do strzału, jaką będzie chciał.

– Jednorożce mogłyby nawet nie podejrzewać skąd nadleciała strzała – skonkludował. – Potem oczywiście mogą się zorientować.

– Wypróbuję ten sposób przed zachodem słońca, na tych dwóch jednorożcach, tam – odparł Schroeder. – Na tej wysokości i przy tym przyciąganiu, moja metoda jest dla człowieka trochę zbyt trudna.

Craiga i jego ludzi Lake odnalazł kilka mil na zachód, wszyscy byli mocno wynędzniali i zarośnięci, tak jak Schroeder.

– Przeżyliśmy tutaj piekło – stwierdził Craig. – Wydaje się, że za każdym razem, kiedy zauważamy parę leśnych kozłów pomiędzy nimi kręci się kilkanaście jednorożców. Gdybyśmy tylko mieli strzelby na te jednorożce…

Lake opowiedział mu o planie ukrycia się pod skórami leśnych kozłów i drugim systemie polowania z przynętą, wykorzystywanym przez Schroedera.

– Być może nie będziemy musieli używać metody Schroedera – zakończył Lake. – Zobaczymy jak działa ta druga. Ja sam wypróbuję ją jako pierwszy.

Nie było mu dane tego zrobić. Niecałą godzinę później, jeden z ludzi którzy pomagali suszyć mięso i transportowali je do jaskiń, wrócił aby donieść, że na obóz uderzyła dziwna nagła zaraza, która zabijała setkę ludzi dziennie. Doktor Chiara, który padł pod naporem choroby, przez cały czas forsując swoje siły w trosce o chorych, był pewien, że zarazę powodują niedobory pokarmowe. Zachorował na nią również Anders, a dowodzenie przejął Bemmon, wymuszając wykonywanie dobowych limitów pracy, i odmawiając spełnienia żądań Chiary, dotyczących leczenia choroby.

Lake pokonał drogę z powrotem do jaskiń, w niewielkim ułamku czasu, jaki zajęła mu podróż na płaskowyż, idąc tak długo dopóki niemal nie padł ze męczenia, a następnie odpoczywając jedynie przez godzinę lub dwie. Kiedy schodził z płaskowyżu, zauważył obóz Barbera i zboczył w jego stronę, aby nakazać Barberowi natychmiastowe wysłanie do jaskiń zgromadzonych przez niego zapasów ziół.

Kiedy dotarł do jaskiń, znalazł połowę obozu leżącą w łóżku, a drugą snującą się apatycznie przy zadaniach wyznaczonych im przez Bemmona. Anders był w poważnym stanie, za słaby by nawet się podnieść, a doktor Chiara umierał.

Przykucnął obok siennika Chiary i od razu się zorientował, że nie ma dla niego nadziei. Na bladej twarzy lekarza i w jego oczach, widać było cień świadomości odnośnie tego co się stanie.

– W końcu zorientowałem się, co to jest – słowa Chiary były bardzo ciche, trudne do dosłyszenia – i powiedziałem Bemmonowi co trzeba zrobić. To jest choroba niedoborów pokarmowych, potęgowana przez silną grawitację i przez nią przyjmująca postać nieznaną na Ziemi.

Przerwał, żeby odpocząć, a Lake czekał.

– Beri-beri… szkorbut… mieliśmy również choroby niedoborów na Ziemi. Ale żadna z nich nie była taka gwałtowna… i to tak szybko. Mówiłem Bemmonowi… racje owoców i warzyw dla wszystkich. Pośpiesz się… albo będzie za późno.

Ponownie przerwał, aby odpocząć. Resztki kolorów spłynęły z jego twarzy.

– A ty? – spytał Lake, znając już z góry odpowiedź.

– Dla mnie… za późno. Ciągle myślałem o wirusach… już wcześniej powinienem domyślić się oczywistego. Po prostu jak jakiś…

Koniuszki jego warg uniosły się lekko, i Chiara z przeszłości po raz ostatni uśmiechnął się do Lake'a.

– Po prostu jak jakiś cholerny osioł intern…

To było wszystko, potem komnata stała się nagle bardzo cicha. Lake wstał, żeby wyjść, i wymówił słowa, których Chiara miał już nigdy nie usłyszeć:

– Będziemy cię potrzebowali i za tobą tęsknili, Doktorze.

Bemmona znalazł w pieczarze przeznaczonej na magazyn żywności, nadzorującego pracę dwóch nastoletnich chłopców, z krytyczną oficjalnością, chociaż sam nie wykonał nawet jednego ruchu, aby im pomóc. Na widok Lake'a pospieszył w jego stronę, z przymilnym uśmiechem wjeżdżającym na twarz.

– Cieszę się, że wróciłeś – zawołał. – Musiałem przejąć dowodzenie, kiedy zachorował Anders, i zostawił wszystkie sprawy w takim rozgardiaszu. Dzień i noc pracowałem, żeby wyprostować jego pomyłki, i ponownie pchnąć prace na właściwe tory.

Lake popatrzył na dwóch chłopców o wychudłych twarzach, którzy natychmiast skorzystali z okazji, aby odpocząć. Oparli się ze zmęczeniem o koniec ciężkiego stołu, który kazał im przenosić Bemmon, a ich wzrok już pusty z powodu początków choroby, wbijał się w niego z niemą prośbą.

– Czy wykonałeś polecenia Chiary? – spytał.

– Och… nie – odparł Bemmon. – Uznałem, że najlepiej będzie je zignorować.

– Dlaczego? – dopytywał się Lake.

– Dawanie owoców i jadalnych roślin ludziom, którzy już umierają, byłoby bezsensownym marnowaniem naszego skromnego zapasu. Obawiam się – przymilny uśmiech pojawił się ponownie, – że pozwalaliśmy mu na wykonywanie władzy, do której nie jest w żaden sposób uprawniony. Tak prawdę mówiąc, to jest kimś niewiele więcej, niż studentem medycyny, a jego diagnozy polegają głównie na domysłach.

– On nie żyje – stanowczo oznajmił Lake. – A jego ostatnie polecenie zostanie wykonane.

Popatrzył na dwóch zmęczonych chłopców, zestawiając ich wycieńczenie i znużenie z nadal wydymającym się na zewnątrz pokaźnym brzuchem Bemmona i kolejnymi ciężkimi od tłuszczu fałdami, zwisającymi mu ze szczęki.

– Przyślę na dół Westa, żeby zajął się tym tutaj – powiedział do Bemmona. – Ty idziesz ze mną. My obaj wydajemy się być tutaj jedynymi zdrowymi ludźmi, a mamy mnóstwo pracy do zrobienia.

Cielęcy wyraz zniknął z twarzy Bemmona.

– Ach, rozumiem – oznajmił. – Teraz kiedy przekształciłem bałagan Andersa w sprawną organizację, masz zamiar przekazać moją władzę jakiemuś innemu ze swoich faworytów, a mnie zdegradować z powrotem do pracy fizycznej.

– Wyznaczenie limitów prac dla chorych i umierających ludzi, to nie jest organizacja – odparł Lake. Zwrócił się do chłopców: – Obydwaj natychmiast do łóżek. West znajdzie kogoś innego na wasze miejsce. – Potem do Bemmona: – Chodź ze mną. Obaj zajmiemy się teraz normalną pracą.

Mijali jaskinię, w której spał Bemmon. Właśnie wchodzili do niej dwaj chłopcy, niosący na rękach ładunki wyschniętej trawy, żeby zrobić materac pod siennikiem Bemmona. Poruszali się powoli i ciężko. Podobnie jak chłopcy w magazynie żywności, mieli puste oczy, z zaczątkami choroby.

Lake zatrzymał się, żeby dokładniej przyjrzeć się wnętrzu jaskini i sprawdzić jeszcze coś, co wydawało mu się, że zobaczył. Bemmon wyrzucił ze swojego łóżka skóry szperaczy, a na ich miejscu znajdowały się miękkie wełniane koce. Chyba jedyne niepołatane koce, jakie posiadali Odrzuceni.

– Wracajcie do swoich jaskiń – powiedział chłopcom. – Kłaść się do łóżek i odpoczywać.

Popatrzył na Bemmona. Wzrok Bemmona umykał gdzieś w bok, nie chcąc napotkać jego.

– Tych parę koców, jakie mamy są dla niemowląt i najmniejszych dzieci – stwierdził. Ton jego głosu był zimny i pozbawiony emocji, ale nie zdołał się powstrzymać przed zaciśnięciem wiszących po bokach pięści. – Oddasz je im natychmiast i będziesz spał na skórach zwierzęcych, tak jak robi to reszta mężczyzn i kobiet. A jeżeli potrzebujesz trawy na materac, to przyniesiesz ją sobie sam, tak jak robią to nawet małe dzieci.

Bemmon nic nie odpowiedział, ale jego twarz pociemniała czerwienią, a w oczach zabłysła mu nienawiść. W oczach które ciągle unikały wzroku Lake'a.

– Zwiń te koce i oddaj je – ponaglił Lake. – Potem przyjdź do mnie na górę, do głównej jaskini. Mamy mnóstwo pracy do zrobienia.

Kiedy się od niego odwrócił, czuł niemal wzrok Bemmona, palący mu plecy, i pomyślał o tym, co kiedyś powiedział o nim John Prentiss:

– Wiem, że nic dobrego z niego nie będzie, ale on nigdy nie miał na tyle jaj, żeby pójść na tyle daleko, by dać mi wymówkę do utemperowania go trochę.

Następnego dnia przybyli ludzie Barbera, obładowani suszonymi ziołami. Natychmiast zostały one podane poważnie chorym, jako dodatek do racji owoców i jadalnych roślin, a tym którzy jeszcze nie zachorowali, były podawane jako suplement do mięsa. Następnie rozpoczął się okres wyczekiwania. Nadziei, że to co zrobili nie było to za późno i za mało.

Zauważalna zmiana na lepsze rozpoczęła się już na drugi dzień. Minął tydzień i stan chorych zaczął się poprawiać, powoli ale stale. Ci, którzy byli tak nie do końca chorzy, już wrócili do zdrowia. Nie było już najmniejszych wątpliwości: zioła z Ragnarok zapobiegały nawrotowi choroby.

To wszystko było, pomyślał sobie Lake, takie proste, kiedy już wiedziało się co zrobić. Umarły setki ludzi, a wśród nich Chiara, ponieważ nie mieli zwykłego zielska, które rosło na nieco większych wysokościach. Nie utraciliby nawet jednego życia ludzkiego, gdyby potrafił zajrzeć o tydzień w przyszłość, i nieco wcześniej kazał znaleźć te zioła i przynieść je do jaskiń.

Ale choroba nie dała nawet żadnego znaku, że nadciąga. Na Ragnarok nic i nigdy nie dawało ci ostrzeżeń, zanim cię zabiło.

Minął kolejny tydzień, i zaczęli zaczynać z wolna zbierać się myśliwi, wychudzeni i wyczerpani, przynosząc wiadomości, że zwierzyna łowna znajduje się tylko na płaskowyżu, a w dole nie pozostała nawet jedna sztuka. To byli ci, którzy próbowali wytrzymać warunki dużej wysokości na płaskowyżu, ale im się nie udało. Spośród tych którzy stawili im czoła, wróciło na razie tylko dwie trzecie. Wszyscy oni próbowali zrobić wszystko co tylko byli w stanie, w granicach swoich możliwości i wytrwałości.

Do tego czasu niebieska gwiazda stała się już małym słońcem, a żółte słońce każdego dnia płonęło większym żarem. W miarę upływu czasu trawa na stokach wzgórz zaczęła brązowieć i usychać, i Lake zdał sobie sprawę, że lato jest już bardzo blisko. Powróciła ostatnia wyprawa łowiecka, poza grupami Craiga i Schroedera. Myśliwi przynieśli ze sobą bardzo niewiele mięsa, ale przydźwigali duże ilości niemal równie ważnej rzeczy: soli.

Znaleźli jej złoże w niemal niedostępnym regionie, potężnych skalnych ścian i kanionów.

– Nawet leśne kozły nie mogą się tam do niej dostać – stwierdził Stevens, dowódca wyprawy. – Gdyby sól była w bardziej dostępnym miejscu, mogłaby tam powstać lizawka i byłoby pełno kozłów.

– Jeżeli tylko leśne kozły idą do soli, tak jak robią to ziemskie zwierzęta – zastanawiał się Lake. – Kiedy zacznie się jesień, sami zrobimy lizawkę, i zobaczymy.

Minęły kolejne dwa tygodnie, i wrócili Craig i Schroeder wraz ze wszystkimi łowcami, którzy przeżyli. Podążali za zwierzyną aż do wschodniego krańca pokrytego śniegiem łańcucha górskiego, ale tam fala migracji zwierząt wymknęła im się z rąk, pokonując każdego dnia większą odległość, niż oni byli w stanie przejść. Czekali z zawróceniem niemal zbyt długo: trawa na południowych krańcach płaskowyżu zrobiła się brązowa, a strumienie powysychały. Z trudnością udało im się zdobyć dostateczne ilości wody, wykopując dziury w wyschniętych łożyskach strumieni.

Metoda podchodzenia jednorożców pod maskowaniem ze skóry leśnych kozłów, zadziałała dobrze jedynie kilka razy. Potem jednorożce nauczyły się ustawiać z wiatrem do każdego samotnego kozła leśnego. Jeżeli zaś wyczuły wewnątrz koźlej skóry człowieka, natychmiast na niego szarżowały i go zabijały.

Wraz z powrotem ostatnich myśliwych, zostało już zrobione wszystko co tylko było możliwe, aby przygotować się do nadejścia lata. Przeprowadzono inwentarz całkowitych zapasów żywności, i okazało się, że jest jej nawet jeszcze mniej niż obawiał się Lake. Było jej dużo za mało, aby wystarczyło do chwili kiedy jesień sprowadzi ponownie zwierzynę z północy i zarządził jeszcze ściślejsze jej racjonowanie niż przedtem.

Żar narastał, w miarę jak żółte słońce świeciło coraz goręcej, a błękitne robiło się coraz większe. Z każdym dniem roślinność coraz bardziej brązowiała, aż w końcu nadszedł pewien poranek, kiedy Lake nie mógł już dostrzec nawet skrawka zieleni, gdziekolwiek by nie spojrzał.

Tego ranka ich liczba wynosiła tysiąc sto dziesięć osób. Tyle pozostało z tak niedawnych czterech tysięcy. Tysiąc sto dziesięć chudych, wygłodzonych strachów na wróble, które, już wcześniej, nie mogły zrobić niczego, tylko apatycznie siedzieć w cieniu i czekać na zbliżające się piekło. Pomyślał o zapasach żywności, tak żałośnie małych, i o całych miesiącach na które musiały one wystarczyć. Widział ponurą, nieuniknioną przyszłość dla swoich podwładnych: głód. Nie mógł zrobić niczego, żeby temu zapobiec. Mógł jedynie spróbować uniknąć śmierci głodowej dla wszystkich, poprzez obcięcie racji do poziomu czystej egzystencji.

A i to będzie egzystencja wyłącznie dla najsilniejszych spośród nich. Słabsi już zostali skazani.

Tego wieczora kazał im zebrać się wszystkim przed wejściem do jaskiń, w miejscu gdzie taras osłonięty był cieniem wzgórza. Stanął przed nimi i przemówił:

– Wszyscy wiecie, że nasze zapasy żywności stanowią jedynie część z ilości jaka jest potrzebna do przetrwania przez nas lata. Od jutra obecny przydział zostanie obcięty o połowę. To wystarczy do przeżycia, ale z trudnością. Jeżeli tego nie zrobimy, zapasy żywności skończą się na długo przed jesienią, i wszyscy pomrzemy z głodu.

– Jeżeli ktokolwiek z was posiada jedzenie jakiegokolwiek rodzaju, musi ono zostać zwrócone i dodane do wspólnego zapasu. Niektórzy z was być może myślą o swoich dzieciach i trzymają trochę w ukryciu dla nich. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego chcieliście to zrobić. Ale musicie to oddać. Możliwe jest również, że niektórzy z was ukryli żywność dla samych siebie, osobiście. Jeżeli tak, to daję im pierwsze i ostatnie ostrzeżenie: zwróćcie to dzisiaj wieczorem. Jeżeli w przyszłości zostanie znaleziony choćby jeden ukryty skład jedzenia, to osoba która ją schowała zostanie potraktowana jak zdrajca i morderca.

– Wszyscy z was, poza dziećmi, wejdą do komnaty następnej za tą, w której przechowywana jest żywność. Każde z was, i nie będzie tu absolutnie żadnych wyjątków, niezależnie od tego jak bardzo byście byli niewinni, zabierze ze sobą duży węzełek złożony z ubrań, czy szmat. Każde z was wejdzie do komnaty samo. W środku nie będzie nikogo innego. Zostawicie jedzenie, które owinęliście w szmaty, jeżeli jakieś będziecie mieli, a następnie wyjdziecie tylnim wyjściem i wrócicie do swoich jaskiń. Nikt nawet nie będzie wiedział, czy węzełek, który przynieśliście ze sobą zawierał jedzenie, czy nie. Nikt nigdy o to nie zapyta.

– Nasze przetrwanie na tej planecie, jeżeli w ogóle uda nam się przetrwać, może zostać osiągnięte jedynie dzięki wspólnej pracy i poświęceniu. Nie może być żadnego egoizmu. To, co ktokolwiek z was zrobił w przeszłości, nie jest teraz istotne. Dzisiaj wieczorem wszystko zaczynamy na nowo. Od tej chwili ufamy jedni drugim bez żadnych zastrzeżeń.

– Dla tych, którzy zawiodą to zaufanie, będzie tylko jedna kara — śmierć.

Anders dał przykład i jako pierwszy zaniósł zwinięty węzełek do jaskini. Jak dowiedział się później Lake, ze wszystkich ludzi jedynie Bemmon wyraził jakieś poważniejsze oburzenie, ostrzegając wszystkich będących w pobliżu, że ten rozkaz to pierwszy krok w kierunku całkowitej dyktatury i systemu donosicielsko-policyjnego, w którym Lake i pozostali przywódcy pozbawią ich reszty wolności i godności. Bemmon upierał się, żeby pokazać, że węzełek który on przyniósł jest zupełnie pusty, a po tym kiedy to już zademonstrował, zaczął namawiać innych aby poszli za jego przykładem, co obnażyłoby bezlitośnie tych którzy mieli jakąś żywność i próbowali ją zwrócić.

Jednak nikt nie poszedł za przykładem Bemmona, i nie została wyrządzona żadna szkoda. A jeżeli chodzi o Lake'a, to miał dużo poważniejsze sprawy i zmartwienia na głowie, niż wrogość Bemmona.

Tygodnie wlokły się jeden za drugim, a każdy następny był dłuższy i trudniejszy do zniesienia niż poprzedni, z powodu stale zwiększającego się gorąca. Nadeszło przesilenie letnie i nigdzie już nie było ucieczki przed upałem, nawet w najgłębszych jaskiniach. Nocy nie było w ogóle. Błękitne słońce wschodziło na wschodzie, kiedy żółte zachodziło na zachodzie. Nigdzie nie było widać żadnych istot żywych, niczego, nawet owadów. Ponad wypaloną ziemią poruszały się tylko wirujące kolumny pyłu i zniekształcone miraże.

Wskaźnik śmiertelności rósł w przerażającym tempie. Niewielkie zapasy mleka puszkowanego, mleka w proszku, owoców i warzyw były zarezerwowane wyłącznie dla dzieci, ale i tak było ich za mało. Zioła z Ragnarok zapobiegały nawrotowi wszystkich śmiercionośnych chorób niedoboru, nie były jednak wystarczająco pożywne, by pomagać w walce z gorącem i zwiększonym ciążeniem. Silniejsze dzieci leżały zmęczone i apatyczne na swoich siennikach, podczas gdy te nie takie silne umierały każdego dnia.

Niemal codziennie wycieńczone matki z pustymi oczyma, przychodziły błagać go aby uratował ich dzieci.

– …tak niewiele potrzeba, aby uratować jego życie… Proszę… zanim będzie za późno…

Ale jedzenia było już tak mało, a czasu do chwili gdy jesień przyniesie im ulgę od głodu, jeszcze tak dużo, że każdej z nich mógł jedynie odpowiedzieć ponuro i ostatecznie:

– Nie.

I obserwować jak ostatni płomyk nadziei migocze i umiera w ich oczach, jak odwracają się, aby odejść i spędzić ostatnie godziny obok swoich dzieci.

Bemmon robił się coraz bardziej drażliwy i coraz więcej się skarżył, w miarę jak reglamentacja i gorąco zmieniało jego życie w udrękę. Upierał się, żeby za brak jedzenia obwiniać Lake'a i innych, że ich wysiłki łowieckie były niekompetentne i bojaźliwe. Sugerował również, tak faktycznie tego nie mówiąc, że Lake i pozostali zabronili mu zbliżać się do komnaty z jedzeniem, ponieważ nie chcieli żeby taki kompetentny i uczciwy człowiek jak on mógł kontrolować to co robią oni.

Pewnego gorejącego popołudnia, kiedy pozostało ich już tylko sześćset troje, Julia nie mogła już dłużej wytrzymać jego nieustannego mściwego wypominania błędów. Jak niedługo

po całym fakcie dowiedział się Lake, zwróciła się do Bemmona wybuchając gniewem, którego nie była w stanie już dłużej kontrolować. Powiedziała mu:

– Gdybyś tylko raczył zamknąć swoją gębę, usłyszałbyś dzieci, które właśnie umierają… Ale ciebie to w ogóle nie obchodzi. Przez cały czas myślisz wyłącznie o sobie. Twierdzisz, że Lake i inni są tchórzami, ale nie ośmieliłeś się wyruszyć razem z nimi na polowanie. Ciągle tylko insynuujesz, że oni nas oszukują, że jedzą więcej niż my… ale to twoje brzuszysko jest jedynym, na którym zachowała się choćby odrobina tłuszczu…

Nigdy nie dokończyła rozpoczętego zdania. Twarz Bemmona zrobiła się sina w nagłym ataku dzikiej furii i uderzył ją, rzucając nią o skalną ścianę tak mocno, że upadła nieprzytomna na ziemię.

– Ona łże jak suka! – wysapał, wpatrując się w innych rozjarzonym wzrokiem. – Jest ohydnym kłamcą, i każdy kto powtórzy jej słowa, dostanie tak jak ona!

Kiedy Lake dowiedział się co się stało, nie od razu posłał po Bemmona. Zastanawiał się, dlaczego jego reakcja była tak szybka i gwałtowna. Wydawało się, że na to jest tylko jedna odpowiedź: Brzuch Bemmona rzeczywiście był lekko tłustawy. Był tylko jeden sposób, w jaki mógł go utrzymać w tym stanie.

Wezwał Craiga, Schroedera, Barbera i Andersa. Poszli do komnaty w której spał Bemmon, i niemal natychmiast znaleźli jego składzik. Zakopał go pod siennikiem i poukrywał w niewidocznych szczelinach w ścianach. Miał suszone mięso, suszone owoce i mleko w proszku, warzywa w puszkach. Żywności było zdumiewająco dużo, i wiele z tych produktów myślano że już się skończyło, podczas ataku choroby niedoboru.

– Wygląda na to – stwierdził Schroeder, – że kiedy zrobił z siebie przywódcę, nie zmarnował nawet chwili, zagarniając wszystko jak leci.

Pozostali nie powiedzieli nic, tylko stali ze zmrożonymi twarzami, czekając na następny krok Lake'a.

– Przyprowadź Bemmona – polecił Lake Craigowi.

Craig wrócił z nim dwie minuty później. Bemmon zesztywniał na widok swoich opróżnionych kryjówek, i kolor spłynął z jego twarzy.

– No i? – spytał go Lake.

– Ja nie… – Bemmon przełknął ślinę. – Ja nie wiedziałem, że to tutaj było. – A potem szybko dorzucił: – Nie możecie dowieść, że to ja włożyłem tam tę żywność. Nie udowodnicie, że po prostu nie przynieśliście jej sami, żeby mnie o to oskarżyć.

Lake wpatrywał się w Bemmona, ciągle czekając. Pozostali obserwowali Bemmona, podobnie jak Lake, i nikt się nie odzywał. Cisza pogłębiała się, a na twarzy Bemmona pojawiły się krople potu. Stał i próbował uniknąć ich wzroku. Ponownie spojrzał na obciążające go dowody, i jego wyzywająca postawa prysła.

– To… Gdybym tego nie zabrał, zostałoby zmarnowane na umierających – powiedział błagalnym tonem. Otarł mocno spoconą twarz. – Naprawdę, już nigdy więcej tego nie zrobię… Przysięgam, że nie zrobię.

Lake powiedział do Craiga.

– Ty i Barber, zabierzcie go na punkt obserwacyjny na zewnątrz.

– Co… – Protest Bemmona szybko został ucięty, kiedy Craig i Barber załapali go pod ramiona i szybko wyprowadzili z komnaty.

Lake zwrócił się do Andersa.

– Przynieś sznur – polecił mu.

Anders lekko pobladł na twarzy.

– Sznur?

– A na co innego zasłużył?

– Na nic – odparł Anders. – Nie… nie po tym co zrobił.

Po drodze do wyjścia przechodzili obok miejsca, gdzie leżała Julia. Bemmon uderzył nią o ścianę z taką siłą, że ostry wystający odłamek skalny zadał jej głęboką ranę w czoło. Jedna z kobiet wycierała krew z jej twarzy, a ona leżała bezwładnie, nadal nieprzytomna. Pozostał z niej kruchy cień śmiałej dziewczyny, którą kiedyś była, z nowym życiem, jakie próbowała im dać, w postaci niewielkiego, niemal niezauważalnego wybrzuszenia, w jej wychudzonych z głodu kształtach.

Posterunek obserwacyjny stanowiła wystająca z grzbietu wzgórza ostroga skalna, położona sześćset stóp od jaskiń i doskonale z nich widoczna. Stało tam samotne drzewo, którego suche gałęzie sterczały przez brązowe resztki liści jeszcze żyjących konarów, jak białe ramiona. Craig i Barber już czekali pod drzewem, trzymając między sobą Bemmona. Zniżające się ku zachodowi słońce, świeciło jasnym i gorącym blaskiem na twarzy Bemmona, który spoglądał zmrużonymi oczyma do tyłu, w stronę jaskiń, skąd zbliżali się Lake i pozostała dwójka.

Wykręcił się, żeby popatrzeć na Barbera.

– Co to jest…? Dlaczego mnie tutaj przyprowadziliście? – W jego głosie słychać było drżenie lęku. – Co macie zamiar ze mną zrobić?

Barber nie odpowiedział, i Bemmon odwrócił się z powrotem w stronę Lake’a. Zauważył sznur w ręku Andersa, i jego twarz pobladła ze zrozumieniem.

– Nie!

Rzucił się do tyłu z gwałtownością, która niemal pozwoliła mu się wyrwać.

– Nie… nie!

Schroeder zrobił kilka kroków naprzód, żeby pomóc go trzymać, a Lake wziął sznur od Andersa. Zaczął wiązać na jego końcu pętlę, podczas gdy Bemmon szarpał się, sapiąc i wydając z siebie zwierzęce odgłosy, z oczyma wpatrzonymi w sznur, z pełną zgrozy fascynacją.

Kiedy pętla została zawiązana, Lake przerzucił wolny koniec sznura przez biały konar ponad głową Bemmona. Rozluźnił pętlę, a Barber złapał ją i przeciągnął przez głowę Bemmona, układając wokół jego szyi.

Bemmon przestał się szarpać i obwisł słabo. Przez chwilę wydawało się, że zemdleje. Potem parę razy poruszył bezgłośnie ustami, aż w końcu udało mu się wykrztusić słowa:

– Nie chcecie… nie możecie… mnie naprawdę powiesić?

Lake przemówił do niego.

– Powiesimy cię. To co ukradłeś, uratowałoby życie dziesięciorga dzieci. Widziałeś dzieci, które płakały, ponieważ były tak bardzo głodne. Widziałeś je, jak stają się za słabe, żeby nawet płakać, albo się czymkolwiek przejmować. Obserwowałeś je, jak umierają każdego dnia i każdej nocy, podczas gdy ty zjadałeś żywność, która była dla nich przeznaczona.

– Powiesimy cię za zamordowanie dzieci i za zdradę zaufania jakie w tobie pokładaliśmy. Jeżeli masz cokolwiek do powiedzenia, to powiedz to teraz.

– Nie możecie! Ja też miałem prawo do życia… do zjedzenia tego, co inaczej byłoby zmarnowane na umierających ludzi! – Bemmon wykręcił się, aby odwołać się do tych, którzy go trzymali. Wykrzykiwane przez niego słowa były urywane i pełne histerii. – Nie możecie mnie powiesić… Ja nie chcę umierać!

Odpowiedział mu Craig, z uśmiechem, przypominającym wygląd warczącego wilka.

– Tak jak nie chciało żadne z dwójki moich dzieci.

Lake skinął głową w stronę Craiga i Schroedera, nie chcąc już dłużej zwlekać. Zrobili krok do tyłu, aby złapać wolny koniec sznura, podczas gdy Bemmon z wrzaskiem przyjmował to co miało za chwilę nadejść, wyrywając się z uścisku Barbera.

Po chwili wrzask urwał się gwałtownie, kiedy sznur poderwał go z szarpnięciem w powietrze. Rozległ się trzask, a potem zaczął spazmatycznie kopać nogami, z głową groteskowo przechyloną na jedną stronę.

Craig, Schroeder i Barber obserwowali go z twardymi, pozbawionymi wyrazu twarzami, Ale Anders odwrócił się szybko i gwałtownie zwymiotował.

– On zdradził nas jako pierwszy – oznajmił Lake. – Umocujcie sznur i zostawcie go, żeby tak wisiał. Jeżeli są jeszcze inni jemu podobni, niech wiedzą, czego się spodziewać.

Kiedy wrócili do jaskiń, wzeszło już niebieskie słońce. Poza nimi Bemmon wisiał, huśtając się i obracając na końcu sznura. Razem z nim wirowały i biegały dwa jasne cienie, żółty padał na zachód, a niebieski na wschód.

Bemmon został pogrzebany następnego dnia. Niektórzy z obecnych przeklinali jego pamięć, a ktoś nawet napluł na jego grób. Potem stał się częścią martwej przeszłości, ponieważ musieli stawić czoła cierpieniom, które były dopiero przed nimi.

Julia wkrótce wyzdrowiała, chociaż na zawsze pozostała jej brzydka, poszarpana blizna na czole. Anders, w przeszłości blisko współpracujący z Chiarą, i próbujący zająć jego miejsce, uspokajał jej obawy, zapewniając ją, że dziecko które w sobie nosiła, ciągle jeszcze było za małe, aby jej upadek spowodował jakieś poważne niebezpieczeństwo jego utraty.

W ciągu następnego miesiąca z północnego zachodu trzykrotnie nadciągał potężny ryczący wiatr, przynosząc ze sobą chmury szarego pyłu, które wypełniły niebo i otuliły ziemię gorącym duszącym mrokiem, przez który nie było widać słońca.

Pewnego razu w niewielkiej odległości od nich zebrały się ciężkie chmurzyska, z których lunęła potężna nawałnica, prawdziwe oberwanie chmury. Półtora razy większa siła ciężkości stworzyła ścianę wody, sunącą w dół kanionu z większą siłą i szybciej, niż miałoby to miejsce na Ziemi. Wyrzucała ona wysoko w górę głazy o rozmiarach małych domów, które roztrzaskiwały się na kawałki. Deszcz jednak padał tylko na bardzo niewielkim obszarze, a nad samymi jaskiniami nie spadła nawet kropla.

Jeden tylko czynnik działał na ich korzyść, i gdyby nie to, nie mieli by szans przetrwania takiego intensywnego nieustannego gorąca. Była to bardzo niska wilgotność. W gorącym, suchym powietrzu, woda wyparowywała niesłychanie szybko i gruczoły potowe działały z najwyższą możliwą efektywnością. W wyniku tego wypijali olbrzymie ilości wody. Średnio dorosły człowiek potrzebował pięciu galonów na dzień. Cały brezent został przerobiony na worki na wodę i zastosowanie tych samych metod schładzania przez parowanie, dawało im wodę, która była jedynie ciepła, zamiast szaleńczo gorąca, tak jak byłaby w przeciwnym przypadku.

Pomimo jednak braku wilgoci, gorąco było ciągle jednak większe, niż kiedykolwiek na Ziemi. Nie ustawało ono ani na chwilę, za dnia czy w nocy, nigdy nie mieli nawet przejściowego wytchnienia. Były pewne granice wytrzymałości ciała ludzkiego w tych morderczych warunkach, niezależnie od siły jego woli. Każdego dnia danina życia tych, którzy te granice osiągnęli, była coraz większa, jak szybko narastająca fala.

Pozostało ich już tylko trzysta czterdzieścioro, kiedy spadł pierwszy deszcz. Deszcz, który oznaczał koniec lata. Żółte słońce przesunęło się na południe, a błękitne stale kurczyło. Trawa ponownie odrosła i wróciły leśne kozły, a razem z nimi urodzone na północy młode, które osiągnęły już połowę rozmiarów swoich matek.

Przez pewien czas mieli mięso i zielone zioła. Potem powróciły także szperacze, czyniąc polowanie niebezpiecznym. Widywano również ich samice ze szczeniakami, ale zawsze z dużej odległości, tak jakby szperacze, podobnie jak i ludzie, nie ryzykowały życiem swoich dzieci.

Niemal razem z pierwszymi szperaczami, powróciły jednorożce, ze zdumiewająco dużymi młodymi, które już zostały odstawione od piersi. Polowanie stało się wtedy

podwójnie niebezpieczne, ale łucznicy, z konieczności, szybko uczyli się jak używać posiadanych łuków z coraz większą zręcznością i śmiercionośnością.

Próbowano z nadzieją stworzyć lizawki dla kozłów leśnych, chociaż sam Lake uważał to za rzecz bardzo niepewną. Przekonali się, że sól była czymś do czego kozioł leśny czasami mógł przyjść, ale często zostawiał w spokoju. A jeśli w pobliżu lizawki byli myśliwi, to zawsze obchodził ją z daleka.

Wyprawy łowieckie zaczęły wędrować za zwierzyną na odległość wielu mil na południe. Myśliwi powrócili w dniu, w którym przez krawędź płaskowyżu przewaliła się z rykiem i z wyciem pierwsza zamieć śnieżna, zamieć oznaczająca początek długiej zimy. Do tego czasu byli już do niej przygotowani najlepiej jak to tylko było możliwe. Poznoszono w wielkich ilościach drewno, a jaskinie zostały wyposażone w prymitywne drzwi i system wentylacyjny. No i mieli mięso, nie tak dużo ile by potrzebowali, ale wystarczająco dużo, aby uniknąć głodu.

Kiedy powrócili ostatni myśliwi, Lake sporządził inwentaryzację zapasów żywności, i w nieregularnych i niezapowiedzianych odstępach, sporządzał spisy kontrolne. Nie znalazł żadnych braków. Nie oczekiwał ich zresztą. Grób Bemmona już dawno temu został pokryty przez nanoszony śnieg, ale sznur ciągle wisiał z martwego konaru, z kołyszącą się i obracającą na wietrze pętlą.

Anders jeszcze wiosną sporządził kalendarz dla Ragnarok, na podstawie danych jakie przekazał mu John Prentiss. Zaznaczył również na nim odpowiednie daty dla Ziemi. Czystym zbiegiem okoliczności Boże Narodzenie wypadało w pobliżu środka zimy. W dniu Bożego Narodzenia obowiązywały normalne racje żywnościowe, ale dla dzieci pościnano małe brązowe drzewka, które zostały przystrojone rozmaitymi ozdobami sporządzonymi z materiałów jakie znalazły się pod ręką.

Tego dnia rankiem, z płaskowyżu zeszła z rykiem kolejna śnieżna zamieć, biała śmierć, która wyła i ryczała na zewnątrz jaskiń, w temperaturze ponad osiemdziesięciu stopni poniżej zera. Jednak w środku w jaskiniach było ciepło dzięki palącym się ogniom, a pod drzewkami znalazły się zabawki, które zostały cierpliwie wyrzeźbione z drewna, albo pozszywane ze skrawków szmatek i zwierzęcych skór, kiedy dzieci spały. Były to toporne i prymitywne zabawki, ale gdy dzieci je zobaczyły, ich blade i wychudzone twarze rozjaśniły się z zachwytu.

Wszędzie rozlegały się śmiechy bawiących się dzieci, dźwięk którego nie słyszano od wielu miesięcy, a potem ktoś zaczął śpiewać stare, stare piosenki. Tego dnia przez kilka ulotnych godzin, po raz pierwszy i po raz ostatni, na Ragnarok zapanowała magia ziemskiego Bożego Narodzenia.

Tej nocy urodziło się dziecko Julii, na sienniku z wysuszonej trawy i skór szperaczy. Poprosiła, żeby podać jej dziecko, zanim umrze, i pozwolili jej je potrzymać.

– Wcale się nie bałam, nieprawda? – spytała. – Chciałabym tylko, żeby nie było tak ciemno… żebym mogła zobaczyć moje dziecko zanim odejdę.

Zabrali jej dziecko z rąk, kiedy umarła, i wyjęli z koca, który nie pozwolił jej się zorientować, że dziecko urodziło się martwe.

Kiedy nadeszły pierwsze gwałtowne wiosenne burze, pozostało dwieście pięćdziesiąt osób. Do tego czasu przyszło na świat osiemnaścioro dzieci. Szesnaścioro z nich urodziło się martwych, przy czym ośmioro z nich było zdeformowanych przez silniejszą grawitację. Dwójka która przeżyła wyglądała jednak jak zupełnie normalne dzieci z Ziemi. Była tylko jedna różnica: wydawało się, że półtora razy większa siła ciężkości nie działa na nie tak bardzo, jak na dzieci urodzone na Ziemi.

Jeśli chodzi o samego Lake'a, to tej wiosny się ożenił. Wziął ślub z wysoką, szarooką dziewczyną, która walczyła u boku mężczyzn tej burzliwej nocy, kiedy szperacze wdarły się do obozu Johna Prentissa. Ożenił się również Schroeder, wydawałoby się ostatni człowiek, który mógłby to zrobić.

Również tej wiosny Lake podzielił łuczników na dwie grupy: tych którzy używali zwykłych krótkich łuków, i tych którzy mieli używać długich łuków, jakie zostały zrobione zimą. Zgodnie z wiedzą historyczną angielscy łucznicy z czasów średniowiecza, używający właśnie długich łuków, nie mieli sobie równych pod względem zasięgu i dokładności swoich strzał, i taka broń o nadzwyczajnej sile, mogłaby wyeliminować konieczność podchodzenia na niewielką odległość do leśnych kozłów, i dawać lepszą obronę przed jednorożcami.

Długie łuki działały tak dobrze, że w środku wiosny mógł oderwać Craiga i trzech innych ludzi od polowania, i wysłać ich na ekspedycję w poszukiwaniu surowców. Prentiss mówił co prawda, że Ragnarok była pozbawiona rud metali, ale miał jednak nadzieję odnalezienia niewielkich żył, które umknęły przyrządom ekspedycji Dunbara. Musieli znaleźć rudy metali, albo w przeciwnym przypadku w końcu cofną się do poziomu łupania kamiennych siekier.

Craig i jego ludzie wrócili, kiedy błękitna gwiazda ponownie stała się słońcem, i gorąco przekraczało poziom przy którym ludzie mogli chodzić i pracować na zewnątrz. Zrobili wielkie koło, pokonując setki mil, ale nie znaleźli rud żadnych metali.

– Kiedy nadejdzie jesień, chciałbym rozejrzeć się na południu – stwierdził Craig. Być może tam będzie inaczej.

Tego lata nie stali wobec głodu, tak jak w poprzednim roku. Dieta oparta na mięsie i suszonych ziołach była prymitywna i prosta, ale przynajmniej mieli wystarczająco dużo zapasów.

Nadeszła pełnia lata, i cała kraina ponownie została wypalona i pozbawiona śladów życia. Nie można było zrobić z tym niczego, tylko siedzieć w cieniu i ze stoickim spokojem znosić gorąco, wyciągając jak najwięcej pokrzepienia duchowego z faktu, że przesilenie letnie już minęło, a słońca zaczęły przesuwać się na południe, nawet jeśli miało minąć jeszcze wiele tygodni, zanim ciepło zacznie słabnąć.

Właśnie wtedy, zupełnie przypadkowo, Lake odkrył, że coś jest nie tak z ruchem słońc na południe.

Tego dnia wracał z posterunku obserwacyjnego, i w pewnej chwili uświadomił sobie, że minął dokładnie rok, od czasu kiedy on i inni wracali do jaskiń, pozostawiając za sobą wiszącego na konarze Bemmona.

To była nawet ta sama pora dnia, niebieskie słońce wstawało na wschodzie za jego plecami, a żółte słońce świeciło mu prosto w oczy, dotykając zachodniego horyzontu przed nim. Zapamiętał sobie, że żółte słońce znajdowało się wtedy dokładnie, tak jakby na muszce wielkiej strzelby, w najgłębszym rozcięciu o kształcie V, rysowanym na horyzoncie przez zachodnie wzgórza…

A teraz, dokładnie rok później nie było w środku rozcięcia. Było wyraźnie po jego północnej stronie.

Obejrzał się na wschód, na błękitne słońce. Również i ono, wydawało mu się być dalej na północ, niż w zeszłym roku, chociaż w tym przypadku nie miał żadnego znaku szczególnego terenu, przy pomocy którego mógłby to sprawdzić.

Nie było jednak najmniejszych wątpliwości co do żółtego słońca: przesuwało się na południe, tak jak powinno robić o tej porze roku, ale spóźniało się w stosunku do rozkładu. Jedyne wytłumaczenie tego faktu jakie mógł wymyślić Lake, oznaczało jeszcze jedno zagrożenie dla ich przetrwania, być może nawet większe niż wszystkie pozostałe razem wzięte.

Żółte słońce zaszło już zupełnie za północne zbocze rozcięcia, i poszedł do jaskiń. Znalazł Craiga i Andersa, jedynych którzy mogli coś wiedzieć o nachyleniu osi obrotu Ragnarok, i opowiedział im o tym co właśnie zobaczył.

– Sporządziłem kalendarz na podstawie danych jakie dał mi John – stwierdził Anders. – Ludzie Dunbara wykonywali obserwacje i obliczyli długość roku na Ragnarok, i nie wydaje mi się, żeby popełnili tutaj jakieś błędy.

– Jeżeli nie popełnili błędów – odparł Lake, – to czeka nas coś bardzo nieprzyjemnego.

Craig przyglądał się mu głęboko, z zamyśleniem.

– Coś, jakby epoki lodowcowe na Ziemi? – spytał.

Lake skinął potwierdzająco głową, Anders zaś stwierdził:

– Nie rozumiem.

– Każdego roku biegun północny zwraca się ku słońcu, aby dać nam lato, i w przeciwną stronę, aby dać nam zimę – wyjaśnił Lake. – Co oczywiście, sam dobrze wiesz. Możliwe są jednak również ruchy wielkości nachylenia osi obrotu planety. Na Ziemi występują one w przedziałach czasu o długości tysięcy lat. Proces zwracania się części planety ku słońcu, generujący lata i zimy przebiega tak jak zwykle, ale w miarę jak mijają wieki, jej nachylenie latem do słońca maleje, a zimą od słońca staje się większe. Biegun północny odsuwa się od słońca coraz bardziej i bardziej, i pola lodowe przesuwają się z północy na niższe szerokości. Mamy epokę lodowcową. Potem proces odsuwania się bieguna północnego od słońca wyhamowuje, i lodowce wycofują się, w miarę jak coraz bardziej zwraca się on ku słońcu.

– Rozumiem – stwierdził Anders. – I jeżeli tutaj mamy do czynienia z taką samą rzeczą, to wychodzimy właśnie z epoki lodowcowej, ale w tempie tysiące razy szybszym niż na Ziemi.

– Nie mam pojęcia, czy chodzi o samo nachylenie Ragnarok, czy też orbity jej słońc nawzajem wokół siebie, w okresie wielu lat kumulują swoje wpływy na jej orbitę – zastanawiał się Lake. – Wyprawa Dunbara nie była tutaj wystarczająco długo, żeby przebadać tego typu sprawy.

– Wydaje mi się, że to lato było gorętsze niż ostatnie – powiedział Craig. – Być może to tylko moja wyobraźnia, ale jeśli nachylanie się ku słońcu będzie się pogłębiać, to za parę lat to już nie będzie kwestia wyobraźni.

– Nadejdzie wtedy czas, że będziemy musieli stąd odejść – stwierdził Lake. – Każdej wiosny musielibyśmy wędrować na północ, na górze, płaskowyżem. Tam nie ma żadnego drewna. Nic tylko trawa, wiatr i rozrzedzone powietrze. Każdej jesieni musielibyśmy z kolei migrować na południe.

– Tak… migrować. – Twarz Andersa w ostro odbijającym się świetle błękitnego słońca, wyglądała na starą i zmęczoną, a jego włosy w ciągu ostatniego roku zrobiły się niemal białe. – Tylko młodzi mogliby się na tyle zaadaptować, aby powędrować górą przez płaskowyż, na jego północne krańce. Reszta z nas… ale nam i tak nie pozostało już zbyt wiele lat. Ragnarok jest dla młodych… Jednak jeżeli oni będą musieli migrować w tą i z powrotem, jak zwierzęta, tylko po to żeby utrzymać się przy życiu, to nigdy nie będą mieli czasu na to aby cokolwiek osiągnąć, albo stać się czymś więcej niż tylko nomadami epoki kamiennej.

– Szkoda że nie możemy jakoś się dowiedzieć, jak długie będzie to Wielkie Lato, do którego zmierzamy – powiedział Craig. – Ani jak długa i jak mroźna będzie Wielka Zima, kiedy Ragnarok odchyli się dalej od słońca. To i tak by niczego nie zmieniło, ale chciałbym to wiedzieć.

– Zaczniemy sporządzać i zapisywać codzienne obserwacje – oznajmił Lake. – Być może pochylenie zacznie się cofać w drugą stronę, zanim będzie za późno.

Jesień w tym roku wydawała się nadciągać nieco później. Craig powędrował na południe jak tylko pozwoliła na to pogoda, ale tam również nie było żadnych minerałów, tylko wyjałowione z wszelkich surowców wzgórza, o coraz mniejszych rozmiarach, przechodzące dalej w płaską prerię, opadającą powoli coraz bardziej w dół, w kierunku południowych nizin, na których wszystkie stworzenia na Ragnarok spędzały zimę.

– Kiedy nadejdzie wiosna, spróbuję wyruszyć ponownie na północ – powiedział Craig. – Być może znajdę coś w tych górach, na płaskowyżu.

Nadeszła zima, i Elaine umarła, dając mu syna. Strata Elaine była niespodziewanym ciosem. Zabolała go bardziej, niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać.

Ale miał syna… I na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za zrobienie wszystkiego, co tylko będzie możliwe, aby zapewnić przetrwanie swojemu synowi, oraz synom i córkom wszystkich pozostałych.

Jego punkt widzenia zmienił się i zaczął coraz częściej myśleć o przyszłości, i to nie tylko w horyzoncie kilku najbliższych lat, ale w kategoriach mających nadejść nowych pokoleń. Pewnego dnia jeden z tych młodych ludzi miał go zastąpić jako przywódca, ale młodzi ludzie, z Ziemi mieli tylko dziecięce wspomnienia. Był ostatnim przywódcą, który znał Ziemię i cywilizację na niej panującą, jako dojrzały człowiek. To co zrobi jako przywódca, mogło ukształtować przeznaczenie nowej rasy.

Musi zrobić wszystko co tylko się da, co tylko będzie w stanie zrobić, i to trzeba było zacząć już od razu. Liczba lat jaka mu pozostała, wcale może nie być taka duża.

Nie był osamotniony. Inni w jaskiniach, mieli podobne jak on przemyślenia odnośnie przyszłości, chociaż nikt z nich nie miał planu jak osiągnąć to, o czym mówili. West, który na ziemi skończył studia filozoficzne, pewnej nocy spytał Lake'a, kiedy siedzieli razem przy ognisku:

– Czy zauważyłeś jak dzieci nasłuchują, kiedy rozmowa schodzi na to jak było na Ziemi, jak mogłoby być na Atenie, i jak mogłoby być, gdybyśmy tylko znaleźli sposób ucieczki z Ragnarok?

– Zauważyłem – odparł Lake.

– Te opowieści już wyznaczyły cele dla przyszłych pokoleń – mówił dalej West. – Pewnego dnia, w jakiś sposób polecimy na Atenę, aby zabić Gernów, uwolnimy terrańskich niewolników i zażądamy Ateny dla siebie.

Słuchał jak siedząc przy ogniskach i pracując nad wytwarzaniem łuków i strzał, rozmawia się o locie międzygwiezdnym na Atenę. Udało im się zachować tylko marzenie, ale bez tego marzenia, nie widzieliby przed sobą żadnej przyszłości, mając jedynie perspektywę kolejnych generacji, żyjących i umierających na tej planecie, która nigdy nie będzie w stanie zapewnić im niczego innego poza najbardziej marną egzystencją.

To marzenie było niezbędne. Ale samo marzenie jeszcze nie wystarczało. Ile na Ziemi minęło czasu, od epoki neolitu, do rozwinięcia zaawansowanej cywilizacji? Ile lat minęło od chwili gdy ludzie byli gotowi do opuszczenia jaskiń, do czasu kiedy byli gotowi polecieć do gwiazd?

Dwanaście tysięcy lat.

Pomiędzy Odrzuconymi znajdowali się przecież mężczyźni i kobiety, którzy byli specjalistami z różnych dziedzin. Było też parę książek, które przetrwały tratowanie przez jednorożce, a kolejne mogły zostać napisane atramentem z czarnego drzewa włóczniowego, na pergaminie zrobionym z cienkiej wewnętrznej skóry z futer jednorożców.

Wiedza zawarta w książkach i pozyskana od ciągle żywych Odrzuconych, powinna zostać przechowana dla przyszłych pokoleń. Przy pomocy tych nauk, być może naprawdę będą mogli, pewnego dnia, w jakiś sposób uciec z tego więzienia i uczynić Atenę swoją własnością.

Powiedział Westowi, o czym tak rozmyślał:

– Będziemy musieli uruchomić szkołę – oznajmił. – Jeszcze tej zimy… jutro.

West skinął głową, w pełni się z nim zgadzając.

– I jak najwcześniej trzeba zacząć zapisywanie wiedzy. Niektóre podręczniki będą wymagały więcej czasu na napisanie, niż Ragnarok da ich autorom.

Następnego dnia ruszyła szkoła dla dzieci i pisanie książek. Pergaminowe księgi miały służyć dwom celom. Jednym z nich miało być nauczenie przyszłych pokoleń rzeczy które nie tylko pomogłyby im przetrwać, ale również pozwoliłyby uczynić własną kulturę bardziej zaawansowaną, na tyle na ile pozwolą trudne środowisko i skąpość zasobów na Ragnarok. Drugim było przekazanie ostrzeżenia o niebezpieczeństwie powrotu Gernów, i nauczenie ich wszystkiego co było wiadomo o Gernach oraz ich uzbrojeniu.

Głównym wkładem Lake'a miała być obszerna książka: STATKI KOSMICZNE TERRAN; TYPY I DZIAŁANIE. Odłożył jednak jej pisanie, aby najpierw stworzyć dużo mniejsze dzieło, ale które mogło być dużo ważniejsze: WEWNĘTRZNA ORGANIZACJA KRĄŻOWNIKA GERN. Wywiad terrański wiedział trochę o krążownikach Gern, a on jako zastępca dowódcy *Constellation*, widział i przestudiował kopię tego raportu. Miał doskonałą pamięć do takich rzeczy, niemal fotograficzną, i bez trudu napisał tekst swojej książki i sporządził wiele szkiców.

Widząc wynik swojej pracy, jednak pokręcił z żalem głową. Tekst był dobry, ale dla jego objaśnienia, towarzyszące mu ilustracje powinny być dokładne i zrobione w odpowiedniej perspektywie. A on zdecydowanie nie był artystą.

Odkrył wtedy, że Craig potrafił wziąć w swoje pokryte bliznami potężne łapska pióro i rysować nim ze wspaniałą precyzją profesjonalnego artysty. Przekazał mu więc swoje szkice, razem z masą rozmaitych specyfikacji. Ponieważ pewnego dnia mogło mieć to krytyczne znaczenie, chciał mieć cztery egzemplarze książki. Tekst został przekazany nastoletniej dziewczynie, która zrobiła jego trzy dodatkowe kopie…

Cztery dni później Schroeder wręczył Lake'owi tekst z kilkoma wstępnymi szkicami. Jego tytuł brzmiał: DZIAŁANIE BLASTERÓW GERN.

Nawet wywiad nigdy nie miał możliwości przebadania ręcznego blastera Gernów. Ale człowiek o nazwisku Schrader, na Wenus, zabił Gerna z jego własnego blastera, a następnie zniknął, mając na karku pościg zarówno rozwścieczonych Gernów, jak i zastraszonej przez nich wenusjańskiej policji. Za jego schwytanie była do zdobycia całkiem niezła nagroda…

Lake popatrzył na książkę i powiedział:

– Liczyłem na ciebie, że nam to dasz.

Na twarzy Schroedera mignął tylko leciutki ślad zaskoczenia, ale jego oczy uważnie zmierzyły Lake'a.

– A więc przez cały ten czas, wiedziałeś kim jestem?

– Wiedziałem.

– Czy ktokolwiek inny na *Constellation* również wiedział?

– Zostałeś rozpoznany przez jednego z oficerów ze statku. Za kolejne dwa dni, byłbyś już po rozprawie.

– Rozumiem – powiedział Schroeder. – A ponieważ byłem winien, i nie mógłbym zostać odtransportowany z powrotem na Ziemię, albo na Wenus, zostałbym stracony na *Constellation*. – Uśmiechnął się sardonicznie. – A ty, jako zastępca dowódcy, byłbyś pewnie mistrzem ceremonii podczas mojej egzekucji.

Lake poskładał pergaminowe kartki z powrotem we właściwej kolejności.

– Czasami – stwierdził – służący na statku oficer musi robić rzeczy, które są sprzeczne z jego własnymi życzeniami.

Schroeder złapał głęboki oddech, a jego twarz stała się mroczna od wspomnień, które dusił w sobie.

– To było dwa lata temu, kiedy Gernowie ciągle jeszcze gadali rządowi Ziemi o przyjaźni, podczas gdy wszędzie dookoła na Wenus, wpychali swoich kolonistów. Ten Gern… tam była pewna dziewczyna, a on sobie myślał, że może z nią zrobić wszystko co mu się podoba, ponieważ on był potężnym Gernem, a ona była niczym. No i zrobił. Właśnie dlatego go zabiłem. Musiałem zabić również dwóch wenusjańskich policjantów podczas ucieczki… I w ten sposób nałożyłem sobie pętlę na szyję.

– Nie jest ważne to co zrobiliśmy kiedyś, ale co robimy teraz, dla naszego przeżycia lub śmierci na Ragnarok – powiedział Lake. Wręczył Schroederowi plik pergaminów. – Powiedz Craigowi, żeby zrobił co najmniej cztery kopie tego tekstu. Pewnego dnia nasza wiedza o blasterach Gernów, może być kolejną sprawą, która zdecyduje czy będziemy żyli, czy zginiemy.

Szkoła i pisanie książek zostały zawieszone na czas wiosennych łowów. Craig odbył zaplanowaną podróż do pokrytych śniegiem gór, na płaskowyżu. Nie był jednak w stanie spełnić swojej obietnicy, dotyczącej poszukiwania w nich surowców. Płaskowyż miał może dziesięć tysięcy stóp wysokości, a góry wyrastały ponad niego na kolejne dziesięć tysięcy stóp. Żaden człowiek nie był w stanie wspiąć się na nie, przy półtora razy większej sile grawitacji.

– Naprawdę próbowałem – ze zmęczeniem powiedział Lake’owi, po swoim powrocie. – Niech to diabli, jeszcze nigdy niczego nie próbowałem bardziej wytrwale, w całym moim życiu. Ale to było dla mnie już za dużo. Być może któryś z młodych, kiedy trochę podrosną, okaże się lepiej przystosowany, i uda mu się tego dokonać.

Craig przyniósł ze sobą kilka płatów bardzo przeźroczystej miki, z których każdy miał stopę średnicy i kilkanaście dużych, idealnie czystych kryształów kwarcu.

– Zsuwają się z wyższych partii gór – opowiadał. – Mika i kryształy są tam w górze z pewnością, gdybyśmy tylko mogli do nich dotrzeć. Inne minerały również. Wypłukałem śladowe ilości na dnie kanionów. Ale nie żelazo.

Lake przyglądał się płatom miki.

– Moglibyśmy z tego zrobić okna w zewnętrznych jaskiniach – stwierdził. – Trzeba by je złożyć podwójnie, pozostawiając między nimi pustą przestrzeń dla izolacji. A co do kryształów kwarcu…

– Przyrządy optyczne – dokończył za niego Craig. – Lornetki, mikroskopy… Nauczenie się robienia szkła równie czystego i bez skazy, jak te kryształy, zajęłoby nam bardzo długi czas. Ale nie mamy żadnego sposobu na ich cięcie i szlifowanie.

Tej jesieni Craig powędrował na wschód, a następnej wiosny na zachód. Z wyprawy na zachód wrócił z paskudnie skręconym kolanem, co wyeliminowało go na zawsze z kolejnych wypraw poszukiwawczych.

– Znalezienie potrzebnych nam rud metali, zajmie całe lata – stwierdził. – Są pewne wskazówki, że może nam się to nigdy nie udać, ale chciałem, żebyśmy ciągle próbowali. A teraz to przeklęte kolano uwiązało mnie kamieniem w tych jaskiniach…

Pogodził się ze swoją ułomnością i zamknięciem, najlepiej jak tylko potrafił, i skończył swój podręcznik: GEOLOGIA I ROZPOZNAWANIE MINERAŁÓW.

W czasie zim prowadził również zajęcia z geologii. To właśnie zimą, czwartego roku pobytu na Ragnarok, na jego zajęcia przyszedł dziewięcioletni chłopiec o pokrytej bliznami twarzy, Billy Humbolt.

Był zdecydowanie najmłodszy ze wszystkich uczniów, ale również najbardziej uważny. Pewnego dnia, w obecności Lake’a, Craig zapytał go z zaciekawieniem:

– To nie zdarza się często, aby chłopiec w twoim wieku, był tak bardzo zainteresowany mineralogią i geologią, Billy. Czy to jest coś więcej, czy tylko zainteresowanie?

– Muszę dowiedzieć się wszystkiego o minerałach – oznajmił Billy z właściwą sobie powagą, – żebym, kiedy będę już dorosły, umiał znaleźć dla nas rudy metali do budowy statku.

– I co wtedy? – spytał go Craig.

– I wtedy polecimy na Atenę, żeby zabić Gernów, którzy doprowadzili do śmierci mojej mamy, mojego dziadka, Julii, i wszystkich pozostałych. Żeby uwolnić mojego ojca i innych niewolników, jeżeli nadal jeszcze żyją.

– Rozumiem – odparł Craig.

Nie uśmiechnął się. Kiedy patrzył na chłopca i poza niego, na jego twarzy pojawił się cień i wyglądał staro. Być może przed oczyma stanęła mu ponownie krucha blondynka i dwójka dzieci, które zabrały mu te pierwsze gwałtowne miesiące.

– Mam nadzieję, że ci się uda – powiedział. – Chciałbym być tak młody jak ty, abym mógł marzyć o tym samym. Ale nie jestem… A więc wracajmy do rozpoznawania rud, które będą niezbędne do zbudowania statku, który poleci na Atenę, oraz do zrobienia blasterów, żebyście mieli czym zabijać Gernów, kiedy już tam się dostaniecie.

Lake na początku poprzedniej wiosny, zbudował zagrodę, z zamaskowanymi wrotami, aby złapać kilka leśnych kozłów, kiedy przybędą. Gdyby udało im się udomowić kozły, i przez cały rok mieć koło jaskiń ich stado, byłby to olbrzymi krok naprzód w kierunku podboju ich nowego środowiska. Zebranie dostatecznej ilości trawy, aby wystarczyła na zimę dla stada kozłów, byłoby problemem, ale po pierwsze zanim zaczną się o to martwić, muszą zobaczyć czy kozły w ogóle będą w stanie przetrwać okresy ekstremalnego gorąca i mrozu, podczas lata i zimy.

Złapali tej wiosny w pułapkę dziesięć kozłów. Zbudowali dla nich z krzewów osłony przed słońcem — zanim skończyło się lato, wiatry poobrywały z drzew większość ich uschniętych, brązowych liści — a przez zagrodę został skierowany strumień wody.

Okazało się, że cała praca poszła na marne. Kozły poumierały z gorąca wczesnym latem, razem z młodymi, które się urodziły.

Kiedy nadeszła jesień, złapali sześć kolejnych kozłów. Zbudowali im schronienia, które były takie ocieplone, jak tylko się dało i naznosili im duże zapasy trawy, rosnącej wzdłuż brzegów potoków. Powinno wystarczyć jej im na całą zimę. Jednak zimno było zbyt duże dla kozłów i druga śnieżyca je zabiła.

Następnej wiosny i jesieni, z dużo większymi problemami, spróbowali eksperymentów z parami jednorożców. Skutki były takie same.

Oznaczało to, że pozostaną rasą myśliwych. Ragnarok nie pozwoliła im na przekształcenie się w pasterzy.

Lata mijały, a każdy rok był bardzo podobny do poprzedniego, za wyjątkiem szybkiego starzenia się Starych, jak sami siebie nazwali Lake i pozostali, oraz dorastania Młodych. Żadna kobieta pomiędzy Starymi nie mogła już mieć dzieci, ale urodziły one sześcioro kolejnych normalnych, zdrowych dzieciaków. Podobnie jak w przypadku pierwszej dwójki, grawitacja nie oddziaływała na nie tak silnie jak na dzieci urodzone na Ziemi.

Pomiędzy Młodymi, Lake jak widział, były poważne różnice. Te dzieci, które były bardzo małe, kiedy Gernowie pozostawili je na śmierć, zaadaptowały się dużo lepiej niż te, starsze o kilka lat.

Środowisko Ragnarok uderzyło w najmłodszych z bezlitosnym barbarzyństwem. Poddało ich próbie przetrwania, która w warunkach ziemskich była bezprecedensowa. Zabijało ich setkami, ale pomiędzy nimi znaleźli się tacy, których młode ciała, krew i organy oparły się śmierci poprzez adaptację w najwyższym możliwym stopniu.

Dni Starych niemal już się kończyły i przyszłość miała wkrótce znaleźć się w rękach Młodych. Było to dziewięćdziesięcioro niepokonanych młodych ludzi, ocalałych spośród dzieci które znajdowały się pomiędzy czterema tysiącami Odrzuconych. Pierwsze pokolenie czegoś, co miało stać się nową rasą.

Lake'owi wydawało się, że lata mijają nawet jeszcze szybciej, w miarę jak w rosnącym tempie, kurczyła się liczba Starych. Anders umarł w szóstym roku, kiedy pewnej nocy zawiodło go serce, podczas żmudnej i długiej harówki w prymitywnym, małym laboratorium, nad kontynuacją rozpoczętej przez Chiarę pracy, nad lekarstwem na piekielną gorączkę. Barber próbujący wyhodować nową odmianę ziół, która rosłaby na niższych wysokościach, na poziomie jaskiń, został zabity przez jednorożca. kiedy pracował na swoim poletku doświadczalnym, u podnóża ich siedziby. Craig pewnego wiosennego dnia, ósmego roku na Ragnarok, wykuśtykał na zewnątrz, aby obejrzeć jakiś nowy minerał, który myśliwi znaleźli w odległości mili od jaskiń. Spadła nagła ulewa zimnego deszczu, która wychłodziła go, zanim zdążył wrócić do domu, i jeszcze tego samego dnia umarł na piekielną gorączkę.

W tym samym roku zabity został Schroeder, przez szperacze, umierając oparty plecami o pień drzewa, z zakrwawionym nożem w ręku. To właśnie w taki sposób zawsze pragnął odejść. Jak sam kiedyś wyznał Lake'owi:

– Kiedy nadejdzie moja chwila, to chciałbym, żeby to były szperacze. Twardo walczą i szybko zabijają, a potem zostawiają cię w spokoju. Kiedy już jesteś martwy, nie rozdzierają cię na strzępy, nie ślinią się i nie rozgryzają kawałków, tak jak robią to jednorożce.

Kolejne wiosny, co roku przychodziły nieco wcześniej, a jesienie kończyły się nieco później, i obserwacje wskazywały, że słońca nieustannie przesuwają się coraz bardziej na północ. Jednak zimy, chociaż krótsze, zdawały się być równie zimne jak zawsze. W czasie długiego lata, gorąco osiągało taki poziom, że w dziewiątym roku na Ragnarok, Lake stwierdził, że nie zdołają wytrzymać tutaj dłużej niż jeszcze dwa, trzy lata pogłębiającego się ocieplenia.

Potem jednak, latem dziesiątego roku, dalszy przechył osi obrotu Ragnarok, obserwowalny jako przesuwanie się słońc na północ, wyhamował. Znajdowali się więc w środku czegoś co Craig określił jako Wielkie Lato, i jakoś mogli je wytrzymać, chociaż z najwyższym trudem. Nie musieli więc opuszczać jaskiń.

Słońca zaczęły przesuwać się na południe. Obserwacje prowadzono dalej i pieczołowicie zapisywano. Nadchodziła Duża Jesień, a po niej miała nastąpić Duża Zima.

Duża Zima… jej groźba niepokoiła Lake'a. Jak daleko na południe przesuną się słońca? Jak długo będą mogli zostać tutaj? Czy nadejdą czasy, kiedy płaskowyż zostanie pogrzebany pod setkami stóp śniegu, a jaskinie zostaną otoczone pokrywą lodu?

Nie było żadnych możliwości, aby się tego dowiedzieć, albo w jakiś sposób się domyślić. Tylko ci którzy będą wtedy jeszcze żyli, przekonają się naocznie.

W dwunastym roku, ze starych pozostali już tylko Lake i West. Do tej pory przeżyło osiemdziesięcioro troje Młodych, ośmioro urodzonych na Ragnarok dzieci Starych, i czworo urodzonych na Ragnarok dzieci Młodych. Nie licząc jego samego i Westa, przy życiu pozostało dziewięćdziesiąt pięć osób.

To nie było zbyt wiele, jak na początek nowej rasy, która miała stawić czoła epoce lodowcowej o nieznanym nasileniu, i której nad głową ciągle wisiała groźba możliwego powrotu Gernów.

Nadeszła zima roku piętnastego, i był już naprawdę sam, był ostatnim ze Starych. Siwowłosy i dużo bardziej postarzały niż wynikałoby to z jego wieku, ciągle jednak był przywódcą. Tej zimy nie mógł już jednak zrobić wiele więcej, niż tylko siedzieć przy ogniu i czuć jak grawitacja wiesza mu się na sercu. Wiedział już na długo przed nadejściem wiosny, że nadszedł czas na wybór swojego zastępcy.

Miał nadzieję, że dożyje chwili, kiedy zobaczy swojego syna zajmującego jego miejsce, ale Jim miał dopiero trzynaście lat. Pomiędzy innymi był jednak ktoś, kogo obserwował od czasu kiedy powiedział on Craigowi, że chciałby znaleźć rudy metali do budowy statku i zabijać Gernów: Bill Humbolt.

Bill Humbolt nie należał do najstarszych pomiędzy tymi, którzy mogli objąć przywództwo, ale był spośród nich wszystkich najbardziej wszechstronny, najwięcej myślał i miał w sobie pewną upartą determinację. Przypominał Lake'owi tego szalonego starego człowieka, który był jego dziadkiem i to wcale nie z powodu blizn, wykrzywiających jego twarz w wyrazie ponurej złości, dzięki czemu był do niego bardzo podobny.

Tej nocy, której powiedział innym, że chciałby aby jego następcą został Bill Humbolt, na zewnątrz jaskiń ryczała gwałtowna burza. Nie było sprzeciwów i, bez żadnej specjalnej ceremonii, wygłaszając jedynie kilka słów, zakończył swoje piętnastoletnie przywództwo.

Pozostawił innych, a wśród nich również i swojego syna, i wrócił do jaskini, w której sypiał. Jego ogień przygasał, zmieniając się w dogasający żar, ale był za bardzo zmęczony, aby go od nowa rozpalić. Położył się na sienniku, i zrozumiał, bez jakiegoś specjalnego zaskoczenia czy strachu, że jego czas był znacznie bliżej, niż myślał wcześniej. Już był niemalże w zasięgu ręki.

Leżał, pozwalając aby zmęczenie ogarnęło go zupełnie, nie walcząc z nim. Zrobił już dla innych wszystko, co tylko mógł, i teraz jego męcząca podróż była zakończona.

Jego myśli rozpuściły się we wspomnieniach dnia sprzed piętnastu lat. Rycząca burza zmieniła się w grzmot krążowników Gern, znikających w szarym niebie. Cztery tysiące Odrzuconych stało na zimnym wietrze i obserwowało jak odlatują. Dzieci jeszcze nie rozumiały, że zostały skazane na śmierć. W jakiś sposób pomiędzy nimi znajdował się jego syn…

Spróbował się niemrawo podnieść. Miał przecież pracę do zrobienia… dużo pracy do zrobienia…

Część II

Był wczesny poranek, kiedy Bill Humbolt usiadł przy ogniu w swojej jaskini, i zaczął studiować narysowaną przez Craiga mapę gór na płaskowyżu. Craig nie nadał im żadnej nazwy, a więc umoczył pióro w atramencie i napisał: *Góry Craiga*.

– Bill…

Anders Delmont wszedł bardzo nieśmiało, a to co miał do powiedzenia, było wypisane na jego twarzy.

– Bill, on umarł ubiegłej nocy

To było coś, z czym się liczył i oczekiwał, że może przydarzyć się w każdej chwili, ale brak zaskoczenia wcale nie zmniejszał uczucia straty. Lake był ostatnim ze Starych, ostatnim z tych, którzy pracowali i walczyli, skracając sobie życie, aby Młodzi mieli szansę przetrwania. A teraz odszedł… teraz ich krótka era zakończyła się, odważny, krwawy rozdział został napisany i zakończony.

I to on był nowym przywódcą, który miał określić w jaki sposób powinien zostać napisany rozdział następny, pomimo że był tylko cztery lata starszy niż ten chłopak, patrzący na niego, z wypisaną na twarzy nieświadomą prośbą o podniesienie go na duchu…

– Lepiej idź i powiedz o tym Jimowi – polecił. – Potem, nieco później, chciałbym porozmawiać ze wszystkimi o pewnych rzeczach, które zaczniemy robić, jak tylko nadejdzie wiosna.

– Miałeś na myśli polowanie? – spytał Delmont.

– Nie, dużo więcej, niż tylko polowanie.

Siedział jeszcze przez chwilę po wyjściu Delmonta, cofając się w myślach przez te wszystkie lata, które poprzedzały dzień dzisiejszy i wracając do tego pierwszego poranka na Ragnarok.

Tego ranka, kiedy zostawił za sobą w pyle swojego misia zabawkę i powędrował u boku Julii w to nieznane i niebezpieczne życie, wyznaczył sobie pewien cel. Obiecał sobie, że pewnego dnia będzie się przyglądał, jak Gernowie umierają i błagają o litość, tak jak umierali oni, a on będzie miał dla nich tyle samo litości, ile oni mieli dla jego matki.

Kiedy urósł i zrobił się starszy, zrozumiał, że taka nienawiść, była daremnym uczuciem. Najpierw trzeba znaleźć jakiś sposób opuszczenia Ragnarok, a w dodatku trzeba było mieć broń, którą można by walczyć z Gernami. To były rzeczy niemożliwe do realizacji, i znajdujące się daleko poza jego zasięgiem, chyba otrzyma jakąś pomoc od innych, w formie zjednoczonych, skoordynowanych wysiłków.

Aby zapewnić sobie taki wspólny wysiłek, musiał zostać ich przywódcą. Dlatego więc przez piętnaście lat szkolił się i studiował, aż do chwili kiedy nie było nikogo, kto umiałby używać łuku albo włóczni, choćby w przybliżeniu tak dobrze jak on, nikogo kto w ciągu dnia potrafiłby pokonać tak długi dystans, jak on, albo tak szybko spostrzegł zasadzkę jednorożców. A w dodatku nie było nikogo takiego, za wyjątkiem Georga Orda, kto przestudiowałby tak wiele podręczników jak on.

Osiągnął swój pierwszy cel, został przywódcą. Dla każdego z nich istniał jednak drugi cel: nadzieja że pewnego dnia opuszczą Ragnarok i odbiorą Gernom Atenę. Dla wielu z nich, być może, było to tylko próżne marzenie, ale dla niego była to główna siła napędowa jego całego życia.

Mieli tak dużo do zrobienia, a ich życie, w trakcie którego musieli to zrobić, było takie krótkie. Tak długo, dopóki on będzie przywódcą, nie zmarnuje nawet dnia na bezproduktywne sny na jawie…

Kiedy wszyscy zebrali się już, aby wysłuchać, co ma im do powiedzenia, przemówił do nich:

– Będziemy kontynuować to co musieli zostawić Starzy. Jesteśmy lepiej przystosowani do warunków na Ragnarok niż oni, a więc musimy znaleźć rudy metali do budowy statku, jeżeli w ogóle jakiekolwiek tu są.

– Gdzieś na Ragnarok, po północno zachodniej stronie łańcucha górskiego podobnego do Gór Craiga, znajduje się głęboka dolina, którą ekspedycja Dunbara nazwała Otchłanią. Nie przebadali jej dokładnie, ponieważ ich przyrządy nie wykazywały tam występowania rud metali, ale w pewnym miejscu zauważyli warstwy w czerwonym kolorze. W charakterystycznym ubarwieniu żelaza. Być może uda nam się tam znaleźć jakąś żyłę, która była na tyle mała, że nie zwrócili na nią uwagi. Spróbujemy wiec pokonać Góry Craiga, zaraz jak tylko stopnieją w nich śniegi.

– To będzie wczesnym latem – stwierdził George Ord, a jego czarne oczy głęboko się zamyśliły. – Ktokolwiek by nie poszedł, będzie musiał zaplanować czas swojego powrotu, tak by wypadał tuż przed tym zanim z północy wrócą szperacze i jednorożce, albo będzie musiał poczekać, dopóki nie przemierzą one całego płaskowyżu.

Humbolt również o tym już myślał, i z żalem stwierdził, że nie ma na to żadnej rady. Ludzie mogli unikać ataków jednorożców, w miejscach w których rosły wystarczająco duże drzewa, które mogły zapewnić im bezpieczne schronienie. Tam gdzie można było uciec na drzewa, można było nawet odpierać ataki szperaczy. Szperacze próbujące wspinać się na nie, łatwo było powstrzymać włócznią, podczas gdy strzały mogły swobodnie razić te znajdujące się na ziemi. Na płaskowyżu jednak nie było żadnych drzew, i zaskoczenie przez watahę szperaczy albo jednorożców, oznaczało pewną śmierć dla każdej niewielkiej dwu-, trzyosobowej grupy ludzi. Z tego powodu, na płaskowyż nie wyruszały żadne mniejsze grupy, poza okresem kiedy opuściły go, albo niemal opuściły, jednorożce i szperacze. To był poważny problem, i nie mógł on zostać rozwiązany, dopóki ich bronią były tylko wolno strzelające łuki.

– To ty przecież masz być połączeniem cudownego wynalazcy z rzemieślnikiem – odparł George’owi. – Nikt inny nie może się z tobą równać pod tym względem. Ponadto nie wykazujesz przecież specjalnego entuzjazmu dla takiej ciężkiej roboty jak wspinaczka górska. A więc od dzisiaj będziesz wykonywać pracę, do której jesteś najlepiej predestynowany. Twoje pierwsze zadanie, to opracować dla nas lepszy łuk. Ma to być coś podobnego do kuszy, z mechanizmem przesuwnym, który po pociągnięciu napina cięciwę i ładuje strzałę ze znajdującego się na górze magazynka.

George z zamyśleniem przeanalizował pomysł.

– Ogólna zasada wydaje się prosta – stwierdził. – Zobaczę co uda mi się zrobić.

– Ilu z nas ma wyruszyć poza Góry Craiga? –spytał go Dan Barber.

– Ty i ja – odparł Humbolt. – Trzyosobowa wyprawa pod dowództwem Boba Craiga wyruszy w Zachodnie Wzgórza, a kolejna grupa dowodzona przez Johny’ego Stevensa, przebada Wschodnie Wzgórza.

Popatrzył w stronę przyległej jaskini, gdzie już od tak długiego czasu przechowywano karabiny, owinięte w futra jednorożców, aby zabezpieczyć je przed rdzą.

– Gdybyśmy znaleźli złoże saletry, moglibyśmy zrobić proch strzelniczy. Wiemy już przecież, gdzie jest nieco siarki. W strzelbach trzeba by przerobić zamki, ponieważ nie mamy materiałów potrzebnych do wykonania spłonek w nabojach. Co gorsza, musielibyśmy używać

ceramicznych pocisków. Byłyby więc mniej efektywne — za lekkie i zbyt łatwo ulegałyby zniszczeniu, żeby uzyskać skuteczną siłę przebicia. Ale będziemy potrzebować prochu do celów górniczych, jeżeli uda nam się znaleźć jakieś złoża żelaza. A jeśli nawet nie będziemy mieli metalowych pocisków, żeby strzelać nimi do Gernów, to możemy mieć bomby, żeby ich wysadzać.

– Przypuśćmy – powiedział Johnny Stevens, – że nigdy nie uda nam się znaleźć rud metali do budowy statku. W jaki więc sposób opuścimy Ragnarok, jeżeli tak się stanie?

– Jest pewien inny sposób… możliwy sposób… ucieczki stąd bez własnego statku. Jeżeli nie uda nam się znaleźć żadnych rud metali, wtedy będziemy musieli tego spróbować.

– Dlaczego więc czekać – dopytywał się Bob Craig. – Dlaczego nie spróbować tego od razu?

– Ponieważ szanse wyniosłyby mniej więcej dziesięć tysięcy do jednego, na korzyść Gernów. Ale mimo wszystko spróbujemy tego, jeśli wszystko inne zawiedzie.

George wykonał, zmodyfikował i odrzucił cztery różne typy kusz, zanim udoskonalił przeładowywany łuk na tyle dobrze, aby zyskał jego krytyczną aprobatę. Pewnego dnia, wczesną wiosną, kiedy trawa na południowych stokach wzgórz, wypuszczała nad ziemię dopiero pierwsze zielone źdźbła, a długa zima w końcu dogorywała, zaniósł wynik swojej pracy stojącemu przed jaskiniami Humboltowi.

– Proszę bardzo, oto jest – powiedział wręczając Humboltowi łuk. – Wypróbuj go.

Wziął go do ręki, notując w pamięci dobre wyważenie broni. Ze środka łuczyska, w dół pod kątem prostym do niego, wystawał uchwyt, uformowany tak by można było go wygodnie złapać lewą ręką. Pod poprzeczką znajdował się drugi, przesuwany uchwyt dla prawej ręki, o kształcie podobnym do rękojeści pistoletu. Wyposażony był w spust. Nieco powyżej i po jednej stronie porzeczki, zamontowany został magazynek, zawierający dziesięć krótkich strzał.

Rękojeść pistoletu ustawiona była w tej chwili w miejscu położonym blisko przedniego uchwytu. Pociągnął za nią do tyłu, na całą długość poprzeczki, a ta złapała za sobą cięciwę, naciągając ją do samego końca. Rozległo się kliknięcie, oznaczające że mechanizm spustowy zablokował cięciwę w tej pozycji, a jednocześnie ukryte wewnątrz urządzenie, uruchomione przez cięciwę wypchnęło strzałę, ustawiając ją we właściwym miejscu przed cięciwą.

Krótko celował w odległe drzewo i nacisnął spust. Rozległo się brzdęknięcie i strzała została wyrzucona. Szarpnął przesuwany uchwyt do przodu i z powrotem, przeładowując kuszę, i chwilę później ponownie nacisnął spust. Kolejna strzała znalazła się w locie.

Do czasu wystrzelania z magazynka wszystkich dziesięciu strzał, był w stanie prowadzić ogień w tempie jednej strzały na sekundę. Pień odległego drzewa wyglądał jakby najeżony sztywną szczeciną. Wszystkie dziesięć strzał wbiło się głęboko w drewno, z rozrzutem nie większym niż pierś szperacza, czy też łeb jednorożca.

– To jest lepsze niż miałem nadzieję, że będzie – powiedział zaskoczony do George'a. – Jeden człowiek z tą bronią, będzie równie skuteczny co dziesięciu ludzi ze zwykłymi łukami.

– Mam zamiar dodać jeszcze jedną rzecz – odparł George. – Pakiety strzał, po dziesięć w każdym, w specjalnych pojemnikach, które można nosić przytroczone. Żeby zmienić magazynek, po prostu wciskasz nowy pakiet, w czasie nie dłuższym, niż potrzeba na nałożenie jednej strzały w zwykłym łuku. Wyliczyłem, że wyszkolony człowiek powinien być w stanie wystrzelić czterdzieści strzał w czasie poniżej dwudziestu sekund.

George zabrał łuk i poszedł z powrotem do jaskini, żeby zastanowić się nad nowym pomysłem. Humbolt spoglądał za nim, myśląc: *Jeżeli potrafił zrobić coś takiego tylko z drewna i jelit jednorożca, to co będzie w stanie dla nas zbudować, jeżeli będzie miał do dyspozycji metal*?

Być może George nigdy nie będzie miał możliwości pokazania tego na co byłoby go stać, jeśli dysponowałby metalem. Ale Humbolt czuł, że być może ten geniusz George'a umożliwi im, gdyby to było kiedyś potrzebne, realizację alternatywnego planu opuszczenia Ragnarok.

Tygodnie przeciągnęły się w miesiące, aż w końcu śniegi w Craigach stopniały, i Humbolt z Danem Barberem mogli wyruszyć. Nie napotkali żadnych poważniejszych przeszkód. Szperacze już dawno temu zniknęły na północy, a jednorożce jeszcze się pojawiały, ale były bardzo rzadkie. Nie mieli nawet żadnej okazji, żeby wypróbować skuteczność swoich nowych kusz automatycznych w walce. Ten brak możliwości strasznie irytował Barbera.

– Za każdym razem, gdybyśmy tylko mieli zwykłe łuki – żalił się głośno, – jednorożce wyskakiwałyby i szarżowały na nas ze wszystkich stron.

– Nie denerwuj się – pocieszał go Humbolt. – Jesienią, kiedy będziemy wracać, będzie ich tu pełno.

Doszli w końcu do gór i zatrzymali u ich stóp, w miejscu gdzie wypływał z nich strumień, niosący duże ilości błotnistej wody, z topniejącego śniegu. Tam zatrzymali się na polowanie, dopóki nie zdobyli tyle mięsa, ile tylko mogli unieść. Kiedy weszli w góry, poruszając się po dnie doliny strumienia, nie widzieli już więcej zwierzyny. W większości dolin, trawę zastępowały trujące chwasty, i zwierzęta z Ragnarok, dawno temu już nauczyły się unikać gór.

Znaleźli w końcu kanion, który próbowali przebadać Craig i jego ludzie, i ruszyli nim w górę. To właśnie tutaj Craig odkrył kwarc i mikę, i na tyle, na ile mógł to powiedzieć, kanion ten był miał najmniejsze przewyższenie, ze wszystkich przecinających te góry.

Kanion stopniowo wznosił się coraz wyżej, tak więc wspinaczka nie była trudna, ale za to nieprzerwana. Zaczęli w łożysku potoku znajdować mikę i kryształy kwarcu, i na drugi dzień w południe minęli ostatnie karłowate drzewo. Powyżej tego punktu nie rosło już nic, poza ciernistym trującym zielskiem, a i ono stało się rzadkie.

Powietrze zrobiło się wyraźnie rzadsze, a ładunki które nieśli, cięższe. Niewielki kawałek drogi dalej, minęli mały skalny monument, oznaczający punkt w którym zawrócił Craig.

Następnego dnia znaleźli miejsce z którego pochodziły kryształy kwarcu. Jakąś milę dalej znajdowała się również żyła miki. Jednak co do innych minerałów, które Craig miał nadzieję tutaj znaleźć, to pojawiały się jedynie ich ślady.

Czwarty dzień zamienił się w katorgę wspinaczki w górę, obecnie coraz bardziej stromym kanionem, z brzemieniem wydającym się ważyć całe setki funtów. Zmuszali cierpiące i protestujące nogi, do wykonania pięćdziesięciu kroków z rzędu, po przejściu których zatrzymywali się na odpoczynek, podczas gdy ich płuca ciężko pracowały, aby złapać rzadkie powietrza, wciągane szybkimi, dyszącymi oddechami.

Dużo łatwiejsze byłoby obejście gór dookoła, ale Otchłań miała być ponoć olbrzymim zagłębieniem, wcinający się w płaskowyż bezpośrednio za górami, i otoczonym pionowymi ścianami skalnymi o wysokości mili. Jedynie ze zboczy gór prowadziły na jej dno bardziej płaskie zejścia.

Zatrzymali się na noc w miejscu, gdzie strumień wypływał z niewielkiego źródła. Górskich ścian ciągle czepiał się tam śnieg. Koło źródła kanion skręcał, kusząc ich obietnicą osiągnięcia zaraz za zakrętem, najwyższego punktu, tak jak zresztą robił to przez cały dzień.

Następnego dnia rano, słońce było już wysoko, jasne i gorące, kiedy ponownie podjęli swoją powolną wędrówkę. Kanion wyprostował się, a jego strome ściany spłaszczyły się, tworząc dwa postrzępione skałami łęki, z szerszym siodłem między nimi.

Wspinali się aż do najwyższego punktu siodła, i tam, zupełnie nagle, pojawiła się przed nimi druga strona świata. I Otchłań.

Daleko pod nimi, rozciągał się płaskowyż, równie nieskończony jak ten który pozostawili za sobą. Tutaj jednak wszystko zdominowała Otchłań. Była to gigantyczna dolina o pionowych ścianach, o długości stu mil i szerokości czterdziestu, wcinająca się głęboko w płaskowyż. Otoczona była ścianami skalnymi opadającymi na głębokość mili, licząc od samego płaskowyżu. Zbocze górskie rozpoczynające się u ich stóp spływało szybko ku dołowi aż do poziomu płaskowyżu, i dalej jeszcze bardziej w dół, na spód przepaści, która była tak głęboka, że jej dno było na wpół ukryte przez cienie poranka.

– Mój Boże! – zawołał Barber. – Ona musi leżeć ponad trzy mile pod nami, licząc w pionie. Przy trzydziestostopniowym spadku to jest dziesięć mil. Jeżeli tam zejdziemy, nigdy nie uda nam się wejść z powrotem.

– Jeśli chcesz, możesz tutaj zawrócić – powiedział Humbolt.

– Zawrócić? – Wydawało się że rude bokobrody Barbera wręcz się najeżyły. – A kto u diabła mówił cokolwiek o zawracaniu?

– Nikt – odparł Humbolt, uśmiechając się lekko na widok nagłego wybuchu gniewu Barbera.

Przyglądał się Otchłani, żałując że nie mieli żadnego sposobu na cięcie kryształów kwarcu i zrobienie lornetki. To była bardzo duża odległość, jak na obserwację gołym okiem…

Tu i tam z Otchłani w płaskowyż wcinały się boczne odnogi. Wszystkie były jednak dosyć krótkie, a nawet na ich krańcach skalne ściany opadały pionowo. Cienie poranka uniemożliwiały wyraźny widok większej części czeluści, i nigdzie nie dostrzegał nawet śladu zabarwionych na czerwono warstw, których poszukiwali.

W południowozachodnim krańcu Otchłani, tak daleko, że niemal poza zasięgiem wzroku, zobaczył małe chmurki unoszące się z dna przepaści. Stwierdzenie co to jest, było w tej chwili niemożliwe, a kiedy je obserwował chmurki się rozpłynęły.

Barber również je spostrzegł i spytał:

– To wyglądało na dym. Czy myślisz, że mogą tam żyć jacyś ludzie, albo jakiś rodzaj inteligentnych istot?

– To mogą być opary z gorących źródeł, kondensujące w chłodnym porannym powietrzu – stwierdził. – Cokolwiek by to było, przyjrzymy się temu, kiedy już tam się dostaniemy.

Zejście w dół zbocza, do Otchłani, poszło im szybciej niż wspinaczka w górę kanionu, ale nie było bardziej przyjemne. Przy tak dużym stopniu nachylenia zbocza, znoszenie ciężkiego ładunku powodowało męczarnie napiętych mięśni w tyłach nóg.

W miarę jak schodzili, gorąco nieustannie narastało. Kiedy zeszli na dno doliny, następnego dnia w południe, upał był tak morderczy, że Humbolt zastanawiał się, czy nie zapędzili się czasami w pułapkę, w miejscu które lato przekształci wkrótce w monstrualny piekarnik, w którym nie będzie mogło przetrwać żadne żywe stworzenie. Oczywiście, nie mieli innego wyboru, góry były możliwe do przejścia jedynie wtedy kiedy było gorąco.

Dno doliny pokryte było mułem, piaskiem i żwirem. Nie znaleźli tam zupełnie niczego. Wyruszyli na obchód ścian przepaści, starając się podążać cały czas w pobliżu ich podstawy.

W wielu punktach, wysokie na milę ściany, nie miały najmniejszego występu, który by przecinał ich pionowe zbocza. Kiedy doszli do pierwszego takiego miejsca, stwierdzili, że grunt u podstawy ściany poznaczony był dziwnymi małymi dołkami, jakby miniaturowymi kraterami księżycowymi. W chwili gdy się im przyglądali, rozległ się huk, jak wystrzał z armaty i gdzieś obok nich ziemia wybuchła z nagłej eksplozji piasku i żwiru. Kiedy opadł pył, zobaczyli w tym miejscu nowy krater, którego wcześniej nie było.

Humbolt otarł krew z twarzy, w miejscu gdzie zadrasnął go lecący kawałek żwiru i powiedział:

– Słońce nagrzewa i poluzowuje skały, w górze na obrzeżu przepaści. Kiedy taki odłamek spadnie milę w dół, przy grawitacji jeden i pół, to leci z szybkością meteorytu.

Ruszyli dalej, przez niebezpieczną strefę. Podobnie jak w przypadku zagrożenia gorącem Otchłani, nie było wyboru. Jedynie przyglądając się materiałowi skalnemu, zaśmiecającemu podstawę ścian, mogli się dowiedzieć jakie minerały, i czy w ogóle jakieś, znajdowały się ponad nimi w górze.

Piętnastego dnia znaleźli zabarwioną na czerwono warstwę. Humbolt przyśpieszył kroku, idąc szybko przed Barberem. Warstwa była za wysoko na ścianie, aby mogli się do niej dostać, ale niekoniecznie trzeba było badać bezpośrednio samo to miejsce. Podstawa klifu usiana była kawałkami, które z niego poodpadały.

Kiedy bliżej im się przyjrzał, poczuł pierwsze ukłucie rozczarowania. To był piaskowiec, miał zdecydowanie za niską wagę. Żelaza było w nim tylko tyle, ile spodziewała się ekspedycja Dunbara. Wystarczyło zaledwie, aby go lekko zabarwić.

Powoli wyruszyli w dalszą drogę wzdłuż podstawy ściany, badając znalezione odłamki, kawałek po kawałku, w nadziei znalezienia czegoś więcej niż tylko żelaziste plamy. Jednak nie było żadnej zmiany, a jakąś milę dalej doszli do końca czerwonej warstwy. Dalej skały ściany robiły się szare, bez śladu żelaza.

– Wygląda więc na to – stwierdził Barber, spoglądając do tyłu, na drogę którą przeszli, – że będziemy musieli zbudować statek z… żelaznych plam!

Humbolt nie odpowiedział. Dla niego, było to dużo więcej niż rozczarowanie. To była śmierć marzenia, które hołubił od czasu gdy miał dziewięć lat, i usłyszał że ekspedycja Dunbara znalazła w głębokiej przepaści zabarwione żelazem skały, jedyne zabarwione żelazem skały na powierzchni Ragnarok. Z pewnością, myślał sobie, będzie tam dostatecznie dużo żelaza, żeby zbudować mały statek. Przez jedenaście lat robił wszystko, aby nadszedł ten dzień, kiedy je odnajdzie. Teraz je znalazł… i wszystko na nic. Statek był równie daleko od niego, jak zawsze…

Odepchnął od siebie te myśli. Zniechęcenie było równie przydatne jak zabarwiona przez żelazo skała. Otrząsnął się i zwrócił się do Barbera:

– Chodźmy – powiedział. – Być może znajdziemy coś dalej, obchodząc Otchłań.

Przez siedem dni ryzykowali życiem, narażając się na niebezpieczeństwo spadających odłamków skalnych i nic nie znaleźli. Ósmego dnia znaleźli skarb, który dla nich nie był skarbem.

Zatrzymali się wieczorem, tuż koło wejścia do jednej z bocznych odnóg Otchłani. Humbolt poszedł po wodę do picia, w miejsce gdzie przez piasek przepływał mały strumyk, i kiedy ukląkł, zobaczył pod sobą błysk czegoś czerwonego, niemal całkowicie zagrzebanego w mule.

Podniósł to. To był kamień, wielkości połowy jego pięści, prześwitujący na ciemno i w świetle zachodzącego słońca, czerwieniący się jak krew.

To był rubin.

Rozejrzał się i zobaczył kolejny błysk, nieco bardziej w górze strumienia. To był następny rubin, niemal tak duży jak ten pierwszy. W pobliżu niego leżał niebieski szafir, bez skazy. Porozrzucane tu i ówdzie leżało dużo więcej mniejszych rubinów i szafirów, o rozmiarach aż do wielkości ziarna piasku.

Podszedł dalej w górę strumienia i znalazł okazy jeszcze jednego kamienia. Były bezbarwne, ale płonęły jakimś wewnętrznym światłem. Potarł jednym z nich mocno o rubin, który ciągle trzymał w ręku, i usłyszał zgrzytliwy dźwięk, a rubin zarysowało głębokie rozcięcie.

– Niech mnie diabli – powiedział do siebie na głos.

Był tylko jeden minerał wystarczająco twardy, aby zarysować rubin — diament.

Było już niemal ciemno, kiedy wrócił do miejsca w którym Barber odpoczywał obok ich pakunków.

– Znalazłeś może coś interesującego, że wróciłeś tak późno? – z ciekawością spytał Barber.

Upuścił mu u stóp dwie garście rubinów, szafirów i diamentów

– Popatrz tylko – stwierdził. – Na cywilizowanej planecie, to co tutaj widzisz, wystarczyłoby nam na zakup statku, bez konieczności ruszenia nawet palcem. Tutaj, to tylko ładne kolorowe szkiełka.

– Za wyjątkiem diamentów – dodał. – Przynajmniej mamy teraz coś do cięcia tych kryształów kwarcu.

Następnego ranka wzięli ze sobą jedynie kilka rubinów i szmaragdów, ale zebrali więcej diamentów, poszukując głównie tych szaro-czarnych i brzydkich, ale bardzo twardych i ostrych kawałków węgla. Następnie wznowili swój obchód ścian Otchłani.

W miarę upływu dni, gorąco nadal nieustannie wzrastało. Jedynie noc dawała jakąś ulgę od niego, ale noce robiły się w szybkim tempie coraz krótsze, ponieważ błękitne słońce wstawało każdego ranka coraz wcześniej. Po wschodzie żółtego słońca, Otchłań stawała się rozpalonym piecem, wokół krawędzi którego, pełzli jak mrówki w jakimś gigantycznym piekarniku.

Nie było widać życia w żadnej formie, żadnych zwierząt, ani krzewów, ani nawet źdźbła trawy. Znaleźli tu jedynie pustynne dno przepaści, skąpane przez oba słońca w ciężkim zielonym cieniu, buchające i skręcające się falami gorąca, jak jakieś koszmarne morze. Wznoszące się ponad nimi skaliste ściany również rozbłyskiwały odbitym światłem, i czasami zdawały się pochylać mocno nad ich głowami, tak jakby właśnie przewróciły się i spadały prosto na nich.

Nie znaleźli żadnych innych minerałów, ani w ogóle niczego ciekawego, do czasu aż w końcu dotarli do miejsca w którym dostrzegli wcześniej obłoki dymu, czy też pary.

W tym miejscu ściany Otchłani cofały się, tworząc małą dolinę, o długości mili i szerokości połowy mili. Jej krawędzie nie opadały pionowo, ale zwieszały się nad dnem, tworząc fantastyczną formację naturalnych zadaszeń i łuków, sięgających po obu stronach niemal do środka doliny. W cieniu takich arkad rosły jakieś zielone rośliny, po wielu z nich spływały kaskadami mieniące się wodospady. Wodę odprowadzał z doliny mały strumień, przepływający kawałek drogi po dnie Otchłani, zanim wchłonęły go gorące piaski.

Przez pewien czas stali i przyglądali się temu zjawisku, ale w dolinie nie było widać żadnego ruchu, poza falowaniem zielonych roślin, poruszanych przez lekki wietrzyk. W pewnej chwili wietrzyk ten przyniósł im świeżą, słodką woń roślinności, zachęcając ich, aby podeszli bliżej.

– Takie miejsce w ogóle tutaj nie pasuje – półgłosem stwierdził Barber. – Ale tym niemniej jest. Zastanawiam się co jeszcze możemy tutaj znaleźć?

– Cień i chłodną wodę – odparł mu Humbolt. – I być może jakieś stworzenia, które nie lubią obcych. Chodźmy, sprawdźmy to.

Pochodząc bliżej, uważnie się rozglądali, ani na chwilę nie wypuszczając z rąk swoich kusz. Z mniejszej odległości zobaczyli, że zadaszenia i łuki były zewnętrznymi pozostałościami systemu naturalnych jaskiń, które zagłębiały się w ściany doliny. Zielona roślinność, rosnąca wszędzie tam, gdzie zadaszenia dawały cień, choćby przez część dnia,

składała się głównie z krzewów o ażurowych liściach i purpurowych kwiatach, oraz wysokich roślin przypominających kukurydzę.

Pod niektórymi z zadaszeń, kukurydza była już dojrzała, widać było jej zabarwione na pomarańczowo ziarna. Pod innymi wyrosła nie więcej niż do połowy. Dostrzegł powód tego stanu rzeczy i wyjaśnił Barberowi:

– Zobacz, tutaj są zarówno zimne jak i ciepłe źródła. Rośliny pobierające wodę z ciepłych źródeł, mogą rosnąć na okrągło, niemal przez cały rok. Te zasilane przez zimne źródła, tylko latem. A to, co widzieliśmy ze szczytu gór, to para unosząca się z ciepłych źródeł.

Mijali arkadę za arkadą, nie widząc żywego ducha. Kiedy doszli do wyższego końca doliny i nadal niczego nie znaleźli, wydawało się oczywiste, że niebezpieczeństwo napotkania jakichś inteligentnych i wrogich stworzeń, było raczej niewielkie. Najwyraźniej małej doliny nie zamieszkiwały żadne istoty żywe.

Humbolt zatrzymał się pod szeroką arkadą, gdzie zawiewał wilgotny chłodny wietrzyk, rozpryskujący wodę ze strumyka, przez który właśnie przeszli. Barber poszedł dalej, aby zajrzeć pod sąsiedni łuk.

Spod obu arkad, w głąb ściany skalnej prowadziły jaskinie, i z miejsca w którym stał, Humbolt dostrzegł że w wejściu do najbliższej z nich, coś leży. Był to mały kopczyk pomarańczowej kukurydzy, zgrabnie usypanej w kupkę, tak jakby coś co ją tutaj zostawiło, miało zamiar po nią wrócić.

Spojrzał także w stronę drugiej arkady, ale Barber znajdował się akurat gdzieś poza zasięgiem wzroku. Wątpił, czy coś co zostawiło tę kukurydzę, było jakimś poważnym zagrożeniem, ponieważ niebezpieczne zwierzęta raczej wolały jeść mięso niż ziarno, ale wszedł do jaskini trzymając w ręku kuszę gotową do strzału.

Zatrzymał się w wejściu do jaskini, aby jego oczy przyzwyczaiły się do panującej w jej wnętrzu ciemności. Kiedy to zrobił, na spotkanie wybiegły mu ze środka jakieś stworzenia.

Wyszły na otwartą przestrzeń, sześć małych zwierzątek, o rozmiarach wiewiórki, każde z nich innego koloru. Szły na krótkich tylnich łapkach, jak miniaturowe niedźwiedzie, a czarne oczka w niedźwiedzio-wiewiórczych pyszczkach, utkwione były w niego z intensywnym zainteresowaniem. Zatrzymały się pięć stóp przed nim, ustawiając się w równym szeregu, i nieustannie wpatrywały się w niego z fascynacją.

Żółto ubarwiony osobnik, stojący w środku, podrapał się mimowolnie po brzuszku, pokrytą futerkiem łapką, i Humbolt wycelował w niego kuszę, czując się trochę głupio, że w ogóle myśli o jej użyciu, przeciwko takim małym i nieszkodliwym zwierzętom.

Niemal już uniósł ją z powrotem, kiedy żółty zwierzak otworzył pyszczek i powiedział tonem, w którym zabrzmiała wyraźna nuta przewidywania.

– Myślę, że zjemy cię dzisiaj na kolację.

Humbolt rzucił spojrzeniem w lewą i w prawą stronę, ale w pobliżu nie było nikogo, oprócz sześciu małych zwierzątek. Ten żółty, który przemówił do niego, wpatrywał się teraz w niego, w milczeniu, mając na futrzanym pyszczku wypisaną wyłącznie ciekawość. Zaczął się zastanawiać, czy czasami jakieś wyziewy, albo zapachy którejś z rosnących w dolinie roślin, nie pchnęły jego mózgu w otchłań nagłego szaleństwa, i zapytał:

– Myślisz, że dacie radę to zrobić?

Stworzenie ponownie otworzyło pyszczek, jąkając się:

– Ja… Ja… – A potem z nutą zaniepokojenia w głosie: – *Hej*…

Stworzenie umilkło i po chwili usłyszał odgłosy śpieszącego w jego stronę Barbera, który wołał:

– Hej… Bill… Gdzie jesteś?

– Tutaj – odpowiedział mu okrzykiem, i był już pewien, dlaczego małe zwierzątko odezwało się do niego.

Barber podszedł do niego i zobaczył sześć wiewiórko-niedźwiedzi.

– Aż sześć sztuk! – zawołał. – W następnej jaskini jest jeszcze jeden… to cholerstwo odezwało się do mnie!

– Tak właśnie myślałem – odparł. – Powiedziałeś mu, że zjemy go na kolację, a wtedy on ci odpowiedział: „Myślisz, że dacie radę to zrobić”, co nie?

Na twarzy Barbera pojawiło się zaskoczenie.

– Skąd o tym wiedziałeś?

– One potrafią komunikować się telepatycznie, między sobą – wyjaśnił. – Ten żółty powtórzył mi, to co usłyszał od ciebie, ten do którego mówiłeś, a tamten powtórzył ci to co żółty usłyszał ode mnie. Między nimi musi istnieć jakaś łączność telepatyczna.

– Telepatia… – Barber gapił się na sześć małych zwierzątek, które w odpowiedzi gapiły się na niego, z nie niknącą fascynacją i ciekawością. – Ale dlaczego powtarzają na głos to, co przekazują sobie telepatycznie?

– Nie wiem. Być może na jakimś szczeblu ich rozwoju, jedynie część z nich była telepatami, i ci telepaci w ten sposób przekazywali innym ostrzeżenia o niebezpieczeństwie. Ponadto, jeżeli już o tym mówimy, to dlaczego papuga powtarza to co usłyszy?

– Za Barberem rozległ się odgłos bezładnej bieganiny, i kolejne z małych zwierzątek, tym razem białe, przebiegło koło nich z pośpiechem. Podeszło do żółtego, i stanęły blisko koło siebie, razem gapiąc się na nich. Wyglądało na to, że były parką…

– To jest ten drugi… to są te dwa, które z nas zakpiły – powiedział Barber, tym samym nadając im nazwę, pod którym miały być znane: kpiarze.

Kpiarze były świeżym mięsem, ale przyjęły ludzi tak ufnie i przyjaźnie, że Barber zupełnie stracił ochotę na zjedzenie któregoś z nich na kolację, albo na jakiś inny posiłek. Mieli jeszcze pewien niewielki zapas suszonego mięsa, a wszędzie było mnóstwo pomarańczowego ziarna. Nie będą musieli głodować.

Odkryli wkrótce, że kpiarze miały swoje kwatery mieszkalne w dwu chłodnych jaskiniach i jednej ogrzewanej przez gorące źródła. Wskazywało to na to, że zasypiały na zimę w ciepłych jaskiniach.

W dolinie kpiarzy nie było żadnych minerałów, tak że wkrótce wyruszyli dalej, aby kontynuować obchód Otchłani. Nie udało im się zajść daleko, kiedy gorąco stało się tak duże, że strumienie w odgałęzieniach przepaści zaczęły wysychać. Wtedy zawrócili, aby poczekać w małej dolinie, dopóki nie nadejdą deszcze.

Kiedy zakończyło się długie lato, pierwszy deszcz pozwolił im na wznowienie wędrówki. Zabrali ze sobą zapas pomarańczowej kukurydzy, i dwa kpiarze, żółtego i jego białego współpartnera. Pozostałe kpiarze obserwowały ich wymarsz. Stały milczące i uroczyste przed wejściem do swoich jaskiń, jak gdyby się obawiały, że mogą już nigdy nie zobaczyć dwójki swoich towarzyszy, ani ludzi.

Dwójka kpiarzy stanowiła bardzo miłe towarzystwo. Jechały na ramionach ludzi i wesoło paplały wszystkie nonsensy, jakie tylko przyszły im do głowy. Czasami jednak mówiły rzeczy, które nie do końca były bez sensu, powodując, że Humbolt zaczynał się zastanawiać, czy kpiarze aby nie potrafiły również częściowo czytać ludzkich myśli, i w mglisty sposób rozumieć znaczenie pewnych słów, przez siebie wypowiadanych.

Znaleźli miejsce, gdzie cienką warstwą i nieregularnie, porozrzucana była saletra potasowa. Zeskrobali wszystkie warstewki, które udało im się znaleźć, zyskując w ten sposób

niewielką ilość tej substancji. Dokończyli swój obchód i nie znajdując niczego więcej, stanęli u stóp długiego, stromego zbocza Craigów.

Przed nimi rozciągało się budzące strach podejście na przełęcz. Prowadziło ono w górę tak stromo i usiane było tyloma niskimi uskokami, że często nogi odmawiały im dalszego marszu do przodu, i musieli wręcz się czołgać. Gorąco było nadal bardzo silne, a na stoku nie było żadnej wody, dopóki nie dojdą do źródła, znajdującego się poza szczytem góry. Przez cały dzień towarzyszył im podczas wspinaczki palący wiatr, wiejący prosto z rozpalonego dna Otchłani. Kiedy nadeszła noc, ich skórzane bukłaki były już niemal suche, a jak dotąd nie pokonali więcej niż jedną trzecią drogi na górę.

Kiedy wzrosła wysokość, kpiarze umilkły, i gdy zatrzymali się na noc, Humbolt zrozumiał, że z pewnością nie uda im się przeżyć przejścia przez góry. Ich serca waliły w olbrzymim tempie, i wykonywały szybkie gwałtowne oddechy, usiłując złapać wystarczająco dużo tlenu z rozrzedzonego powietrza. Wypiły tylko po kilka kropel wody, ale nawet nie tknęły oferowanej im kukurydzy.

Biały kpiarz umarł przed południem następnego dnia, kiedy zatrzymali się na krótki odpoczynek. Żółty podpełznął słabo do jego boku i umarł kilka minut później.

– A więc tak – powiedział Humbolt, spoglądając na nie z góry. – Jedyne stworzenia na Ragnarok, które nam zaufały i chciały zostać naszymi przyjaciółmi, a my je zabiliśmy.

Wypili resztki posiadanej wody i ruszyli dalej. Tej nocy obozowali na sucho, i przez cały czas dręczyły ich wyczerpujące sny o zimnych strumieniach wody. Kolejny dzień był niekończącym się piekłem, podczas którego szli, upadali i czołgali się, wstawali, szli i ponownie upadali.

Barber słabł w oczach, a jego oddech stawał się coraz cięższy, zamieniając się w grzechoczące sapanie. Tego popołudnia odezwał się tylko raz, próbując się uśmiechać, suchymi, spieczonymi wargami i wykrztusić pomiędzy spazmatycznymi sapnięciami:

– To byłoby cholernie… żeby musieć umierać… tak bardzo spragnionym jak jestem teraz.

Potem upadał ze zwiększoną częstością, za każdym razem podnosząc się coraz wolniej i coraz słabiej. Pół mili przed szczytem zbocza, upadł po raz ostatni. Próbował wstać, ale nie mógł tego zrobić, a więc próbował się czołgać. To również mu się nie udało, i upadł twarzą na dół na skalistą ziemię.

Humbolt podszedł do niego i wysapał, z wysiłkiem łapiąc powietrze pomiędzy słowami:

– Poczekaj, Dan… pójdę dalej… nabiorę wody… i przyniosę ci… z powrotem

Barber z najwyższym wysiłkiem uniósł się trochę i spojrzał na niego.

– Nie ma sensu – powiedział. – Moje serce… za dużo…

Ponownie upadł na twarz, ale tym razem leżał zupełnie cicho, nie łapiąc już desperackich haustów powietrza.

Humboltowi wydawało się, że minęło pół wieczności, zanim w końcu dotarł do źródła i do czystej, zimnej wody. Pił, odczuwając najbardziej ekstatyczną przyjemność, jaką kiedykolwiek doświadczył w całym swoim życiu. Potem przyjemność znikła, kiedy przed oczyma stanął mu Dan Barber, próbujący się uśmiechnąć, a w uszach zabrzmiał jego głos: „To byłoby cholernie… żeby musieć umierać… tak bardzo spragnionym jak jestem teraz”.

Odpoczywał dwa dni, zanim był w stanie wyruszyć w dalszą drogę. Kiedy w końcu zszedł na płaskowyż, zobaczył, że leśne kozły już od pewnego czasu migrowały na południe. Drugiego dnia, rano, wszedł na łagodne wzniesienie terenu na równinie, i stanął twarzą w twarz z trzema jednorożcami.

Natychmiast zaszarżowały na niego, piszcząc z podniecenia. Gdyby miał ze sobą tylko zwykły łuk, zabiłyby go w przeciągu kilku sekund. Ale automatyczna kusza plunęła w pyski

jednorożców deszczem strzał, co zmusiło je do skrętu w bok, z rykiem bólu i rozwścieczonym zdumieniem. Z chwilą kiedy skręciły na tyle mocno, by odsłonić obszar szyi, tuż za głową, strzały zaczęły zbierać śmiertelne żniwo.

Jeden z jednorożców zdołał uciec, z pyskiem najeżonym trzema strzałami. Przez chwilę jeszcze obserwował go z pewnej odległości, popiskując i potrząsając łbem w bezsilnej i zdumionej furii. Potem odwrócił się i rozpłynął się na równinie, mknąc jak jeleń.

Ponownie podjął swój marsz na południe, idąc jeszcze szybciej niż przedtem. Jednorożec skierował się na północ, i bez wątpienia zrobił to wyłącznie w jednym celu: żeby ściągnąć wystarczająco dużo swoich towarzyszy do skończenia rozpoczętej roboty.

Do jaskiń dotarł późno w nocy. Wszyscy już spali poza Georgem Ordem, który pracował do późna w swoim połączonym warsztacie – laboratorium.

Na odgłos jego kroków George uniósł głowę i zauważył, że jest sam.

– A więc Danowi nie udało się? – spytał go.

– Dostała go Otchłań – odpowiedział mu Humbolt. A potem dodał ze zmęczeniem: – Otchłań… znaleźliśmy to przeklęte miejsce.

– Czerwona warstwa skalna…?

– To były tylko żelazne plamy.

– Kiedy wyruszyliście, zrobiłem mały, pilotażowy piec hutniczy – powiedział George. – Miałem nadzieję, że ta warstwa czerwonej skały, okaże się rudą. Inne wyprawy poszukiwawcze… żadna z nich nie znalazła zupełnie nic.

– Spróbujemy znowu następnej wiosny – oznajmił twardo Humbolt. – W końcu gdzieś to znajdziemy, obojętne jak dużo czasu nam to zabierze.

– Możemy nie mieć aż tak dużo czasu. Obserwacje wskazują, że słońce przesunęło się dalej na południe, niż kiedykolwiek przedtem.

– A więc musimy podwójnie wykorzystać czas, jaki mamy. Obetniemy zespoły łowieckie do minimalnego poziomu i wyślemy więcej wypraw poszukiwawczych. Musimy mieć statek, aby ponownie spotkać się z Gernami.

– Czasami – powiedział George, a jego czarne oczy studiowały go z namysłem – wydaje mi się że to jedyny powód dla którego żyjesz, Bill: żeby dotrwać do dnia, w którym będziesz mógł zabijać Gernów.

George wygłosił to zdanie, jako proste stwierdzenie faktu, bez śladu krytyki, ale Humbolt, kiedy mu odpowiadał, nie mógł się powstrzymać od cienia ostrości w głosie:

– Dlatego więc, dopóki ja jestem przywódcą, będzie to jedynym powodem do życia dla wszystkich z nas.

Tej jesieni wyruszył z wyprawą myśliwską na południe, zabierając ze sobą Boba Craiga i młodego Andersa. Setki mil na południe od jaskiń, zeszli na niziny, do krainy obfitości wody, bujnej roślinności i olbrzymich stad jednorożców i leśnych kozłów. Była to również kraina bardzo niebezpieczna, z powodu dużej koncentracji jednorożców i szperaczy, i tylko automatyczne kusze w połączeniu z nie słabnącą nawet na chwilę czujnością, pozwoliły im tam przeżyć.

Tam też napotkali pełzacze, ohydne stworzenia pełzające na wielu odnóżach, jak gigantyczne trzytonowe stonogi, z pyskiem nastroszonym sześcioma szczękoczułkami, z których kapała śmierdząca ślina. Ukąszenie pełzacza było trujące, błyskawicznie paraliżowało ofiarę, nawet jednorożca, ale nie zabijając jej natychmiast. Pełzacze jednak pożerały swoją zdobycz od razu, rozszarpując i oddzielając bezradne i ciągle jeszcze żyjące ciało, od kości.

Chociaż nawet jednorożce obawiały się pełzaczy, to jednak szperacze nienawidziły ich z intensywnością graniczącą z fanatyzmem, i wykorzystując swoją dużo większą szybkość, zabijały każdego pełzacza, jakiego udało im się dopaść. Rozszarpywały pełzacza za

pełzaczem, z obłąkaną wściekłością, pomimo że nieraz same zostały pokąsane i umierały od jego trucizny.

Jako dodatek do kusz, zabrali ze sobą jeden z potężnych długich łuków, i pewnego dnia zabili z niego pełzacza. Kiedy to zrobili, nagle natknęła się na nich wataha dwudziestu szperaczy.

Dwadzieścia szperaczy, w dodatku mających przewagę zaskoczenia z krótkiego dystansu, mogłoby ich bez trudu zmasakrować. Zamiast tego, szperacze ruszyły dalej w swoją drogę, posyłając im jedynie wyzywające warczenie.

– Ciekawe, dlaczego – zastanawiał się Bob Craig, – zrobiły to, co zrobiły.

– Zobaczyły, że właśnie zabiliśmy pełzacza – wyjaśnił Humbolt. – Pełzacze są ich śmiertelnymi wrogami, i myślę, że pozostawienie nas przy życiu, miało być swoistym sposobem okazania nam ich uznania.

Dalsza eksploracja nizin, nie wykazała istnienia złóż żadnych minerałów — nic tylko materiał osadowy o nieznanej głębokości. Nie było więc żadnych powodów, żeby tam pozostawać dłużej, poza tym, że powrót do jaskiń był niemożliwy, dopóki nie nadejdzie wiosna. Zbudowali więc odporne na ataki schronienia w kępie drzew i osiedlili się w nich, aby przeczekać zimę.

Wyruszyli na północ razem z pierwsza falą leśnych kozłów, po straconych miesiącach czasu i długich wysiłkach, nie mając innym do oznajmienia nic, poza informacją o braku sukcesu.

Kiedy byli już w pobliżu jaskiń, przechodzili przez pustynną dolinę, w której Gernowie wypędzili Odrzuconych z krążowników, a potem miejsce w którym znajdowała się palisada. To było bardzo smutne miejsce, ściany palisady były poprzewracane i porozbijane, a groby matki Humbolta i innych, dawno temu starte z powierzchni ziemi, przez kopyta całych legionów jednorożców. Ponownie przebudziły się w nich gorzkie wspomnienia, zabarwione jeszcze po latach smutkiem nostalgii. Palisada została już daleko za nimi, zanim opuścił ich czarny nastrój.

Tej wiosny posadzono pomarańczową kukurydzę, a liczba wypraw poszukiwawczych uległa podwojeniu.

Kukurydza wykiełkowała, ale rosła słabo i obumarła przed wydaniem plonu. Wyprawy poszukiwawcze wracały jedna po drugiej, a żadna z nich nie doniosła o jakimś sukcesie. Zdecydował, że ta jesień jest zbyt cenna, żeby ją zmarnować. Musieli spróbować skorzystać z alternatywnego planu, o którym mówili wcześniej.

Poszedł do George'a Orda i spytał go, czy przy pomocy materiałów jakie posiadali, możliwe jest zbudowanie nadajnika nadprzestrzennego.

– To jedyny sposób, byśmy mieli szansę opuszczenia tego miejsca, nie posiadając własnego statku kosmicznego – stwierdził. – Musimy zwabić tutaj krążownik Gernów, a potem go im odebrać.

George pokręcił przecząco głową.

– Sam nadajnik nadprzestrzenny *mógłbym* nawet zbudować, gdybym miał na to dostatecznie wiele lat czasu. Ale byłby zupełnie bezużyteczny bez energii. Potrzebowalibyśmy generatora takich rozmiarów, że musielibyśmy przetopić na niego każdą strzelbę, nóż, czy siekierę, każdy skrawek żelaza i stali jaki mamy. A nawet wtedy zabrakłoby nam co najmniej pięciuset funtów. A oprócz tego wszystkiego, musielibyśmy mieć jeszcze przynajmniej trzysta funtów miedzi dodatkowo na okablowanie.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że potrzebny byłby taki duży generator – odparł Humbolt po długiej chwili ciszy. – Byłem pewien, że jesteśmy w stanie zbudować nadajnik.

– Zdobądź tylko dla mnie metale, a będziemy mogli – powiedział George. Westchnął niespokojnie, a kiedy spoglądał na otaczające ich ściany jaskini, w jego oczach pojawiła się niemal nienawiść. – Nie jesteś jedynym, który marzy o opuszczeniu naszego więzienia,

Zdobądź dla mnie osiemset funtów żelaza i miedzi, a ja już zbuduję nadajnik, znajdę jakiś sposób.

Osiemset funtów metalu… Na Ragnarok, było to jakby prosić o gwiazdkę z nieba.

Lata mijały, a każdy rok nacechowany był takimi samymi pełnymi determinacji wysiłkami, i takim samym brakiem sukcesów. I każdego roku słońca przesuwały się bardziej na południe, wyznaczając zbliżanie się końca wszelkich wysiłków poza jednym, tym by po prostu przeżyć.

W trzydziestym roku, kiedy jesień nadeszła wcześniej, niż kiedykolwiek przedtem, został zmuszony do przyznania się w duchu do ponurego i gorzkiego faktu: on i inni Młodzi nie będą generacją, która będzie mogła uciec z Ragnarok. Byli urodzeni na Ziemi i nie przystosowali się do Ragnarok na tyle, by przeczesać planetę o grawitacji jeden i pół, w poszukiwaniu rud metali, które być może w ogóle nie istnieją.

A zemsta jest luksusem, który nigdy nie będzie mu dany.

W jego myślach, gdzie wcześniej było miejsce jedynie na nienawiść do Gernów, pojawiło się pytanie: *Co stanie się z przyszłymi pokoleniami na Ragnarok*?

Wraz z tym pytaniem, przed oczyma stanęła mu scena z dzieciństwa, wieczór późnym latem, pierwszego roku na Ragnarok, i Julia siedząca koło niego w ciepłym świetle gwiazdy…

– Jesteś moim synem, Billy – powiedziała do niego. – Pierwszym jakiego miałam. Teraz, za jakiś czas, być może będę miała jeszcze jednego.

Z wahaniem, pragnąc, aby to nie była prawda, spytał ją:

– Dlaczego niektórzy ludzie mówią o tym, że możesz wtedy umrzeć. To nie jest prawda, co nie, Julia?

– To się może przydarzyć. – Wtedy jej ręka otoczyła go, i powiedziała mu: – Jeżeli tak się stanie, to pozostawię w swoje miejsce życie, które jest dużo ważniejsze, niż kiedykolwiek było moje.

– Jeżeli kiedyś zostaniesz przywódcą, pamiętaj o mnie, Billy, o tym wieczorze i o tym co ci powiedziałam. Zapamiętaj sobie, że tak naprawdę, to jedynie poprzez nasze dzieci, możemy przetrwać i pokonać tę planetę. Chroń je dopóki są małe i bezradne, a kiedy będą trochę starsze, ucz je walczyć i nie bać się niczego. Nigdy, ale to nigdy, nie pozwól im zapomnieć o tym, w jaki sposób znalazły się na Ragnarok. Pewnego dnia, nawet jeśli będzie to dopiero za sto lat, Gernowie znowu tutaj przybędą, i wtedy muszą być gotowi do walki, o swoją wolność i o swoje życie.

Był wtedy za młody, aby zrozumieć, jak prawdziwe były jej słowa, a kiedy stał się już dostatecznie duży, zaślepiła go nienawiść do Gernów, tłumiąc wszystko poza jego pragnieniami. Teraz w końcu to dostrzegał…

Dzieci z każdego kolejnego pokolenia, będą coraz lepiej przystosowane do warunków na Ragnarok, aż w końcu zaadaptują się do nich w pełni. Ale wszystkie kolejne pokolenia będą potencjalnymi niewolnikami Imperium Gern, wolnymi jedynie dopóki nie zostaną przez nie zauważeni.

To było zupełnie niepojęte, że Gernowie nigdy nie przelatywali obok Ragnarok, przez ten cały miniony czas. A kiedy w końcu tu przybędą, powolny ale nieunikniony upływ lat, dekad i wieków, może sprowadzić na ludzi na Ragnarok fałszywe poczucie bezpieczeństwa, może zmienić opowieści o tym co Gernowie zrobili Odrzuconym w legendy, a te dalej w mity, w które nikt już nie będzie wierzył.

Gernowie musieli zostać zwabieni na Ragnarok, zanim to wszystko się wydarzy.

Ponownie poszedł do George’a Orda i powiedział:

– Jest pewien rodzaj nadajnika, dla którego dalibyśmy radę zbudować generator. Zwykły nadajnik radiowy, działający w normalnej przestrzeni, wysyłający tylko sygnały alfabetem Morse'a, bez odbiornika.

George odłożył diamentową tarczę do cięcia, nad którą właśnie pracował.

– Dotarcie sygnału na Atenę, z szybkością światła, zajęłoby dwieście lat – stwierdził. – Potem, czterdzieści dni później, przyleci tutaj z hukiem i z trzaskiem krążownik Gernów, żeby sprawdzić źródło jego pochodzenia.

– Chcę, żeby ludzie w przyszłości wiedzieli, że Gernowie pojawią się u nas, nie później niż dwieście lat od dzisiaj. A ponadto zawsze jest szansa, że jakiś krążownik Gern może w każdej chwili przechwycić sygnał w kosmosie, nawet dużo wcześniej.

– Rozumiem – odparł George. – Miecz Damoklesa wiszący nad ich głowami, tak by nie zapomnieli.

– Wiesz co by się z nimi stało, gdyby kiedyś zapomnieli. Jesteś w tym samym wieku co ja. Wiesz co Gernowie nam zrobili.

– Jestem starszy od ciebie – skorygował go George. – Miałem dziewięć lat, kiedy Gernowie nas tutaj zostawili. Zatrzymali mojego ojca i matkę, a moja siostra miała dopiero trzy lata. Próbowałem ją ogrzewać, ściskając ją i tuląc, ale piekielna gorączka zabrała ją już tej pierwszej nocy. Była za mała, żeby zrozumieć, dlaczego nie mogłem jej bardziej pomóc…

Na to wspomnienie w jego oczach rozpaliła się nienawiść, jak jakiś ogień, który nigdy do końca nie wygasł.

– Tak, pamiętam Gernów, i co oni nam zrobili. Nie chciałbym, aby to samo przydarzyło się innym. Zbudujemy ten nadajnik, żeby temu zapobiec.

Aby wykonać odlewy niezbędne do budowy generatora, przetopione zostały wszystkie strzelby, oraz inne przedmioty z żelaza i stali jakie mieli. Sporządzili także ceramiczne rury, transportujące wodę ze źródła, do młyńskiego koła wodnego. Cały czas trwała długa i żmudna praca nad przerobieniem na części do budowy nadajnika, różnych urządzeń elektrycznych, z których wiele było popsutych i zniszczonych.

Zanim nadajnik był gotów do końcowych testów, minęło pięć kolejnych lat. Była to wczesna jesień trzydziestego piątego roku. Woda, która chlusnęła z rury pryskała na Humbolta zimnymi kropelkami, w miarę jak koło wodne z wolna zaczęło się obracać.

Generator zaczął brzęczeć, a George obserwował efekty jego pracy i działania nadajnika, rejestrowane przez różne mierniki, które sam zbudował.

– Sygnał jest słaby, ale z pewnością stacja monitorująca Gernów na Atenie go wychwyci – oznajmił. – Jesteśmy gotowi do nadawania. Co chcesz im przekazać?

– Przygotuj coś krótkiego – zdecydował. – Niech będzie: „*Wzywa Ragnarok*".

George położył palec na kluczu nadawczym.

– To wprawi w ruch siły, o których nigdy nie będzie można zapomnieć. To, co zrobimy dzisiejszego ranka, może spowodować, że zginie wielu Gernów… albo ludzi z Ragnarok.

– To Gernowie będą tymi, którzy zginą – odparł Humbolt. – Wyślij ten sygnał.

– Podobnie jak ty, wierzę w tę samą sprawę – powiedział George. – Muszę w nią wierzyć, ponieważ chcę, żeby tak to się potoczyło. Miejmy nadzieję, że mamy rację. Niestety to jest coś, czego my nigdy się nie dowiemy.

Zaczął naciskać klucz.

Zadanie zajmowania się obsługą klucza, zostało powierzone jednemu z chłopców, i sygnał emitowany był codziennie, dopóki zima nie zatrzymała koła wodnego, które napędzało generator.

Nadawanie sygnałów zostało wznowione, kiedy tylko nadeszła wiosna, a wyprawy poszukiwawcze wyruszyły na kontynuację swoich daremnych poszukiwań rud metali.

Słońca kontynuowały swój ruch na południe, i każdego roku wiosna nadchodziła coraz później, a jesień coraz wcześniej. Wiosną czterdziestego piątego roku, Humbolt zrozumiał, że będzie musiał podjąć pewne ostateczne decyzje.

Do tego czasu ich liczebność kurczyła się nieustannie, aż w końcu pozostało ich tylko sześćdziesięcioro ośmioro. Młodzi posiwieli i szybko robili się coraz starsi. Nie było już sensu kontynuować poszukiwań minerałów. Jeżeli były nawet jakieś rudy metali do znalezienia, to znajdowały się one na północnych krańcach płaskowyżu, gdzie śniegi nie topniały już nawet podczas lata. Było ich zbyt niewielu, aby mogli robić cokolwiek więcej, niż przygotowywać się do tego, czemu Starzy obawiali się, że będą musieli stawić czoła — do Wielkiej Zimy. To wymagało pracy ich wszystkich.

Z Craigów, których szczyty były nawet w środku lata głęboko pogrzebane pod śniegiem, sprowadzono arkusze miki. Z gliny ogniotrwałej i miki zbudowali piece, dające im zarówno ciepło, jak i światło, i które były bardziej wydajne niż otwarte paleniska. Do zamieszkania przystosowano najdalsze z jaskiń, wyposażając je w szereg drzwi do zatrzymywania w środku ciepła, oraz pracowicie wydrążone kanały wentylacyjne i wyciągi do dymu.

Jesienią roku pięćdziesiątego, kiedy zrobiono już wszystko co tylko było możliwe do tego by przygotować się na nadchodzącą przyszłość, pozostało ich sześćdziesięcioro.

– Nie pozostało już zbyt wielu urodzonych na Ziemi – powiedział mu Bob Craig, pewnej nocy, kiedy siedzieli w migotliwym świetle pieca. – A minęło jeszcze za mało czasu, żeby pojawiło się wielu urodzonych na Ragnarok. Gdyby Gernowie przybyli teraz, nie zdobyliby za dużo nowych niewolników.

– A jednak chcieliby wykorzystać każdego, którego u nas znajdą – odparł. – Młodsi, którzy są najlepiej przystosowani do tego przyciągania, na planecie o grawitacji jeden, byliby niesamowicie silni i szybcy. Jest dużo niebezpiecznych zadań, przy których silny i szybki niewolnik, jest o wiele bardziej efektywny i łatwiejszy do spisania na straty, niż złożone, bardzo kosztowne maszyny.

– I pewnie chcieliby zdobyć jakieś okazy do swoich badań naukowych – dodał Jim Lake. – Chcieliby pokroić młodych na plasterki, i zobaczyć jak oni są zbudowani, w jaki sposób przystosowali się do tej planety o półtora razy większej grawitacji.

Uśmiechnął się, z tym samym chłodnym brakiem wesołości, który zawsze Humboltowi przypominał jego ojca, Lake'a, komandora porucznika na *Constellation*.

– Zgodnie z informacjami z książek, Gernowie nigdy nawet nie próbowali robić tajemnicy, z tego że kiedy jakiś doktor, czy biolog Gernów, rozcina mięśnie albo organy nie-Gernów, aby zobaczyć jak one się poruszają, to chce aby oni ciągle żyli i nimi poruszali, kiedy to robi.

Odezwał się na to siedemnastoletni Don Chiara, mówiąc powoli, z namysłem:

– Niewolnictwo i wiwisekcje… Jeśli Gernowie przybyliby teraz, kiedy jest nas tak niewielu, i gdybyśmy mieli walczyć najlepiej jak potrafimy, i przegrać, to lepiej by było, gdyby ci z nas, którzy ocaleją, zatopili noże w sercach kobiet i dzieci, niż pozwolili na to, aby złapali je Gernowie.

Nikt nie miał na to żadnej odpowiedzi. Nie było żadnej innej odpowiedzi, żadnej alternatywy, którą można by było zaproponować w zamian.

– W przyszłości będzie nas dużo więcej, a to zupełnie zmieni sytuację – powiedział w końcu Humbolt. – Na Ziemi Gernowie byli zawsze silniejsi i szybsi od ludzi, ale kiedy przylecą na Ragnarok, znajdą tutaj rasę, która nie jest już tak naprawdę ludzka. Staną przed rasą, wobec której będą jak leśne kozły wobec szperaczy.

– Jeżeli tylko nie przylecą za wcześnie – wtrącił Craig.

– To było ryzyko, które trzeba było podjąć – odparł Humbolt.

Kiedy mówił, jeszcze raz analizował to wszystko w myślach, tak jak zastanawiał się nad tym często, w czasie ostatnich kilku lat. Czy kiedy wydał rozkaz budowy nadajnika, nie wydał jednocześnie wyroku śmierci na nich wszystkich. W każdym razie nie można było pozwolić na to, aby przyszłe generacje zapomniały o wszystkim… a stali nie da się dobrze zahartować, bez włożenia jej przedtem w ogień.

Był już ostatnim z Młodych, kiedy zbudził się pewnej nocy, jesienią pięćdziesiątego szóstego roku, i stwierdził, że leży rozpalony piekielną gorączką. Nie wzywał nikogo z innych. Nic dla niego nie mogli zrobić, a on dla nich już wcześniej zrobił wszystko co mógł.

Zrobił dla nich wszystko co mógł… i teraz miał pozostawić czterdzieścioro dziewięcioro mężczyzn, kobiet i dzieci, aby stawili czoła nieznanym siłom Wielkiej Zimy, podczas gdy nad ich głowami wisiał miecz, który on sam wykuł, zwiększając niebezpieczeństwo wykrycia ich przez Gernów.

Ponownie powróciło mu w myślach pytanie, ostro tnące ostrzem świadomości, że było już za późno na to, by cokolwiek mógł zmienić. *Czy przygotowałem egzekucję mojego ludu*?

Wtedy jednak, przebijając się przez czerwoną mgłę gorączki, przemówiła do niego z przeszłości Julia, która znowu siedziała obok, w letnim zmroku, mówiąc:

Zapamiętaj mnie, Billy, i ten wieczór, i to co teraz ci powiem... ucz ich jak walczyć, i niczego się nie bać... nigdy nie pozwól im zapomnieć tego, w jaki sposób przybyli na Ragnarok…

Wydawała się być tak blisko niego i tak bardzo rzeczywista, że wszystkie wątpliwości zaczęły się rozpływać, a potem zniknęły. *Ucz ich jak walczyć… nigdy nie pozwól im zapomnieć…* Ludzie na Ragnarok na razie byli tylko odzianymi w skóry łowcami, chowającymi się w jaskiniach, ale w miarę upływu czasu będą rośli w liczbę. Każde pokolenie będzie silniejsze niż poprzednie, a on wprawił w ruch moce, które powinny spowodować, że ostatnie pokolenie będzie w stanie stawić czoła próbie walki i osiągnie wolność. Jak dobrze będą tego dnia walczyć, to zdecyduje o ich przeznaczeniu, ale przynajmniej on znowu był pewien, jak to przeznaczenie będzie wyglądało.

Ich przeznaczeniem będzie zwycięski pochód zdobywców, pośród pobitych i poniżonych Gernów.

Była właśnie zima, osiemdziesiątego piątego roku, i temperatura spadła do stu sześciu stopni[1] poniżej zera. Walter Humbolt stał przed wejściem do lodowego tunelu, prowadzącego przez lodowiec do jaskiń, i spoglądał w górę, na niebo.

Było południe, ale na rozgwieżdżonym niebie nie było widać słońca. Wiele tygodni temu słońce ześlizgnęło się pod horyzont na południu. Przez krótki czas jego codzienne przejście wyznaczała przyćmiona poświata, a potem nawet ona zupełnie zniknęła. Teraz jednak nadszedł czas, kiedy poświata powinna pojawić się ponownie, aby ogłosić zbliżający się powrót słońca.

[1] Prawdopodobnie Fahrenheita. Około -77°C (przyp. tłumacza)

Niebo wypełniał mróz, powodując migotanie gwiazd, podczas ich niekończącego się obrotu na nieboskłonie. Mróz zmusił go, do niemal nieustannego mrugania oczyma, ponieważ jego rzęsy próbowały stale przymarznąć do dolnych powiek. Odwrócił się, aby spojrzeć na północ.

Na północy zorze polarne postawiły gigantyczną kurtynę, która wypełniała jedną trzecią nieba, marszcząc się i falując w zwojach, pulsujących mnogością kolorów, czerwonym i zielonym, różowym, lawendowym i fioletowym. Ich refleksy pobłyskiwały na lodowcu pokrywającym zbocze pod jaskiniami, i miękko świeciły na innym lodowcu, tym który pokrywał stację nadawczą. Nadajnik już dawno temu został zaniesiony do jaskiń, ale generator i koło wodne ciągle tam były, zamrożone w lodowym grobowcu.

Trzy lata temu zaczął tworzyć się lodowiec pod jaskiniami, a południowe czoło płaskowyżu, było pogrzebane pod śniegiem już od dziesięciu lat. Jedynie kilka leśnych kozłów zapędzało się teraz na tyle daleko na północ, aby dotrzeć do krainy położonej na południe od jaskiń, a i one pozostawały tam jedynie podczas krótkiego okresu pomiędzy ostatnim śniegiem wiosny i pierwszym śniegiem jesieni. Ich zimowe tereny znajdowały się gdzieś daleko na południe, w pobliżu równika. To co kiedyś nazywano Południowymi Nizinami, było obecnie zlodowaciałym, pozbawionym życia pustkowiem.

Pewnego dnia myśleli już nawet, o udaniu się do doliny w Otchłani, gdzie hibernowały w swoich ciepłych jaskiniach kpiarze, jednak nawet gdyby udało im się jakoś pokonać Płaskowyż, i dokonać niewiarygodnego wyczynu przejścia pokrytych lodowcem, chłostanych śnieżycami Craigów, w dolinie kpiarzy nie znaleźliby żadnego jedzenia — tylko niewielkie zapasy kukurydzy, zmagazynowane przez kpiarze, które szybko uległyby wyczerpaniu.

Nie mieli żadnego wyboru miejsca do życia, poza pozostaniem w jaskiniach, albo migrowaniem jako nomadzi za zwierzętami. A gdyby każdego roku musieli powędrować w stronę równika, musieliby pozostawić za sobą wszystkie swoje książki, narzędzia, wszystko co pewnego dnia będzie mogło przywrócić im cywilizowany sposób życia i wskazać im sposób na ucieczkę z ich więzienia.

Ponownie popatrzył na południe, gdzie powinna pokazać się już poświata, i pomyślał: *Do tej pory, tam w domu, powinni już podjąć decyzję. Jestem ich przywódcą, ale nie mogę zmusić ich do pozostania tutaj, wbrew ich woli. Mógłbym tylko prosić ich, aby rozważyli, co będzie oznaczać opuszczenie tego miejsca*.

Poruszył się niespokojnie i śnieg zaskrzypiał mu pod nogami. Zobaczył, że pod pokrywą szronu leży jakiś przedmiot, i podszedł do niego. To była upuszczona przez kogoś strzała. Podniósł ją, z najwyższą ostrożnością, ponieważ intensywne zimno mogło spowodować, że jej brzechwa stała się równie krucha jak szkło. Po zabraniu do jaskiń powinna odzyskać swoją normalną siłę…

Rozległ się odgłos kroków, i z tunelu wyszedł Fred Schroeder, ubrany, podobnie jak i on, w grube futra. Schroeder spojrzał na południe i powiedział:

– Wydaje mi się, że zaczyna się tam robić trochę jaśniej.

Sam już zauważył, że to prawda. Na tle czarnego nieba, pojawiła się tam mała, delikatna, blada poświata.

– Dyskutowali o tym, co mówiliśmy im ty i ja – oznajmił Schroeder. – I nad tym, że tak długo walczyliśmy o to, aby tutaj pozostać, i po co to robiliśmy, skoro nawet jeżeli słońce tego roku przestanie przesuwać się na południe, to i tak w jaskiniach czekają nas długie lata zimna i lodu, zanim nadejdzie Wielka Wiosna.

– Jeżeli stąd odejdziemy, to lodowiec całkowicie pokryje jaskinie i wypełni je lodem – odparł Humbolt. – A wszystko co do tej pory zdobyliśmy, zostanie tutaj pogrzebane, a nam nie pozostanie nic poza naszymi łukami, strzałami i zwierzęcymi skórami. Wyruszymy w drogę bez powrotu, staczając się prosto w epokę kamienną. My sami, nasze dzieci, a także ich dzieci.

– Oni to wszystko wiedzą – przypomniał Schroeder. – Obaj im o tym mówiliśmy.

Umilkł. Obserwowali jak niebo na południu robi się coraz jaśniejsze. Zorze polarne płonęły za nimi niewzruszone, spoglądając jak blada aureola niewidocznego słońca powoli rozjaśniała się, osiągając maksymalne natężenie. Do tego czasu ich twarze stały się niemal zupełnie białe, i były bliskie odmrożenia, a więc odwrócili się, aby pójść z powrotem do jaskiń.

– Jak mówiłem, podjęli już decyzję – mówił dalej Schroeder. – Myślę, że ty i ja, wyrządziliśmy im dużą krzywdę, kiedy pomyśleliśmy sobie, że utracili swoją determinację, i wydawało nam się, że być może będą chcieli wręczyć swoim dzieciom i wnukom kamienne toporki, i powiedzieć: „Macie, weźcie je, i niech one będą symbolem wszystkiego czym jesteście, i czym kiedykolwiek w ogóle będziecie".

– Ich decyzja była zupełnie jednomyślna — pozostaniemy tutaj tak długo, jak długo uda nam się przeżyć w tym miejscu.

Howard Lake słuchał jak Nauczyciel Morgan West czyta pamiętnik Waltera Humbolta, napisany w czasie straszliwej zimy trzydzieści pięć lat temu.

„Każdego ranka światło na południu stawało się coraz jaśniejsze. Siódmego dnia rano nareszcie ujrzeliśmy słońce. I podobnie było następnego dnia!

Minie wiele lat, zanim będziemy mogli zaprzestać walki z zamykającym nas lodowcem, ale osiągnęliśmy i przetrwaliśmy szczytowy moment Wielkiej Zimy. Doszliśmy do najgorszego punktu, i jedynym kierunkiem, w którym możemy poruszać się w przyszłości, jest droga ku lepszemu."

– A więc – powiedział West, zamykając książkę, – tylko dzięki uporowi Humbolta, Schroedera i wszystkich pozostałych, dzisiejszego wieczora ciągle jesteśmy tutaj, w jaskiniach. Gdyby oni kierowali się wyłącznie swoim własnym dobrem, gdyby poddali się i zmienili styl życia na koczowniczy, dzisiaj siedzielibyśmy przy rozpalonych w trawie ogniach koczowisk, gdzieś na południu, a nasze życie pozbawione byłoby jakichkolwiek planów czy aspiracji, większych niż przez całe lata podążać w tą i z powrotem, za zwierzyną.

– A teraz, chodźmy na zewnątrz, żeby dokończyć naszą dzisiejszą lekcję.

Nauczyciel West wyprowadził ich pod usiane gwiazdami nocne niebo, tuż przed jaskiniami. Howard Lake wyszedł jako pierwszy, a inne dzieci podążały tuż za nim. West wskazał na punkt na niebie, gdzie daleko na wschodzie, płonęła jak wielki grot ognistej strzały, grupa gwiazd którą nazywali Gwiazdozbiorem Ateny.

– Tam – oznajmił, – gdzie wskazuje czubek grotu strzały, znajduje się miejsce, do którego zmierzaliśmy sto dwadzieścia lat temu, kiedy zatrzymali nas Gernowie, i pozostawili nas na śmierć na Ragnarok. Jest ono tak daleko, że słońca Ateny w ogóle stąd nie widać. Od dzisiaj licząc, potrzeba będzie kolejnych stu piętnastu lat, zanim dotrą tam nasze pierwsze sygnały. Dlaczego więc, z jakiego powodu, wy oraz wszystkie inne grupy dzieci, musicie uczyć się takich rzeczy jak historia, fizyka, język Gern, czy sposób strzelania z blastera Gernów?

Ręce wszystkich dzieci natychmiast wystrzeliły w górę. West wybrał do odpowiedzi ośmioletniego Cliftona Humbolta.

– No, powiedz nam, Clifton.

– Ponieważ – odpowiedział Clifton – w pobliżu nas, w odległości kilku lat świetlnych, może przelatywać jakiś krążownik Gern i przechwycić nasze sygnały. A więc musimy wszystko o nich wiedzieć, oraz w jaki sposób z nimi walczyć, ponieważ ciągle jeszcze nie ma nas bardzo wielu.

– Gernowie przylecą tutaj, żeby nas pozabijać – zawołała mała Marie Chiara, a jej czarne oczy zrobiły się bardzo wielkie i żarliwe. – Przylecą tutaj, żeby nas pozabijać, i żeby z tych

których nie zabiją, zrobić niewolników, tak jak to zrobili z innymi, dawno temu. Oni są strasznie okrutni i strasznie mądrzy, a my musimy być mądrzejsi niż oni.

Howard spojrzał jeszcze raz na gwiazdozbiór Ateny, myśląc sobie: *Mam nadzieję, że przylecą do nas, zaraz jak tylko będę na tyle duży, żeby z nimi walczyć, a najlepiej to nawet jeszcze dzisiaj…*

– Nauczycielu – spytał, – jak by wyglądał krążownik Gern, gdyby przyleciał teraz, wieczorem? Czy nadlatywałby od strony grotu Ateny?

– Prawdopodobnie mógłby – odparł West. – Zobaczylibyście odrzut jego rakiet, jako jasną smugę ognia.

Na niebie nagle pojawiła się jasna smuga ognia, wychodząca a gwiazdozbioru Ateny i opadająca na dół łukiem w ich stronę, rozjaśniająca lasy, wzgórza i ich zaskoczone twarze.

– *To oni*! – zawołało kilka wysokich głosików, a przez grupę przeleciał gorączkowy wicher bieganiny, kiedy Howard i starsze dzieci powpychali te młodsze za siebie.

Wtedy smuga światła znikła, pozostawiając za sobą rozwiewającą się poświatę.

– To tylko meteor – wyjaśnił West. Przyglądał się linii starszych dzieci, stojących tak by chronić te młodsze, z kamieniami w rękach, którymi chciały odeprzeć Gernów, i uśmiechnął się w sposób wskazujący na to, że był z nich bardzo zadowolony.

Howard obserwował jak ślad meteoru szybko się rozpływa i przestaje być widoczny, i czuł jak uderzenia jego serca zwalniają od pierwszego szalonego dreszczu, do smutnego rozczarowania. To tylko meteor…

Ale pewnego dnia, być może będzie przywódcą, i wtedy Gernowie z pewnością przylecą. Jeżeli nie, to będzie musiał znaleźć jakiś sposób, żeby ich do tego skłonić.

Dziesięć lat później, Howard Lake był przywódcą. Było ich wtedy już trzystu pięćdziesięciu, a Wielka Wiosna znajdowała się właśnie na najlepszej drodze, aby stać się Wielkim Latem. Z południowych krańców płaskowyżu zniknęły już śniegi, i dolinami na wschód od jaskiń, ponownie zaczęła migrować zwierzyna.

Było tak wiele ważnych rzeczy do zrobienia, a teraz, kiedy Wielka Zima stała się już przeszłością, mogli mieć szansę na realizację tych planów. Potrzebowali większego pieca do wypalania ceramiki, większego warsztatu z drewnianymi tokarkami, więcej diamentów do produkcji tarcz tnących, więcej kryształów do wytwarzania lornetek i mikroskopów. Mogli ponownie rozpocząć eksplorację w obszarze chemii nieorganicznej, nawet jeżeli jej wyniki w przeszłości, nie przyniosły raczej niczego wartościowego, i oczywiście mogli, za kilka lat, wznowić poszukiwania rud metali na Płaskowyżu — projekt zdecydowanie najważniejszy ze wszystkich.

Ich uzbrojenie wydawało się być tak dobre, jak to tylko było możliwe, ale kiedy przylecą Gernowie, będą potrzebowali czegoś szybszego, oraz jakichś środków komunikacji pomiędzy różnymi zespołami, które będą walczyć z wrogiem. Dowódca, który nie mógłby skomunikować się ze swoimi oddziałami i koordynować ich działań, byłby bezradny. A przecież, wystarczyła odrobina szkolenia, aby na Ragnarok zyskali pewną formę komunikacji, tym lepszą, że Gernowie nie mogli ani jej wykryć, ani zakłócać przy pomocy urządzeń elektronicznych: kpiarze.

Craigi były nadal białe i nie do przejścia, z powodu zalegającego nawet latem śniegu. Ale śnieg każdego roku wycofywał się coraz wyżej. Pięć lat później, latem sto trzydziestego piątego roku, Craigi na kilka tygodni stały się możliwe do pokonania.

Lake poprowadził przez nie ośmioosobową wyprawę, z którą zszedł potem w głąb Otchłani. Wzięli ze sobą dwie małe klatki, zbudowane z drewna i ze szkła, uszczelnione silnym klejem z krzewu meduzowego, tak by nie przepuszczały powietrza. Każda klatka wyposażona była w prostą pompę powietrzną, i miernik ciśnienia.

Przynieśli ze sobą z powrotem dwie pary kpiarzy, jako strasznie zaciekawionych i bardzo ufnych jeńców, razem z zapasem pomarańczowego zboża i dużą liczbą diamentów. Kiedy przenoszono je przez wysokie szczyty Craigów, kpiarze siedziały w swoich utrzymujących stałe ciśnienie klatkach, i nawet nie zdawały sobie sprawy ze wzrostu wysokości.

Dla Lake'a i idących z nim ludzi, powrotna wspinaczka w górę długiego, stromego zbocza górskiego, byłą zbyt męczącym podejściem, żeby zrobić je w ciągu jednego dnia, ale niczym ponad to. Trudno było im uwierzyć, że ta sama wędrówka, podjęta przez Humbolta i Barbera, wymagała niemal trzech dni wspinaczki, oraz że próbę tę Barber przypłacił życiem. To przypomniało Lake'owi o starych kuszach, jakich używali wtedy Humbolt i pozostali. Były słabe, z lekkim naciągiem, w obecnym pokoleniu, takich używały dzieci. Ci starzy musieli być naprawdę odważni, żeby ośmielać się stawić czoła atakom jednorożców mając tak słabe kusze, że na ich strzały wystawiony był jedynie mały obszar za pyskiem jednorożca…

Kiedy dotarli do jaskiń, rozpoczęła się bardzo powolna, stopniowa redukcja ciśnienia w klatkach kpiarzy. Trwała ona przez wiele tygodni. Jedna para kpiarzy przeżyła, i jeszcze tej samej jesieni miała dwójkę młodych. Młode kpiarze, podobnie jak wiele lat temu pierwsza generacja dzieci urodzonych na Ragnarok, były lepiej przystosowane do swojego nowego środowiska, niż ich rodzice.

Wysiano również pomarańczową kukurydzę, korzystając z metody adaptacyjnej, nieco podobnej do tej co w przypadku kpiarzy. Być może nawet dałaby ona dobry skutek, gdyby pomarańczowa kukurydza nie miała takiego długiego okresu dojrzewania. Zanim nadeszła zima, uformowało się zaledwie kilka ziaren.

Ziarna te pozostawili na następny rok, aby kontynuować wolny proces jej adaptacji.

Po pięciu latach, najnowsze pokolenie kpiarzy było już dobrze zaadaptowane do wysokości na której znajdowały się jaskinie, ale z powodu podatności na szybko doprowadzającą do śmierci formę zapalenia płuc, niezbędne było chronienie ich przed wystawianiem się na zimno, albo na jakiekolwiek nagłe zmiany temperatury.

Ich inteligencja była zaskakująco wysoka i zdawało się, że przynajmniej częściowo są w stanie odbierać myśli ludzi, tak jak zanotował to Bill Humbolt. Po piętnastu latach szkolenia, osiągnęły tak wysoki poziom doskonałości, że kpiarz mógł nadawać, albo nie nadawać wszystko co tylko przekazały mu nie wypowiedziane na głos myśli jego pana. W dodatku nauczyły się przesyłać komunikaty, do każdego dowolnie wybranego kpiarza, do którego kierował myśli ich pan. Przypuszczalnie wiadomości odbierały wszystkie kpiarze, ale tylko ten osobnik do którego była ona adresowana, powtarzał ją na głos.

Mieli więc swoją metodę komunikacji. Mieli automatyczne kusze do szybkiej walki na bliskie odległości, a na dalsze dystanse długie łuki. W pełni przystosowali się do grawitacji jeden i pół, a ich refleks niemal dorównywał szybkości szperaczy. Ragnarok już dawno temu podzieliła ich na szybkich i martwych.

Tego roku ich liczba wzrosła do ośmiuset dziewiętnastu, Była wczesna wiosna sto pięćdziesiątego roku, byli już gotowi i niecierpliwie oczekiwali na spotkanie z Gernami.

I wtedy właśnie nadajnik, który znowu funkcjonował przez tyle lat, pewnego dnia odmówił posłuszeństwa.

George Craig właśnie skończył go sprawdzać, gdy wszedł do niego Lake. Kiedy Craig uniósł głowę znad swoich przyrządów, był niesamowicie podobny z wyglądu do starego Georga Orda, podobieństwo to odziedziczył przez matkę. Oznajmił:

– Wszystkie obwody padły, albo zaraz to zrobią. Już od dawna działał znacznie dłużej niż powinien.

– To już nie ma znaczenia – odparł Lake. – Wykonał swoje zadanie. Nie będziemy go naprawiać.

George spojrzał na niego z pytaniem w oczach.

– Wykonał swoje zadanie – ponownie powtórzył Lake. – Nie pozwolił nam, abyśmy zapomnieli, że Gernowie ponownie tutaj przylecą. Teraz jednak, to już nie wystarczy. Pierwszy sygnał i tak dotrze na Atenę dopiero w dwieście trzydziestym piątym roku. Wtedy znowu będziemy mieli środek Wielkiej Zimy. Będą musieli walczyć z Gernami przy użyciu łuków i strzał, które zimno zmieni w kruche zabawki. Nie będą mieli najmniejszej szansy.

– Nie – przyznał George. – Nie będą mieli szansy. Tylko w jaki sposób moglibyśmy to zmienić?

– Jest coś, o czym myślałem – powiedział Lake. – Zbudujemy nadajnik hiperprzestrzenny i ściągniemy do nas Gernów, zanim nadejdzie Wielka Zima.

– Naprawdę? – spytał George, unosząc swoje ciemne brwi. – A czego użyjemy zamiast tych trzystu funtów miedzi i pięciuset funtów żelaza, które są potrzebne do budowy generatora?

– Z pewnością gdzieś na Ragnarok, uda nam się znaleźć pięćset funtów żelaza. Północne krańce płaskowyżu będą na to chyba najlepszym miejscem. A jeśli chodzi o miedź, to co prawda wątpię, aby udało nam się ją znaleźć, ale jednak w Zachodnich Wzgórzach są pewne złoża gliny podobnej do boksytu. Z całą pewnością zawierają one aluminium, a przynajmniej jakieś jego ilości. A więc, możemy zrobić kable z aluminium.

– Zanim tę rudę będzie można przetopić, musielibyśmy ją jakoś oczyścić, tak by otrzymać czysty tlenek aluminium – skrzywił się George. – A w dodatku aluminium nie da się przetopić w zwykłym piecu. Otrzymuje się je elektrolitycznie, w piecu elektrycznym zasilanym prądem o wysokich natężeniach. Musielibyśmy jeszcze znaleźć kriolit, służący w procesie przetapiania jako topnik.

– Zgodnie ze starymi mapami, we Wschodnich Wzgórzach jest złoże kriolitu – odparł Lake. – Przetapiając wszystko co mamy, moglibyśmy zbudować większy generator. Nie będzie miał aż takiej mocy jaka jest potrzebna dla nadajnika nadprzestrzennego, ale powinien mieć wystarczająco dużą do przetopienia rudy aluminium.

George zastanawiał się nad tym pomysłem.

– Myślę, że powinno nam się udać.

– Ile czasu upłynie, zanim będziemy mogli wysłać sygnał? – dopytywał się z niecierpliwością Lake.

– Jeżeli będziemy mieli dodatkowy metal, którego potrzebujemy, to budowa generatora jest już prostą sprawą. Nadajnik, to jednak jest coś, co zajmie nam całe lata. Być może nawet pięćdziesiąt.

Pięćdziesiąt lat…

– Czy można coś zrobić, żeby to wszystko przyśpieszyć? – zapytał Craiga.

– Wiem – uśmiechnął się George. – Chciałbyś, żeby Gernowie to przylecieli, jeszcze za twojego życia. Podobnie zresztą, jak każdy mężczyzna na Ragnarok. Ale budowa nadajnika podprzestrzennego, nawet na Ziemi była zawsze długim, pracochłonnym zadaniem, pomimo, że tam są do dyspozycji wszystkie potrzebne materiały, cała gama specjalistycznych narzędzi i urządzeń. Tutaj, musielibyśmy wszystko zrobić własnymi rękoma, a jako materiały mamy jedynie popsute, połamane, popalone resztki. To zajmie nam mniej więcej pięćdziesiąt lat — i nic się nie da z tym zrobić.

Pięćdziesiąt lat… Ale pozwoli to ściągnąć tutaj Gernów, zanim nadejdzie Wielka Zima. No i jest jeszcze ta gwałtownie rosnąca szansa, że jakiś krążownik Gern, dosłownie każdego dnia, może przechwycić sygnały wysyłane wcześniej. Pokonały już ponad połowę drogi do Ateny.

– Przetop generator – powiedział. – Zacznij budować większy. Jutro ludzie wyruszą na poszukiwania boksytu i kriolitu, a trzech z nas pójdzie ze mną na wierzchołek płaskowyżu, żeby znaleźć rudę żelaza.

Lake wybrał na wyprawę ze sobą Gene'a Taylora, Tony'ego Chiarę i Steve'a Schroedera. Następnego poranka, świt zastał ich już w drodze. Na ramieniu każdego z nich siedziały kpiarze, rozjaśnionymi, zaciekawionymi oczyma obserwujące wszystko co się działo i nową scenerię jaka je otaczała.

Podróżowali bez ciężkich bagaży, ponieważ przez całą drogę mogli zaopatrywać się w świeże mięso, a więc nieśli tylko zioła i kukurydzę dla kpiarzy. Kiedyś, wiele pokoleń temu, ludzie musieli jeść zioła, aby zapobiegać chorobom niedoboru, ale teraz choroby niedoboru, podobnie jak i piekielna gorączka, były dla nich czymś zupełnie nieznanym.

Nie mieli ze sobą kompasów, ponieważ promieniowanie obu słońc nieustannie wywoływało burze magnetyczne, powodujące że igły kompasów potrafiły się odchylić nawet o dwadzieścia stopni w ciągu godziny. Każdy z nich zabrał jednak ze sobą silną lornetkę. Zostały one wydrążone przy pomocy diamentów, z czarnych rogów jednorożców i zaopatrzone w soczewki z ciętego diamentowymi ostrzami kwarcu.

Wraz z postępującą wiosną na wierzchołek płaskowyżu wyruszyły pierwsze stada leśnych kozłów, a za leśnymi kozłami podążyli oni. Nie mogli wyruszyć przed kozłami, ponieważ one zawsze migrowały tuż za topniejącymi śniegami. Mijały całe tygodnie wędrówki i nie było widać nawet śladu żadnego wzgórza, czy wzniesienia, a Lake'owi powoli zaczęło się zdawać, że będą tak już szli zawsze, przez niekończącą się równinę płaskowyżu.

Nadeszło wczesne lato, a oni wędrowali przez zieloną i przyjemnie chłodną krainę, w czasie kiedy cała roślinność dookoła jaskiń spłowiała już na słońcu i obumarła. Liczba leśnych kozłów zrobiła się nieco mniejsza, ponieważ niektóre z nich zatrzymały się na resztę lata na swoich wybranych szerokościach geograficznych.

Oni jednak kontynuowali wędrówkę, i w końcu zobaczyli, daleko na północy coś co wydawało się niemal niewidocznym wybrzuszeniem na horyzoncie. Doszli do niego dwa dni później, do krainy pofałdowanych zielonych wzgórz, poznaczonych gdzieniegdzie postrzępionymi formacjami skalnymi, a w miarę jak szli coraz bardziej na północ, grunt powoli, ale stale wznosił się coraz wyżej.

Tej nocy zatrzymali się na obóz w małej dolince. Jej dno całe bielało od kości leśnych kozłów, które poprzedniej jesieni za długo zwlekały z powrotem na południe, i zostały pochwycone przez wczesne burze śnieżne. Na ich kościach nadal było pełno mięsa i padlinożerne gryzonie przemykały pomiędzy leżącą padliną, ucztując.

– Teraz się rozdzielimy – powiedział następnego ranka do pozostałych.

Wyznaczył każdemu z nich jego miejsce. Steve Schroeder miał pójść równolegle do jego trasy, trzydzieści mil po prawo, Gene Taylor trzydzieści mil po lewo, A Tony Chiara kolejne trzydzieści mil po lewo od Taylora.

– Spróbujmy utrzymać te odległości – mówił. – W ten sposób może nie przeszukamy tej krainy bardzo szczegółowo, ale da nam to jej dobry ogólny przegląd. Od dzisiaj nie zostało nam już zbyt wiele czasu i musimy każdego dnia zrobić tyle mil na północ, ile tylko się da. Leśne kozły pokażą nam, kiedy nadejdzie czas na to byśmy rozpoczęli powrót.

Rozstali się ze zdawkowymi okrzykami pożegnania, poza Stevem Schroederem, który uśmiechnął się sardonicznie pokazując na kości leśnych kozłów w dolinie i zapytał:

– A kto z kolei ma to pokazać leśnym kozłom?

Tip, czarny kpiarz o białym nosku, siedzący na ramieniu Lake'a, nieustannie wykręcał główkę, aby obserwować wymarsz pozostałych, dopóki nie minęli kolejnego wzgórza i tamci nie skryli się przed ich oczyma.

– No dobra, Tip – powiedział mu wtedy. – Możesz teraz odkręcić głowę z powrotem.

– Odkręcić… no dobra… no dobra – odparł Tip. – A następnie z nagłym wybuchem energii, który był bardzo charakterystyczny dla kpiarzy, zaczął podskakiwać w górę i w dół, i miarowo skandować w rytmie swoich ruchów: – No dobra no dobra no dobra no dobra…

– Zamknij się – polecił mu. – Jeżeli chcesz sobie wygadywać te swoje nonsensy, to nic mnie to nie obchodzi… Ale nie mów już więcej „no dobra”.

– No dobra – przyjaźnie zgodził się Tip, przysiadając spokojnie. – Zamknij się jeśli chcesz sobie wygadywać te swoje nonsensy. Nic mnie to nie obchodzi.

– I nie szatkuj w ten sposób interpunkcji. Całkowicie zmieniłeś znaczenie.

– Ale nie mów już więcej no dobra – Tip dalej robił swoje, zupełnie go ignorując. – Całkowicie zmieniasz znaczenie.

Następnie z kolejnym przypływem ożywienia, Tip zaczął szukać czegoś w kieszeni jego kurtki, swoimi małymi, podobnymi do rąk, łapkami.

– Tip głodny… Tip głodny…

Lake odpiął guzik od kieszeni i podał Tipowi liść z ziela.

– Zauważyłem, że kiedy chcesz poprosić o coś do jedzenia, to nie ma przy tym żadnej nonsensownej paplaniny.

Tip wziął liść z ziela, ale zanim zaczął go jeść, powiedział, powoli, jakby próbując poważnie wyrazić jakąś myśl:

– Tip głodny — nie nonsensowne.

– Czasami – stwierdził, obracając głowę, żeby popatrzeć na Tipa, – wy kpiarze sprawiacie na mnie takie specyficzne wrażenie, że jesteście dokładnie na skraju stania się nową rasą inteligentną, i to bez wygłupów.

Tip podkręcił swoje bokobrody i ugryzł kawałek liścia.

– Bez wygłupów – zgodził się z nim.

Zatrzymał się na noc w otoczonym stromymi ścianami zagłębieniu terenu i rozpalił niewielkie ognisko z suchego mchu i trawy, aby chronić się przed zimnem, które nadeszło razem z ciemnością. Wywołał innych, myśląc najpierw o Schroederze, tak by Tip przesyłał transmisję do kpiarza Schroedera.

– Steve?

– Jestem – odpowiedział Tip, możliwą do rozpoznania imitacją głosu Schroedera. – Nie miałem szczęścia.

Z kolei pomyślał o Gene Taylorze, i wywołał go:

– Gene?

Nie było odpowiedzi, i wywołał Chiarę.

– Tony… czy po drodze widziałeś jakąś część dzisiejszej trasy Gene'a?

– Spory kawałek – odpowiedział Chiara. – Gdzieś z tamtej strony widziałem stado jednorożców. A co się stało? Nie odpowiada?

– Nie.

– A więc – stwierdził Chiara, – musiały go dopaść.

– Czy znalazłeś może coś dzisiaj, Tony? – spytał go.

– Nic, tylko czysty andezyt. Jeśli chodzi o żelazo, to nawet śladu.

To była taka sama jałowa formacja, jak ta przez którą również i on wędrował przez cały dzień. Ale przecież nie oczekiwał sukcesów tak szybko…

Spróbował jeszcze raz wywołać Gene'a Taylora:

– Gene… Gene… jesteś tam gdzieś, Gene?

Nie otrzymał odpowiedzi. Wiedział, że nigdy już jej nie dostanie.

Dni z oszałamiającą szybkością zmieniły się w tygodnie, a oni nadal zmierzali coraz dalej na północ. Wzgórza stały się bardziej kamieniste, a tu i tam pojawiały się granitowe usypiska i inne formacje skalne, dające obietnice szansy odnalezienia rud metali. Obietnice które przynaglały ich do pośpiechu, w miarę jak pozostawało im coraz mniej czasu.

Dwukrotnie dostrzegli w oddali coś białego. Raz były to kości kolejnej watahy leśnych kozłów, które stłoczone razem zamarzły na śmierć w jakiejś wczesnej burzy śnieżnej w przeszłości, a za drugim razem były to kości kilkunastu jednorożców.

Noce robiły się coraz chłodniejsze, a słońca coraz szybciej i szybciej przesuwały się na południe. Zwierzęta zaczęły wyruszać, z początku ten ruch był niemal niedostrzegalny, ale nasilał się z każdym dniem, coraz bardziej. Nadszedł pierwszy przymrozek, i migracja zaczęła się na poważnie. Trzeciego dnia był to już pośpieszny odpływ.

Tego dnia Tip był dziwnie cichy. Nie odezwał się nawet słowem, dopóki słońce południa nie rozpędziło zimnych, ciężkich porannych mgieł. Kiedy przemówił, była to wiadomość przesłana przez Chiarę.

– Howard… to ostatni meldunek… Goldie umiera… zapalenie płuc…

Goldie była kpiarzem Chiary, jego jedynym środkiem komunikacji. I nie było żadnego innego sposobu na przekazanie mu informacji, kiedy będą zawracać.

– Zawracaj dzisiaj, Tony – polecił mu. – Steve i ja pójdziemy jeszcze kawałek dalej, przez kilka dni.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, więc szybko dodał:

– Zawracaj… zawracaj! Potwierdź to, Tony!

– Zawracam… – nadeszło potwierdzenie. – …próbował ją uratować…

Wiadomość się urwała i zapanowała cisza, której nie przerywał już kpiarz Chiary. Lake ruszył dalej, ze skurczonym i bardzo cichym Tipem, siedzącym mu na ramieniu. Kiedy pokonali kolejne wzgórze, Tip przesunął się, przyciskając się mocno do niego, tak jak to robiły kpiarze, które czuły się bardzo samotne, a potem złapał go mocno łapkami.

– Co się stało, Tip? – spytał go.

– Goldie umiera – odparł Tip. A po chwili ponownie, jakby miękkim, smutnym szeptem. – Goldie umiera…

– Ona była twoją partnerką… Bardzo mi przykro.

Tip wydał z siebie cichy pojękujący odgłos, a człowiek sięgnął w górę ręką, i poklepał go po jedwabistym boku.

– Bardzo mi przykro – powiedział ponownie. – Jest mi cholernie przykro, mój mały przyjacielu.

Przez dwa dni Tip siedział u niego na ramieniu samotny i milczący. Już nie interesowały go nowe krajobrazy, ani nie przerywał już monotonii wędrówki swoją paplaniną. Nie chciał nic jeść, aż do trzeciego dnia, rano.

Do tego czasu exodus leśnych kozłów i jednorożców kurczył się stopniowo, aż do niemal zupełnego ich zniknięcia. Tego dnia wieczorem, zobaczył, był tego pewien, ostatnie stado leśnych kozłów, i zastrzelił jednego z nich.

Kiedy do niego podszedł, początkowo obawiał się, aby uwierzyć w to co zobaczył. Sierść jego nóg ponad racicami, była czerwona, zabarwiona plamami żelazistej gliny.

Sprawdził to dokładniej i dostrzegł, że najwidoczniej kozioł pił wodę z wodopoju, wypełnionego mułem, stanowiącym materiał wypłukany z jakiejś żyły albo pokładu rudy żelaza. Musiało to być całkiem niedawno, ponieważ do jego sierści przywierały nadal małe grudki gliny.

Zerwał się wiatr, zimny i mokry, stanowiący ostrzeżenie przed zbliżającą się burzą. Spojrzał na północ, gdzie wieczór zmienił szare obłoki w ciemność i wywołał Schroedera.

– Steve… masz może coś?

– Nie – odparł Schroeder.

– Właśnie zabiłem kozła – przekazał mu. – Ma na nogach wyraźne plamy żelaza. Wybrudził się nim przy jakimś wodopoju, kawałek dalej na północy. Pójdę jeszcze w tamtym kierunku, żeby to sprawdzić. Ty możesz wracać jutro rano.

– Nie – sprzeciwił się Schroeder. – Ruszę po skosie w twoją stronę i złapię cię za kilka dni.

– Jutro rano zawrócisz – powtórzył Lake. – Ja mam zamiar iść dalej, aż znajdę tę rudę. Ale jeśli złapie mnie burza śnieżna, to już twoja w tym głowa, żeby dojść do jaskiń i przekazać im, że znalazłem żelazo, oraz powiedzieć im gdzie ono się znajduje… wiesz przecież, że kpiarze nie mogą nadawać na tak długie odległości.

Zapadła chwila ciszy. Potem Schroeder powiedział:

– W porządku, Howard. Rozumiem. Zaraz rano kieruję się na południe.

Następnego dnia Lake wybrał drogę, którą najprawdopodobniej szły z północy leśne kozły. Po drodze wchodził na szczyt każdego z mijanych wzgórz, żeby przypatrzyć się przez lornetkę leżącemu przed nim terenowi. Przez cały dzień było pochmurno, ale tuż przed zachodem słońca, pokazało się ono na krótko, zalewając wzgórza swoimi ostatnimi promieniami i pokrywając je czerwienią, jakby w drwinie z żelaza, którego poszukiwał.

Daleko z przodu, dostrzegł wzgórze, małe nawet w szkłach jego lornetki, i widoczne jedynie z powodu szczęśliwego położenia słońca. U jego podstawy było miejsce, które zdawało się być bardziej czerwone, niż skąpane w świetle zachodu słońca, inne wzgórza.

Był niemal pewien, że to będzie właśnie ta czerwona glina, której szukał, i ruszył pośpiesznie naprzód, nie zatrzymując się aż do chwili, kiedy ciemność uniemożliwiła mu jakikolwiek dalszy marsz.

Tip spał w kieszeni kurtki, zwinięty w kłębek, grzejąc się na jego piersi, podczas przez całą noc, wiał zimny porywisty wiatr. Rano, kiedy rozbłysnął pierwszy promyk światła, Lake był już ponownie w drodze. Niebo było ciemniejsze niż zwykle, a przed nim na wietrze wirowały w szalonym tańcu, pierwsze płatki śniegu.

W pewnej chwili zatrzymał się, i obejrzał na południe, myśląc: *Jeśli teraz zawrócę, może uda mi się stąd wydostać, zanim rozpęta się śnieżyca*.

Potem jednak pojawiła się inna myśl: *Te wszystkie wzgórza wyglądają dokładnie tak samo. Jeżeli nie dojdę do złoża żelaza teraz, kiedy jestem już tak blisko, i wiem gdzie ono jest, mogą minąć całe lata, zanim ja lub ktoś inny ponownie je odnajdzie*.

Wyruszył dalej, nie oglądając się już za siebie, i szedł przez resztę dnia.

Późnym popołudniem, co wyższe z otaczających go wzgórz, były całe skryte w chmurach, a śnieg, którego płatki wiatr ciskał mu prosto w twarz, leciał coraz szybciej i stawał się coraz twardszy. Zaczęło sypać tak intensywnie, że kiedy w końcu doszedł do wzgórza, które dostrzegł przez lornetkę, zrobiło się już na wpół ciemno.

U jego podstawy biło źródło, wyrzucając razem z wodą czerwoną glinę. Powyżej niego, przez jakieś sto stóp, aż do granitowej ławy, rozciągał się czerwony pył. Dalej znikał. Pobiegł w górę po zboczu, które raptownie zaczynało bieleć od padającego śniegu, i zobaczył żyłę.

Zebrała się za granitową ławą, była krótka i wąska, ale aż ciemnoczerwona od nagromadzonego w niej żelaza. Podniósł kawałek rudy i zważył ją w ręku. Była ciężka. Niemal czysty tlenek żelaza.

Wywołał Schroedera i spytał go:

– Czy zszedłeś już z tych wysokich wzgórz, Steve?

– Jestem w niższych – odparł Schroeder. Jego słowa docierały nieco przytłumione, z miejsca, gdzie w wewnętrznej kieszeni kurtki, leżał schowany Tip. – W twoim kierunku wygląda piekielnie czarno.

– Znalazłem żelazo, Steve. Posłuchaj, to są najbliższe punkty orientacyjne w okolicy, jakie mogę ci podać…

Kiedy skończył, dodał jeszcze:

– To wszystko, co mogę zrobić. Z daleka nie da się dostrzec tej czerwonej gliny, chyba że słońce jest nisko położone na południowym zachodzie, ale spróbuję zbudować jakiś kamienny znacznik na szczycie wzgórza, tak by można było go znaleźć.

– A co z tobą, Howard? – spytał Steve. – Jakie są twoje szanse?

Wiatr nasilił się i zaczął wyć wysokim tonem na występach granitowej ławy, a żyły nie było już widać spod śniegu.

– Nie wyglądają jakoś specjalnie dobrze – odparł Lake. – Kiedy wrócisz tutaj kolejnej wiosny, prawdopodobnie to ty będziesz przywódcą. Powiedziałem radzie, że taka jest moja wola, gdyby mi się coś stało. Niech wszystkie sprawy toczą się tak, jakbym prowadził to ja sam. Teraz… muszę się trochę pośpieszyć, żeby na czas zbudować ten znacznik.

– W porządku – powiedział Schroeder. – No to na razie, Howard… powodzenia.

Wspiął się na wierzchołek wzgórza i znalazł kamienie, które mógł wykorzystać do budowy znacznika. Były bardzo duże, mógłby zgnieść Tipa, przyciskając je do piersi, kiedy będzie je podnosił. Zdjął więc kurtkę, zawinął w nią mocno Tipa i zostawił ją leżącą na ziemi.

Pracował aż do ostatniego tchu w piersiach, wiatr uderzał o niego śniegiem coraz mocniej i mocniej, tak że zadawało mu się, że przewiał go aż do samych kości. Pracował jednak dalej, dopóki znacznik nie zrobił się na tyle wysoki, że nie mógł już odrętwiałymi palcami wrzucić na jego szczyt żadnego kamienia. Do tego czasu był już zresztą wystarczająco duży, aby dobrze posłużyć swojemu celowi.

Wrócił, żeby poszukać Tipa, ale na ziemi leżało już cztery cale śniegu, a ciemności były niemal zupełne.

– Tip! – zawołał głośno. – Tip… Tip… – Chodził we wszystkie strony, po całym zboczu, w obszarze w którym wydawało się mu, że go zostawił, potykając się co chwila o zakopane w śniegu i niewidoczne w ciemnościach występy skalne, wołając co chwila i myśląc: *Nie mogę go tu zostawić, żeby umarł samotnie*.

Wtedy z wybrzuszenia, którego nie zauważył w śniegu, niemal pod nogami, dobiegło go przerażone, samotne łkanie:

– Tip zimno… Tip zimno…

Szybko wygrzebał swoją kurtkę ze śniegu i rozwinął Tipa, aby włożyć go natychmiast pod koszulę, na gołą skórę na piersi. Łapki Tipa były zupełnie lodowate, i cały się gwałtownie trząsł, co było pierwszą oznaką zapalenia płuc, które zabijało kpiarze tak szybko.

Tip kaszlał i skręcał się gwałtownie, lekko chrapiąc i zapiszczał:

– Boli… boli…

– Wiem – powiedział do niego. – To płuca cię bolą. Niech to wszyscy diabli, szkoda że nie mogłem cię wysłać do domu, razem ze Stevem.

Nałożył na siebie zimną kurtkę, i ruszył w dół zbocza. Nie było tu nic, z czego by mógł rozpalić ognisko. Tylko krótka, na wpół zielona trawa, całkiem już zagrzebana w śniegu. U stóp wzgórza skierował się na południe, określając kierunek na podstawie wiejącego wiatru, i rozpoczął mozolny, uparty marsz, który nie mógł skończyć się niczym innym, tylko jego śmiercią.

Szedł, do chwili kiedy jego odrętwiałe z zimna nogi, nie były w stanie nieść go już dalej. Gdy upadł po raz ostatni, śnieg zrobił się ciepły, ciepły i miękki, lekko przelatując ponad nim, a umysł otuliła mu przyjemna senność.

Nie jest tak źle, pomyślał sobie, i przez senność poczuł coś w rodzaju zaskoczenia. Nie żałuję niczego, co zrobiłem… zrobiłem to najlepiej jak potrafiłem…

Tip już przestał kaszleć, i myśl o nim, była jedyną, zabarwioną żalem: *Mam tylko nadzieję, że kiedy umierał, przestało go już tak bardzo boleć*.

Ciągle czuł słabiutki ciężar Tipa na piersi, i nie wiedział czy to była tylko jego wyobraźnia, czy w tym ostatnim, podobnym do snu stanie, doleciała do niego myśl Tipa, ciepła, bliska i uspokajająca.

Teraz nie boli, nie zimno… teraz w porządku… teraz śpimy…

Część III

Kiedy nadeszła wiosna, przywódcą był Steve Schroeder, tak jak życzył sobie tego Lake. Swoje obowiązki pełnił w nieco innych okolicznościach, niż wszyscy przywódcy przed nim. Ponura walka o przetrwanie, chwilowo została zakończona. Przystosowali się już do planety i rośli w liczbę. Wkraczali właśnie w Wielkie Lato i w czasy odrodzenia, mające potrwać przez pięćdziesiąt lat. To miało być pół wieku, podczas którego mieli w pełnym zakresie rozwinąć swoje środowisko życiowe. Potem miała nadejść Wielka Jesień, aby zniszczyć wszystko to, co osiągnęli, a jeszcze potem mieli przybyć Gernowie, aby zniszczyć ich samych.

Jego zadanie polegało na zapewnieniu, że do tego czasu będą mocniejsi niż obie te siły razem wzięte.

Zaraz jak tylko pozwoliła na to pogoda, wyruszył na północ z dziewięcioma ludźmi. Trudno było odtworzyć dokładnie trasę wyprawy z poprzedniego lata. Bez kompasów, pośród wzgórz, które wszędzie, dokąd tylko sięgały ich lornetki, wszystkie wyglądały zupełnie tak samo. Tak więc kiedy odszukali wzgórze ze znacznikiem, było już lato. Kilka mil na południe od niego, znaleźli kości Lake'a, porozciągane przez padlinożerców. W tym samym miejscu leżały również malutkie kostki jego kpiarza. Pochowali ich razem, człowieka i kpiarza, i w milczeniu wyruszyli w stronę wzgórza.

Mieli ze sobą małe ręczne diamentowe świdry na korbkę, którymi mogli wywiercić dziury w twardej granitowej skale, oraz czarny proch do jej rozsadzania. Wydobyli całą zawartość żyły, oddzielając rudę od odpadów, starając się odzyskać każdą cząsteczkę żelaza.

Żyła była wąska już na powierzchni, a w miarę wzrostu głębokości kurczyła się bardzo raptownie. Na sześciu stopach miała już szerokość ostrza noża, na dziesięciu była tylko czerwonym odcieniem na dnie szybu.

– To chyba będzie już wszystko – powiedział Schroeder do pozostałych. – Przyślemy tutaj ludzi w przyszłym roku, żeby pokopali głębiej i dalej w kierunku, w którym prowadzi żyła. Ale coś mi się wydaje, że właśnie wydobyliśmy całość z jedynego złoża żelaza na Ragnarok. To co mamy, wystarczy do naszych celów.

Zaszyli rudę w mocnych workach z niewyprawionej skóry, a potem prowadzili dalsze poszukiwania, niestety bez sukcesów, dopóki nie nadeszła pora, kiedy ostatnie stado jednorożców minęło ich, zmierzając na południe. Złapali w pułapkę dziesięć jednorożców, spętali im nogi, dodatkowymi sznurami wiążąc rogi do tylnych nóg, tak by nie mogły wykręcić głowy do tyłu, ani nawet zbyt wysoko jej unieść.

Zdawali sobie sprawę, że schwytanie i spętanie jednorożców, będzie bardzo trudnym i niebezpiecznym zadaniem, i tak rzeczywiście było. Ale kiedy już je ukończyli, jednorożce były zupełnie bezradne. Mogły tylko niezgrabnie się przesuwać, aby się paść, ale nie były w stanie szarżować. Stały tylko z opuszczonymi łbami, hałasując, coraz bardziej wściekłe.

Kolejnego mroźnego poranka, uwiązali na nich worki z rudą, i sami ich dosiedli. Sznury pomiędzy rogami i nogami zostały poluźnione, tak by jednorożce mogły podróżować. Zwierzęta wpadły w istny szał, rzucając się i podskakując, piszcząc przeraźliwie z wściekłości, próbując dosięgnąć swoich jeźdźców rogami.

Jednak krótkie włócznie, kłujące jednorożce w czułe miejsca za pyskami, uniemożliwiły im rzucanie łbem do tyłu, i z wolna zwierzęta zostały zmuszone do uległości. W końcu

ostatnie z nich chwilowo uznało swoją porażkę, i długa podróż na południe nareszcie się rozpoczęła. Jednorożce biegły tempem, które potrafiły utrzymywać godzina za godziną.

Codziennie poganiali jednorożce aż do chwili, kiedy były one zbyt zmęczone by walczyć podczas nocy. Jednak każdego dnia rano zwierzęta, wypoczęte, ponownie podejmowały walkę. Z wolna, poranne zmagania stały się spodziewaną i rutynową czynnością, zarówno dla jednorożców jak i ludzi.

Kiedy zebrana ruda została rozładowana u podnóża wzgórza, przed jaskiniami, jednorożce zostały wypuszczone. Schroeder udał się do nowego koła wodnego, gdzie zamontowany został już nowy generator. Tam spotkał George'a Craiga, który powiedział mu o nowym problemie, jaki pojawił się przed nimi.

– Jesteśmy w kropce – oznajmił George. – Ruda aluminium nie jest taka jaka myśleliśmy. Jest jej bardzo mało i jest uboga. Zawiera bardzo niski procent metalu, a w dodatku ma tak złożoną strukturę, że przy pomocy dostępnych na Ragnarok narzędzi, nie możemy jej oczyścić i otrzymać tlenku.

– Czy w ogóle udało ci się wytworzyć tlenek aluminium? – spytał go Schroeder.

– Troszeczkę. Jeżeli dostatecznie mocno się uprzemy, to aby starczyło nam na kable, będziemy potrzebowali ze sto lat.

– Czego jeszcze będziesz potrzebował… czy mamy wystarczającą ilość kriolitu?

– Nie mamy go za dużo, ale wystarczy. Zaczęliśmy już montować generator, skonstruowaliśmy komorę topiącą, gotowa jest węglowa otulina i pręty. Mamy więc wszystko co potrzeba do wytopu rudy aluminium… poza samą rudą aluminium.

– Kontynuuj prace i wykończ szczegóły, takie jak instalacja otuliny – powiedział Schroeder. – Nie po to zaszliśmy tak daleko, żeby teraz coś nas zatrzymało.

Jednak wyprawy poszukiwawcze wysłane późną jesienią, aby w pełni wykorzystać czas, zanim uniemożliwi je zima, powróciły z informacjami, że nie udało się znaleźć nawet śladu potrzebnej im rudy.

Nadeszła wiosna, a oni byli zdeterminowani by wytopić aluminium jeszcze przed zakończeniem lata, chociaż nie mieli żadnego pomysłu, gdzie można było znaleźć niezbędną rudę. Potrzebowali rudy aluminium dostatecznie bogatej, aby można uzyskać z niej czysty tlenek aluminium. Dokładniej mówiąc, potrzebowali tlenku aluminium…

Wtedy Schroeder znalazł rozwiązanie ich problemu, tak oczywiste, że wcześniej nikt z nich nie był w stanie go dostrzec.

Tego dnia przechodził koło czterech chłopców, grających przed jaskiniami w jakąś grę na szachownicy, w której każde z dzieci reprezentowane było przez odmiennie ubarwione kawałki skały. Jeden z chłopców używał czerwonych kamieni, jakichś rubinów, przyniesionych jako ciekawostka z Otchłani. Rubiny na Ragnarok nie miały żadnej wartości, ani do niczego ich nie wykorzystywano. Były tylko ładnymi kamykami, którymi mogły grać dzieci…

Tylko ładnymi kamykami?… *Rubiny i szafiry były kawałkami korundu, były czystym tlenkiem aluminium*!

Szybko poszedł do George'a, oraz aby zorganizować grupę ludzi, którzy wyruszą do otchłani, w celu zebrania wszystkich rubinów i szafirów, jakie tylko uda im się znaleźć. Ostatnia przeszkoda została pokonana.

Letnie słońce przypiekało już mocno w dniu, kiedy generator szumiąc rozpoczął swoje działanie. Wyłożona węglem komora topiąca była już przygotowana i pomiędzy ciężkimi prętami węglowymi, zanurzonymi w kriolicie, a otuliną zaczął płynąć prąd, przekształcając kriolit w płyn. Do komory zostały wsypane zmielone rubiny i szafiry, świecąc i lśniąc refleksami światła w kolorze krwistej czerwieni oraz błękitu nieba. Prąd pozbawiał ich dotychczasowego życia i ognia, zmieniając je w coś całkowicie odmiennego.

Kiedy nadszedł czas na wydostanie pierwszej partii metalu, zrobili niewielki otwór w dolnym narożniku komory. Stopione aluminium wypłynęło przez niego małym strumykiem do formy w kształcie sztaby, dużo piękniejsze niż jakiekolwiek klejnoty, jaśniejąc obietnicą tego, że trwające przez ponad sześć pokoleń uwięzienie wkrótce się zakończy.

Wytop aluminium był kontynuowany, dopóki w otchłani nie wyczerpały się ostatnie rubiny i szafiry, poza niewielkimi i rzadko porozrzucanymi odłamkami. Wystarczyło to jednak na okablowanie, nawet z pewnym niewielkim zapasem.

Aluminium wytopili w sto pięćdziesiątym drugim roku. W czasie kolejnych ośmiu lat, osiągnęli środek Wielkiego Lata. Słońca rozpoczęły swoją długą drogę na południe, by powrócić na bieżącą pozycję dopiero za sto pięćdziesiąt lat. Czas uciekał im niesamowicie szybko i nie mieli nawet chwili do stracenia…

Wyrób ceramiki doprowadzony został do poziomu sztuki, podobnie stało się z produkcją różnego rodzaju szkła. Zbudowane zostały krosna do tkania ubrań i przędzalnie nici z wełny leśnych kozłów, odkryte zostały rozmaite barwniki roślinne. Grupy odkrywców przemierzyły kontynent aż po wschodnie i zachodnie morza: mocno zasolone i pozbawione życia akweny, które otoczone były przez niezmierzone pustynie. Wzdłuż ich wybrzeży nie rosły żadne drzewa, nie można więc było zbudować statków dla ich pokonania.

Kontynuowano także wysiłki na polu chemii nieorganicznej, niestety ze zniechęcającymi skutkami. Jednak w sto pięćdziesiątym dziewiątym roku, szczęśliwie udało się zaadaptować do wysokości i klimatu jaskiń, pomarańczowe zboże.

Tego roku wystarczyło go, aby wykarmić kpiarze przez całą zimę, zapewnić ziarno do siewu na przyszły rok, a ponadto pozostało dostatecznie dużo, aby je zemleć i upiec dla wszystkich chleb, na spróbowanie.

Chleb smakował dziwnie, ale był dobry. To jest, jak pomyślał sobie Schroeder, symboliczny wielki krok naprzód. Po raz pierwszy, po tylu pokoleniach, ktoś z nich poznał smak innego pożywienia niż mięso. Zboże mogło spowodować, że staną się mniej zależni od polowania, a ponadto, co miało podstawowe znaczenie, był to ten rodzaj pożywienia, do którego musieli się przyzwyczaić w przyszłości. Nie mogli przecież zabrać ze sobą, na pokład krążownika wojennego Gern, stad kozłów leśnych i jednorożców.

Brak metali blokował ich możliwości budowy nawet najprostszych maszyn lub uzbrojenia, niezależnie w którą stronę obróciliby swoje wysiłki. Jednak, pomimo wątpliwych perspektyw sukcesu, stworzyli broń podobną do karabinu.

Miała ona grubą lufę, z najmocniejszego, najtwardszego materiału ceramicznego, jaki byli w stanie wyprodukować. Była to niezgrabna, ciężka rzecz, wykorzystująca do strzału zamek skałkowy, i nie można było załadować jej zbyt dużym ładunkiem prochowym, aby nie rozsadzić lufy.

Zapłon przy użyciu skałki nie był natychmiastowy, lekka porcelanowa kula miała dużo mniejszą siłę przebicia niż strzała, a cała rzecz huczała potężnie i wyrzucała z siebie gęstą chmurę dymu, która od razu dokładnie wskazałaby Gernom, w którym miejscu znajdował się strzelec.

Stanowiła ona tylko interesującą ciekawostkę, bo chociaż strzelanie z niej było bardzo spektakularnym widowiskiem, to generalnie jako broń byłaby znacznie bardziej niebezpieczna dla człowieka który z niej korzystał, niż dla Gerna w którego zostałaby wycelowana. Automatyczne kusze były dużo lepsze.

Złapali w pułapkę kilka leśnych kozłów, które przechowano przez lato w schronieniach, w których rozpylona woda utrzymywała temperaturę na poziomie, pozwalającym im na przetrwanie. Kiedy nadeszła jesień, pozostawiono jedynie młode, tak by przechować je przez zimę w jednej z jaskiń. Każda z kolejnych generacji była bardziej niż poprzednie

przystosowana do większego ciepła latem i większego chłodu zimą, i w sto sześćdziesiątym roku leśne kozły posunęły się już całkiem daleko na drodze do swojej pełnej adaptacji.

W kolejnym roku schwytano dwa jednorożce, aby rozpocząć prace nad przystosowywaniem i oswajaniem ich kolejnych pokoleń. Gdyby zakończyły się one sukcesem, udałoby się im do maksimum wykorzystać zasoby oferowane przez Ragnarok — poza stworzeniami, które mogłyby zostać ich najcenniejszymi sprzymierzeńcami w walce z Gernami: szperaczami.

Przez ostatnie dwadzieścia lat, szperacze przestrzegały rozejmu, zgodnie z którym nie polowały na ludzi, jeżeli ludzie trzymali się z dala od ich tras przemieszczania się. Ale był to tylko rozejm, i nie było żadnych oznak, aby kiedykolwiek miał on rozwinąć się w przyjaźń.

W przeszłości trzykrotnie udawało się schwytać na wpół wyrośnięte szperacze, i zamknąć je w klatkach w jaskiniach, w nadziei oswojenia. Za każdym razem biegały one po swoich klatkach, spoglądając z tęsknotą w dal, nie przyjmując jedzenia i opierając się aż do śmierci.

Dla szperaczy, podobnie jak i dla niektórych z ludzi, wolność była cenniejsza od życia. I za każdym razem, gdy schwytany został jakiś szperacz, jego wolni rodacy odpowiadali wznowieniem gwałtownych ataków.

Wydawało się, że nie ma żadnego sposobu na to, by ludzie i szperacze mogli kiedykolwiek spotkać się na wspólnym gruncie. Jedni drugim byli zupełnie obcy, rozdzieleni przez morze pochodzenia z dwóch światów, odległych od siebie o dwieście pięćdziesiąt lat świetlnych. Jedynym wspólnym dziedzictwem obydwu stron, była ochota do walki.

Ale wiosną, sto sześćdziesiątego pierwszego roku, pewnego dnia, na małą chwilę, brzegi tego morza połączyły się mostem.

Schroeder wracał właśnie z wyprawy, którą samotnie podjął na wschód, idąc długim kanionem, prowadzącym z górnego krańca płaskowyżu, do krainy rozciągającej się w pobliżu jaskiń. Śpieszył się, spoglądając z niepokojem do tyłu, na czarno ubarwione chmury, zbierające się w szybkim tempie wokół znajdującej się za nim góry. Z ich środka dobiegał huk grzmotów, niemal ciągły łoskot, narastający w miarę jak chmury wylewały z siebie istny potop wody.

Nadciągało oberwanie chmury, a strome ściany kanionu, między którymi pośpiesznie maszerował, nagle zmieniły się w śmiertelną pułapkę. Ich rozświetlony słońcem spokój, wkrótce miał przekształcić się w ryczącą rzekę zniszczenia. Na przestrzeni o długości dziewięciu mil, w kanionie było tylko jedno miejsce, w którym mógłby wspiąć się na górę, a czasu w jakim mógłby do niego dojść, było już bardzo mało.

Zwiększył tempo do kłusa i wkrótce dotarł na miejsce. Było to rumowisko potrzaskanej skały, wznoszące się stromo na trzydzieści stóp w górę, aż do półki. Ponad półką wznosił się jedenastostopowy występ skalny, a którego wyżej sterczały kolejne, mniejsze występy, jak stopnie gigantycznych schodów.

U stóp rumowiska zatrzymał się na chwilę, nasłuchując i zastanawiając się jak blisko za nim może być już woda. Usłyszał odgłos nadciągającej fali, dźwięk podobny do ryku silnego wiatru, zbliżającego się wzdłuż kanionu, i szybko wspiął się na rumowisko. Półka była zbyt nisko nad dnem kanionu, zginąłby na niej niechybnie, przeszedł więc pięćdziesiąt kroków, zaglądając za jej ostry zakręt. Tam półka raptownie się zwężała, znikając w stromej ścianie kanionu. Ślepa uliczka…

Pobiegł z powrotem, na szczyt rumowiska, gdzie wysoko w górze rozciągała się najeżona wystającymi skałami krawędź występu. Znajdowała się ona daleko poza jego zasięgiem. Kiedy to robił, ryk nagle zmienił się w trzaskający, huczący grzmot, i zobaczył zbliżającą się falę.

Spiętrzona woda wypadła spoza zakrętu, z szybkością może stu mil na godzinę, rozciągając się pomiędzy ścianami kanionu, zwieńczona spienionym, kotłującym się grzebieniem fali, wznoszącym się ponad podłoże, na wysokość dobrych czterdziestu stóp.

Przed jej czołem biegł szperacz, ścigając się o życie, i przegrywając.

Nie było czasu, by się mu przyglądać. Schroeder wyskoczył w górę, tak wysoko jak tylko mógł, wyciągając nad głowę trzymaną w ręku kuszę. Zaczepił końcem łuku o jedną z ostrych sterczących skał na brzegu występu i zaczął podciągać się do góry. Robił to bardzo delikatnie i wolno, obawiając się, że ostra skała przetnie cięciwę kuszy na kawałki, i spadnie z powrotem na dół.

Cięciwa wytrzymała, i po kilku chwilach stał już bezpieczny na występie, podczas gdy szperacz pomknął w górę rumowiska.

Rzucił się w bok, kończącą się ślepo półką, i chwilę później był już z powrotem. Zorientował się, że jedyną szansą jest skok w górę, na występ na którym stał Schroeder, i spróbował go wykonać, ograniczany przez strome, luźne rumowisko, z którego musiał skakać.

Nie udało mu się i spadł na dół. Spróbował ponownie, rzucając się w górę ze wszystkich sił, a jego pazury na chwilę chwyciły szorstką skałę, jakąś stopę pod brzegiem występu. Zaczął ześlizgiwać się z powrotem, nie mając już czasu na trzecią próbę.

Spoglądał w górę, na bezpieczną krawędź, której nie do końca udało mu się dosięgnąć, a potem ponad nią, na Schroedera, z jasnymi i zimnymi oczyma, w których widoczna była wiedza, że wkrótce zginie, a jego wróg będzie się temu przyglądał.

Schroeder upadł płasko na brzuch, wyciągając w dół rękę poza potężny czarny łeb, by chwycić szperacza za tył szyi. Szarpnął go z całych sił do góry, a szpony wspinającego się zwierzęcia niemal rozszarpały skałę.

Kiedy szperacz przedostał się przez krawędź występu, i był już bezpieczny, Schroeder odtoczył się od niego i zerwał się na nogi, jednym szybkim, czujnym ruchem, z oczyma utkwionymi w zwierzę i z nożem w ręku. Kiedy to robił, pod nimi z ogłuszającym grzmotem, przeszła fala wody. Tuż obok nich strzelały kłody i pnie drzew, waliły zderzające się głazy, a w głębi brązowych otmętów widać było przepływające cienie. Bezkształtne cienie stworzeń, które kiedyś były leśnymi kozłami, poobijana i skotłowana masa ciała jednorożca. Dostrzegł to wszystko kątem oka, kierując całą swoją uwagę na szperacza.

Ten zaś odsunął się od krawędzi występu i spoglądał na niego. Czujnym, uważnym spojrzeniem. Z uwagą, która miała charakter podobny do wątpliwości, a nawet niemalże niedowierzania.

Występ na którym stali był wąski, ale prowadził na zewnątrz kanionu, na rozciągający się poza nim otwarty teren. Schroeder skinął na szperacza by ruszył przed nim, i tamten, po chwili wahania, tak zrobił.

Wydostali się z kanionu na trawiasty stok na zboczu góry. W miejscu gdzie się zatrzymał, ryk wody stał się już tylko dobiegającym z oddali hukiem. Szperacz również stanął, i znowu obserwowali siebie nawzajem, a każde z nich próbowało zrozumieć jaki mógł być tok myślenia tego drugiego. To było coś, czego nie mogli wiedzieć — byli jeden dla drugiego za bardzo obcy, i za długo byli wrogami.

Wtedy pomiędzy nimi przemknął powiew wiatru, przyginając i marszcząc wysoką trawę, a szperacz odwrócił się i zniknął, zostawiając go samego.

Ruszył taką drogą, by stopniowo rozchodziła się ze szlakiem obranym przez szperacza. Przeszedł przez zagon drzew i po jego drugiej stronie wyszedł na otwartą polanę. W górze, na zboczu, dostrzegł przez chwilę coś czarnego, znajdującego się już w pewnej odległości od niego.

Był już trzydzieści stóp od następnej kępy drzew, kiedy zauważył szary cień, czekający w milczeniu aż znajdzie się pomiędzy nimi.

Jednorożec!

Kusza Schroedera zagrzechotała, kiedy szarpnął za uchwyt pistoletu. Jednorożec już szarżował, a poszycie przez które ciężko się przedzierał, głośno trzeszczało. W nisko opuszczony róg zwierzęcia chłostały bicze pnączy i winorośli.

Pierwsza strzała trafiła prosto w pierś. Jednorożec zatoczył się, śmiertelnie ranny, ale ciągle parł do przodu, a Schroeder szarpnął do tyłu uchwyt pistoletu, aby oddać szybki strzał, który go ostatecznie zatrzyma.

Przetarta na skale cięciwa kuszy pękła z głośnym świstem i końce łuku poleciały z trzaskiem do przodu, niezdolne do wyrzucenia bełtu.

Liczył na udany strzał, i jego niepowodzenie nastąpiło ułamek sekundy za późno, aby odskoczyć na dostatecznie dużą odległość. Jego odskok w bok był za krótki i za wolny, tak więc kiedy leciał w powietrzu pochwycił go róg jednorożca, przejeżdżając końcem po żebrach i łamiąc je, a następnie zawadzając mocno o lewe ramię łamiąc je i rozdzierając mięśnie. Odrzuciło go na odległość piętnastu stóp i uderzył z łoskotem o ziemię. Uderzenie oszołomiło go i zalało falą oślepiającego bólu.

Przez zasłonę bólu, niewyraźnie dostrzegł jak jednorożec pada na ziemię i usłyszał eksplozję przedśmiertnego trąbienia, wzywającego inne jednorożce. Gdzieś z oddali dobiegł go wysłany w odpowiedzi odzew, a potem daleki tętent kopyt.

Odepchnął od siebie zasłonę mgły i korzystając ze zdrowej ręki podniósł się na nogi. Jego kusza była bezużyteczna, włócznia leżała połamana pod jednorożcem, a nóż gdzieś przepadł. Lewa ręka zwisała bezwładnie, a przy pomocy tylko jednej ręki nie mógł wspiąć się na pozbawione nisko położonych gałęzi drzewa włóczniowe.

Kulejąc ruszył przed siebie, próbując w pośpiechu odnaleźć swój nóż, a w tym czasie tętent kopyt zbliżał się do niego coraz bardziej. Bitwa, którą mógł stoczyć przy pomocy swojego krótkiego noża, była z góry przegrana, ale przynajmniej na odchodnym utoczy nieco krwi…

Trawa dookoła była jednak wysoka, dobrze skrywała leżący w niej nóż, i w pewnej chwili usłyszał przedzierającego się między drzewami jednorożca. Zobaczył nóż leżący dziesięć stóp przed sobą, dokładnie wtedy kiedy jednorożec przedarł się przez ostatnie drzewa na krawędzi lasu, jakieś trzydzieści stóp od niego.

Zapiszczał ostro z tryumfem i róg już wyruszył, aby go przebić. Nie było czasu na chwycenie noża, nie było czasu już na nic, poza ostatnim przelotnym spojrzeniem na blask słońca zalewającego polanę i kopułę błękitnego nieba w górze…

Coś wystrzeliło spoza jego pleców i przemknęło obok niego, rzucając się jednorożcowi do gardła, czarna warcząca czysta dzikość, z płonącymi żółtymi oczyma i tnącymi bez opamiętania białymi kłami — szperacz!

Rozerwał jednorożcowi gardło, gwałtownie zmieniając kierunek jego szarży i jednorożec przeleciał obok niego. Natychmiast zawrócił w miejscu i z jego pisku zniknęły tony tryumfu. Szperacz uderzył ponownie. Stali się wirującą rozmazaną plamą, róg jednorożca zwijał się w kolejnych pchnięciach, atakując szperacza jak nieustępliwy dźgający rapier.

Podbiegł do swojego noża, ale kiedy odwrócił się, trzymając go w ręku, walka już była skończona.

Jednorożec leżał, a szperacz odwrócił się od niego. Jego przednia łapa była cała skąpana we krwi, a pierś poruszała się w tak szybkim oddechu, że nie mogło to być spowodowane wyłącznie walką z jednorożcem.

Musiał mnie obserwować, pomyślał z osobliwym uczuciem zdziwienia. *Obserwował mnie z grzbietu wzgórza i przybiegł tutaj całą drogę*.

Spojrzenie żółtych oczu przeskoczyło na nóż w jego ręce. Rzucił nóż w trawę i podszedł nieuzbrojony, chcąc aby szperacz wiedział, że zrozumiał. Że w tej chwili, dla nich to morze dwustu pięćdziesięciu lat świetlnych przestało istnieć.

Zatrzymał się koło niego, przyklęknął na trawie, i zaczął związywać złamaną rękę, tak by odłamki kości nie ocierały się o siebie. Szperacz przyglądał się mu, a potem zaczął lizać swoją zakrwawioną łapę. Stał tak blisko niego, że mógłby wyciągnąć rękę i go dotknąć.

Znów naszło go uczucie zdziwienia. Byli razem sami na polanie, on i szperacz, i każde z nich opatrywało swoje rany. Na tę krótką chwilę powstała między nimi więź, która uczyniła z nich coś w rodzaju braci. Nad morzem, którego wcześniej nie można było pokonać, pojawił się most…

Kiedy skończył ze swoją ręką, a szperacz zatamował częściowo krwawienie z łapy, zrobił krok w stronę wzgórza. Schroeder wstał, zdając sobie sprawę, że tamten ma zamiar odejść.

– Wydaje mi się, że teraz rachunki zostały wyrównane – powiedział do niego, – i nigdy się już chyba nie zobaczymy. A więc, dobrych łowów… i dzięki.

Z gardła szperacza w odpowiedzi dobył się dźwięk. Dziwny dźwięk, ni to szczeknięcie ni warknięcie, i poczuł, że tamten próbuje mu on coś powiedzieć. Potem odwrócił się, zniknął w trawie jak czarny cień i ponownie został sam.

Podniósł nóż i kuszę i rozpoczął długą, bolesną podróż z powrotem do jaskiń, oglądając się nieustannie za siebie na grzbiet wzgórza i myśląc sobie: *One mają swój własny kodeks etyczny. Walczą o to by przetrwać — ale spłacają swoje długi*.

Ragnarok była wystarczająco duża dla ludzi i dla szperaczy. Mogli żyć razem w przyjaźni, tak jak na Ziemi żyli razem ludzie i psy. Zdobycie zaufania szperaczy być może zajęłoby dużo czasu, ale z pewnością można by tego dokonać.

Dotarł do skalistego szlaku wiodącego do jaskiń, i tam po raz ostatni spojrzał na znajdujące się za nim wzgórze. Opanowało go przejmujące uczucie straty, i zastanawiał się czy kiedykolwiek jeszcze znowu ujrzy tego szperacza i poczuje to dziwne uczucie wspólnoty z dziką istotą, które poznał dzisiaj.

Być może nigdy to już nie nastąpi… ale nadejdzie jeszcze czas, kiedy na Ragnarok dzieci będą bawić się w trawie ze szczeniakami szperaczy, czas kiedy ludzie i szperacze, stojąc razem u swego boku, stawią czoła Gernom.

W ciągu następnego roku miały miejsce dwa incydenty, kiedy szperacz miał okazję zabić łowcę na terytorium szperaczy, ale tego nie zrobił. Nie było możliwości sprawdzenia, czy w obydwu przypadkach był to ten sam szperacz, którego uratował przed oberwaniem chmury, czy też szperacze, jako cała grupa, odniosły się z szacunkiem do tego co któryś z ludzi zrobił dla jednego z nich.

Schroeder znowu pomyślał o próbie złapania szczeniaków szperaczy — bardzo młodych egzemplarzy — ale zdecydował, że byłby to plan krańcowo głupi. Taki czyn zniszczyłby wszystko, co dotychczas udało się zrobić w celu pozyskania zaufania szperaczy. Lepiej będzie poczekać, i znaleźć jakiś inny sposób, nawet jeśli czasu zaczynało być coraz mniej.

Nadeszła jesień sto sześćdziesiątego trzeciego roku i słońca w zauważalny sposób przesunęły się na południe. Tej właśnie jesieni urodziło się jego trzecie dziecko, dziewczynka. Otrzymała imię Julia, po Julii sprzed wielu lat, i należała do ostatniego pokolenia, które miało urodzić się w jaskiniach.

Realizowane już były plany budowy miasteczka, w dolinie, o jakąś milę od jaskiń. Z kamiennych bloków budowana właśnie była odporna na ataki jednorożców ściana. Domy miały być murowane z kamieni pociętych diamentowymi piłami. Ich ściany będą grube, podwójne, z pustą przestrzenią pomiędzy nimi, tak by stanowiły dobrą izolację przeciwko gorącu i zimnu. Nad wszystkimi domami miano skonstruować, dające dodatkowy cień zadaszenia, z tyczek z drzewa włóczniowego, pokrytych podobnymi do palmowych, liśćmi krzewów meduzowych.

Tego roku leśne kozły w pełni zaadaptowały się do warunków atmosferycznych, i zostały udomowione w takim stopniu, że w ogóle nie chciały migrować razem z dzikimi kozłami. Zebrało się już ich małe stadko, dostatecznie duże do tego, by dostarczać im pewnych ograniczonych ilości mleka, sera i wełny.

W kolejnych latach osiągnięto również adaptację jednorożców, ale nie udało się ich udomowić. Zadziorność i zdradzieckie zachowanie, stanowiły ich naturę, i jedynie groźba włóczni w rękach woźniców zmuszała je do pracy. Pracy, która byłaby dla nich lekka, gdyby nie wkładane przez nie każdego dnia ogromne wysiłki, w próby zwrócenia się przeciwko swoim panom i zabicia ich. Każdej nocy były one zamykane w zagrodzie o masywnych ścianach, ponieważ były niemal tak samo niebezpieczne, jak jednorożce dzikie.

Kiedy tak każdego roku słońca przesuwały się coraz bardziej na południe, kontynuowana była powolna, żmudna praca nad konstrukcją nadajnika. W sto siedemdziesiątym dziewiątym roku miała miejsce przeprowadzka z jaskiń do nowego miasteczka, w roku, w którym umarła żona Schroedera.

Jego dwóch synów było już dorosłych i pożeniło się, a Julia, która miała szesnaście lat, według standardów Ragnarok stała się już kobietą. Miała niebieskie oczy i czarne włosy, podobnie jak jej matka, pochodząca z Craigów, i była uderzająco piękna, dziką, bujną urodą. Tej wiosny wyszła za Willa Humbolta, pozostawiając swego ojca samego w nowym domu, w nowym mieście.

Cztery miesiące później przyszła do niego, by zawiadomić go z dumą i podekscytowaniem:

– Już za sześć miesięcy będę miała dziecko! Jeżeli to będzie chłopiec, to akurat będzie w odpowiednim wieku, aby być przywódcą, kiedy nadejdą Gernowie. Mamy zamiar dać mu na imię John, po Johnie, który był pierwszym przywódcą, jakiego mieliśmy na Ragnarok.

Jej słowa nasunęły mu w głowie pewne wątpliwości, i pomyślał o tym, co zanotował stary Dale Craig, przywódca który poprzedzał na tym stanowisku Lake'a:

Przetrwaliśmy przez wiele nowych pokoleń, o których Gernowie myśleli, że nigdy się nie narodzą. Nie wolno nam jednak nigdy zapomnieć o sposobie, który zapewnił to przetrwanie: o niezachwianej lojalności każdego z nas w stosunku do pozostałych, i o odwadze aby podjąć walkę i umrzeć, jeśli będzie to konieczne.

Kiedyś, za parę lat, przybędą tutaj Gernowie. Nikt nam wtedy nie pomoże. Ci, którzy żyją na Atenie, są niewolnikami, a prawdopodobne jest również że do tej pory także i Ziemia została zniewolona. Musimy walczyć lub zginąć samotnie. Ale gdybyśmy my, ludzie dnia dzisiejszego, mogli być pewni, że ci którzy staną przeciwko Gernom, nadal będą mieli w sobie tę odwagę i lojalność, która uczyniła możliwym nasze przetrwanie, to również moglibyśmy być pewni, że Gernowie już zostali pobici…

Już niedługo, miała nadejść era niebezpieczeństw i przemocy. Młodsza generacja dorastała w czasie pokojowej budowy i rozwoju otaczającego ich środowiska. Ten właśnie pokój miało zburzyć nadejście Gernów — ale czy nie rozmiękczył on czasami odwagi i lojalności młodego pokolenia?

Tydzień później otrzymał odpowiedź na swoje wątpliwości.

Tego ranka wspinał się na wzgórze, wysoko położone nad leżącym u podnóża miasteczkiem, kiedy w oddali dostrzegł wełnianą bluzę Julii. Siedziała sobie w górze, na zboczu, trzymając na łonie otworzoną książkę, a obok niej leżała jej krótka włócznia.

Na ten widok, zmarszczył lekko brwi. Główna fala migracji jednorożców na południe już przeszła, ale nadal często spotykało się jeszcze samotnych maruderów, którzy mogli pojawić się tu w każdej chwili. Ostrzegał ją już nieraz, że pewnego dnia jakiś jednorożec ją zabije, ale ona miała zbyt beztroską naturę i za mocno targały nią niespokojne nastroje, aby mogła wytrzymać w bezpiecznym schronieniu miasteczka.

Kiedy tak ją obserwował, nagle poderwała do góry głowę, jakby w odpowiedzi na jakiś cichy dźwięk, i zobaczył lekki ruch w rosnących tuż za nią drzewach — jednorożec.

Zwierzę ruszyło gwałtownie naprzód, wynurzając się ze swojej kryjówki, dokładnie w chwili, kiedy go usłyszała, a ona zerwała się na nogi jednym szybkim, płynnym, ruchem, trzymając w ręku włócznię i odrzucając książkę na ziemię.

Zabrzmiał głośny pisk jednorożca, i odwróciła się, żeby stawić mu czoła, mając jeszcze dwie sekundy życia przed sobą. Złapał swoją kuszę, zdając sobie sprawę, że już za późno na pomoc.

Zrobiła jedyną rzecz, która mogła dać jej jakieś szanse przeżycia; przesunęła ciężar swojego ciała, tak by wykorzystać fakt, że człowiek mógł odskoczyć na bok nieco szybciej, niż czworonożne potężne zwierzę, szarżujące na niego pełnym galopem. Robiąc to jednocześnie uniosła włócznię, by ugodzić jednorożca we wrażliwe miejsce tuż za kością szczęki.

Wydawało się, że ostry jak igła czubek czarnego rogu, jest już nie dalej niż na odległość ręki od jej brzucha, kiedy odskoczyła na bok, z kocią zręcznością szperacza, wykręcając się podczas skoku i pchnęła z całej siły włócznią w odsłonięty kark jednorożca.

Uderzenie było dobre i włócznia wbiła się głęboko. Puściła ją i rzuciła się do tyłu, aby uchylić się przed przelatującymi kopytami. Gwałtowność szarży jednorożca rzuciła go poza nią, i już nie zdołał zawrócić. Nogi pod nim się załamały i jego ciało upadło z hukiem na ziemię, ślizgając się po niej kawałek, zanim się zatrzymało. Kopnął tylko raz nogami i legł nieruchomo.

Ruszyła w stronę zwierzęcia, żeby odzyskać swoją włócznię i kiedy podchodziła do leżącej potężnej ofiary, nawet z oddali widać było otaczającą ją aureolę dumy.

Wtedy jednak zobaczyła książkę, odkopniętą na bok przez kopyta jednorożca. Strzępy podartych stronic ulatywały na wietrze. Na ten widok zesztywniała, a jej twarz robiła się coraz bardziej blada. Podbiegła do niej, aby pozbierać porozrzucane strzępki, zapominając o leżącym jednorożcu.

Kiedy dotarł do niej, próbowała wygładzić podarte kartki. Był to jeden ze starych podręczników, wydrukowany na prawdziwym papierze, który z wiekiem stał się bardzo kruchy. Bibliotekarz ufał jej, i uznał, ze dobrze się nim zaopiekuje. Teraz, strona za stroną, kolejne kartki były podarte na kawałki i nieczytelne…

Spojrzała w górę na niego, ze wstydem i bólem na twarzy.

– Ojcze – powiedziała. – Książka… ja…

Zobaczył, że jednorożec to byk, i to o rozmiarach znacznie większych od średniej. Zdarzało się już w przeszłości, że ludzie zabijali jednorożca włócznią, ale nigdy jeszcze nie dokonała tego szesnastoletnia dziewczyna…

W odpowiedzi również spojrzał na nią, starając się nie okazywać żadnych emocji i spytał ją surowym tonem:

– Ty, co?

– Chyba… chyba nie miałam prawa zabierać książki poza miasto. Żałuję, że to zrobiłam…

– Obiecałaś, że dobrze się nią zaopiekujesz – powiedział do niej zimno. – Uwierzono w twoją obietnicę i zaufano ci na tyle, abyś ją otrzymała.

– Ale… ale ja nie miałam zamiaru jej zniszczyć… nie chciałam tego zrobić! – Nagle niemal stanęła we łzach. – Ja… ja nie jestem *bemmonem*!

– Wracaj do miasta – polecił jej. – Wieczorem przyniesiesz książkę do ratusza i opowiesz radzie o wszystkim co się stało.

Przełknęła ślinę i odparła cichym głosem:

– Tak, ojcze.

Odwróciła się i powoli zaczęła schodzić ze wzgórza na dół, do miasta, nawet nie spoglądając na jednorożca, kiedy koło niego przechodziła. Niosła smutno za sobą zakrwawioną włócznię, a jej głowa była nisko zwieszona ze wstydu.

Kiedy patrzył za nią, jak odchodzi, mógł się bezpiecznie uśmiechnąć. Gdy nadejdzie wieczór, i będzie stała przed radą, za bardzo zawstydzona, żeby unieść na nich wzrok, kiedy będzie jej mówił jak dalece jej zaufano i jak bardzo zaufanie to zostało zdradzone, będzie musiał wyglądać bardzo poważnie i ponuro. Teraz jednak, kiedy przyglądał się jej, jak schodzi ze wzgórza, mógł się swobodnie uśmiechnąć. I był z niej niesamowicie dumny. Wiedział też, że otrzymał odpowiedź na swoje wątpliwości, i że młoda generacja wcale nie utraciła ani swojej odwagi, ani lojalności.

Tej wiosny Julia uratowała życie jednemu z dzieci i nieomal utraciła swoje własne. Dziecko bawiło się właśnie pod na wpół ukończonym zadaszeniem, kiedy w miasteczko uderzył nagły, gwałtowny wicher, zamieniając niedokończoną konstrukcję w śmiertelnie niebezpieczną pułapkę, trzaskających jak zapałki i lecących na dół drewnianych belek. Dobiegła do niego w ostatniej chwili, ciskając je w bezpieczne miejsce, ale spadające zadaszenie dosięgło ją, zanim sama zdążyła uciec.

Jej klatka piersiowa i szyja zostały mocno poranione przez postrzępione końce połamanych belek i przez następny dzień i noc iskierka życia migotała w niej jedynie słabiutkim ognikiem. Kolejnej nocy stan Julii zaczął się nieco poprawiać, a trzeciego dnia rano po raz pierwszy zdołała coś powiedzieć, z mrocznymi oczyma i przerażeniem w głosie:

– Moje dziecko… czy nic mu się nie stało?

Wracała do zdrowia powoli, nieustannie nawiedzana przez lęki. Jej syn urodził się pięć tygodni po tym wydarzeniu, i wszystkie jej obawy okazały się bezpodstawne. Był absolutnie normalny i zdrowy.

I głodny, a jej powoli zdrowiejące piersi w czasie nadchodzących tygodni miały być zupełnie suche.

Zbiegiem okoliczności, który nigdy wcześniej jeszcze się nie przytrafił, i nigdy później miał się również już nie powtórzyć, nie było wtedy żadnej mamki z jednym dzieckiem, która mogłaby karmić dziecko. Było wiele dziewcząt oczekujących dziecka, ale jedynie trzy kobiety miały akurat małe dzieci. I we wszystkich trzech przypadkach miały one do wykarmienia bliźnięta.

W wyłożonej lodem komorze przechowywali jednak niewielki zapas schłodzonego mleka koźlego. Niewielki, ale wystarczająco duży, aby umożliwić małemu Johnny'emu przetrwanie do czasu kiedy stado kozłów zacznie dawać nowe mleko. Do tego czasu musiał przeżyć na skąpych racjach, ale nic nie można było na to poradzić.

Johnny właśnie skończył miesiąc, kiedy ludzie z Ragnarok otrzymali swoją okazję na zdobycie ostatnich sojuszników.

Niemal wszystkie jednorożce odeszły już na północ, a szperacze zniknęły już dawno temu. Niebieska gwiazda rozjaśniała mroki nocy jak małe słońce, kiedy pewnego wieczora przez okno Schroedera wpadł lekki wietrzyk, niosąc ze sobą odległe piski jednorożców.

Przysłuchiwał się im z zastanowieniem. Te odgłosy jakoś dziwnie nie pasowały. Wszyscy siedzieli bezpiecznie w miasteczku, większość z nich zresztą była już w łóżkach, i na zewnątrz muru nie powinno być w tej chwili nikogo ani niczego, z czym jednorożce mogłyby walczyć.

Zdjął ze ściany włócznię oraz kuszę, i wyszedł z domu. Wydostał się z miasteczka przez wschodnią bramę, i pomaszerował w kierunku odgłosów walki. W miarę jak się zbliżał, stawały się coraz głośniejsze, coraz bardziej zajadłe, tak jakby bitwa osiągała swój punkt szczytowy.

Przedostał się przez potok i wyszedł spoza stojących za nim drzew. Tam właśnie, na małej polance, co najwyżej pół mili za miastem, przed jego oczyma rozegrała się cała scena.

Samotny szperacz stawiał czoła dwom jednorożcom. Kolejny jednorożec leżał na ziemi, martwy, a za szperaczem widać było ciemny kształt leżącego w trawie bez życia partnera. Na ciele szperacza można było dojrzeć krew, błyszczącą purpurowo w świetle błękitnej gwiazdy, a w popiskiwaniach atakujących go jednorożców brzmiała satysfakcja. Skoki walczącego z nimi szperacza były coraz słabsze. Widać było, że są one wyrazem ostatniego wysiłku, już umierającego zwierzęcia.

Uniósł w górę kuszę, i posłał jednorożcom deszcz strzał. Ich usatysfakcjonowane popiskiwania umilkły, a one same padły na ziemię. Szperacz zatoczył się mocno i upadł obok nich.

Kiedy podszedł do leżącego szperacza, ten wydawał swoje ostatnie tchnienie, ale po sposobie w jaki na niego patrzył, Schroeder odniósł wrażenie, że chce mu coś przekazać. Coś co spowodowało, że walczył tak usilnie, aby przeżyć wystarczająco długo, by tego dokonać. Umarł, w dziwną prośbą w oczach i dopiero wtedy dostrzegł na jego łapie starą bliznę. Ta rana musiała zostać odniesiona dawano, dawno temu, i był to cios zadany rogiem jednorożca.

To był ten sam szperacz, którego spotkał dziewiętnaście lat temu.

Ziemia wszędzie dookoła była zryta kopytami jednorożców, wskazując, że szperacze oblężone były przez cały dzień. Podszedł do drugiego z nich i stwierdził, że to była samica. Jej piersi wskazywały, że ostatnio urodziła szczeniaki, ale była już martwa od co najmniej dwóch dni. Jej tylne łapy musiały kiedyś tej wiosny zostać połamane, i ciągle jeszcze były tylko na wpół wyleczone, poskręcane i niemal bezużyteczne.

Wtedy też jasne się stało, dlaczego ta para pozostała tak daleko w tyle, za innymi szperaczami. Szperacze, podobnie jak ziemskie wilki, kojoty czy lisy, łączyły się w pary na całe życie, i samiec pomagał opiekować się potomstwem. Gdzieś na południu samica została poważnie ranna, być może w walce z jednorożcami, i kiedy powoli kuśtykała na północ, jej partner pozostał z nią, polując i zdobywając dla niej pożywienie. Potem urodziły się szczenięta, i musieli się zatrzymać. Wtedy znalazły je jednorożce, a samica była za bardzo okaleczona, aby z nimi walczyć…

Zaczął szukać szczeniaków, podświadomie spodziewając się, że znajdzie je stratowane i martwe. Jednak młode ciągle żyły, ukryte pod korzeniami małego drzewa, rosnącego w pobliżu miejsca gdzie leżało ciało ich matki.

Szczeniaki szperaczy — żywe!

Były jeszcze bardzo młode, malutkie, ślepe i bezradne. Wziął je na ręce, i kiedy im się przyglądał, jego uniesienie zaczęło ulatywać. Wydawały z siebie tylko cichutkie popiskiwania z głodu, niemal niesłyszalne, poruszając się nieznacznie w poszukiwaniu piersi matki. Były już tak słabe, ze nie mogły nawet unieść główek.

Koło szczeniaków leżały małe kawałki mięsa, i pomyślał o uczuciach jakie musiały targać szperaczem, który widział, że jego partnerka leży martwa na ziemi, i przyniósł swojemu potomstwu mięso, dobrze wiedząc że szczenięta są jeszcze za małe aby mogły je zjeść, ale był zupełnie bezradny i nie mógł dla nich zrobić niczego innego.

Wiedział również dlaczego w oczach umierającego szperacza pojawiła się prośba i co próbował mu on wtedy powiedzieć: *Uratuj je… tak jak kiedyś uratowałeś i mnie*.

Wziął szczenięta i ruszył z powrotem. Przechodząc koło leżącego martwego szperacza, popatrzył na niego:

– Zrobię wszystko, co będę mógł – obiecał mu.

Kiedy doszedł do domu, położył szczeniaki na swoim łóżku i rozpalił ogień. Nie było mleka, które mógłby im dać — kozły miały jeszcze nie mieć młodych, przez co najmniej dwa tygodnie — ale być może będą w stanie zjeść jakiegoś rodzaju zupę. Nalał do garnka wody, by ją zagrzać, i zaczął siekać mięso, aby ugotować z niego gęsty, tłusty rosół.

Jedno z małych był samczykiem, drugi samiczką, tak więc jeśli uda mu się je uratować, być może będą walczyć u boku ludzi z Ragnarok, kiedy przylecą tutaj Gernowie. Kiedy tak się krzątał, zastanawiał się nad imionami, jakie im nadać. Małą nazwie Sigyn, po wiernej żonie Lokiego, która udała się razem z nim, kiedy bogowie zesłali go do Hel, germańskiego świata umarłych. A jemu może nadać imię Fenrir, na pamiątkę monstrualnego wilka, mającego walczyć u boku Lokiego, kiedy Loki poprowadzi siły Hel na ostateczna bitwę w dzień Ragnarok.

Kiedy jednak ugotował już rosół, i odpowiednio go ochłodził, szczeniaki nie były w stanie go jeść. Próbował go rozrzedzić, próbował mieszać z zupą z ziarna i ziół, próbował w końcu karmić je samą zupą ze zboża i ziół. Nie mogły jeść niczego, co dla nich przygotował.

Kiedy do pokoju zajrzał szary poranek, wypróbował już wszystko co mógł, i wszystko zawiodło. Usiadł ze zmęczeniem na krześle i przyglądał się szczeniętom, pokonany. Przestały już nawet piszczeć z głodu, i kiedy je dotknął, nie poruszały się, tak jak to robiły wcześniej.

Zanim minie dzisiejszy dzień będą martwe, i jedyna szansa jaka się pojawiła, by szperacze stały się przyjaciółmi i sojusznikami ludzi, bezpowrotnie przepadnie.

Do pokoju wpadły pierwsze promienie wschodzącego słońca, w pełni obnażając kruchość wychudzonych szczeniąt. Na zewnątrz rozległy się kroki i dobiegł go głos Julii:

– Ojcze?

– Wejdź, Julio – odparł, siedząc bez ruchu.

Weszła do środka, ciągle wyglądała jak blady cień tej śmiałej, beztroskiej dziewczyny, która walczyła z jednorożcem, chociaż powoli dochodziła do pełni zdrowia. Na jednym ręku niosła Johnny'ego, w drugiej ręce miała małą butelkę mleka. Johnny był głodny, mleka przez cały czas było za mało dla niego, ale nie płakał. Dzieci z Ragnarok nie płakały…

Zobaczyła szczeniaki i jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– Szperacze… małe szperacze! Skąd je wziąłeś?

Opowiedział jej o wszystkim, podeszła do nich, by na nie popatrzeć, a potem powiedziała:

– Gdybyście ty, i ich ojciec, wtedy, tego dnia nie pomogli sobie nawzajem, nie byłoby tu teraz ani ciebie, ani mnie, ani Johnny'ego… nikogo z tych, którzy są w tym pokoju.

– Nie przeżyją nawet dzisiejszego dnia – powiedział. – Muszą mieć mleko, a my nie mamy dla nich ani kropelki.

Wyciągnęła rękę, aby ich dotknąć, a one zdawały się czuć, że to pojawił się ktoś inny. Poruszyły się, wydając z siebie cichutkie popiskiwania i próbując poruszyć główkami, aby obwąchać jej palce.

Jej twarz rozjaśniła się współczuciem, jak delikatnym światłem.

– One są takie malutkie – powiedziała. – To takie straszne, że takie maluchy będą musiały umrzeć…

Popatrzyła na Johnny'ego, a następnie na małą butelkę, w której był i tak za mały, poranny przydział mleka dla niego.

– Johnny… Johnny… – Słowa wyrwały jej się z gardła, niemal szeptem. – Jesteś głodny… ale nie możemy pozwolić, aby one umarły. A pewnego dnia, dzięki temu, one będą walczyć o twoje życie.

Usiadła na łóżku i umieściła szczenięta na łonie, obok Johnny'ego. Łagodnie dotykając palcami uniosła małą czarną główkę, i malutki różowy pyszczek przestał popiskiwać, przyssany do smoczka butelki Johnny'ego.

Szare oczy Johhny'ego, pociemniały w nadciągającej burzy protestu. Wtedy drugi szczeniak dotknął jego rączki, sam płacząc z głodu, i niespodziewanie protest uleciał, a w jego oczach pojawiło się jakby nagłe zrozumienie.

Julia zabrała butelkę pierwszemu szczeniakowi i przesunęła ją do drugiego. Jego popiskiwania również umilkły, a Johnny nachylił się do przodu, by ponownie go dotknąć, po chwili również drugiego, leżącego tuż obok.

Podjął decyzję, oznajmiając ją tonem aprobaty i odsunął się do tyłu, w ramiona mamy, cierpliwie oczekując na swoją kolejkę, akceptując ich obecność, tak jakby były one jego rodzonym bratem i siostrą.

Złote światło nowego dnia kładło się na nich blaskiem, na jego córce, wnuku i szczeniętach szperaczy, i dostrzegał w tym dobrą wróżbę jasnej przyszłości.

Rola jego własnej osoby powoli dobiegała końca, ale dane mu było zobaczyć, jak ludzie na Ragnarok podbijają swoje środowisko na planecie, przynajmniej na tyle dalece, na ile w ogóle pozwalała na to Wielka Zima. Rodziło się właśnie ostatnie pokolenie, pokolenie które miało stawić czoła Gernom, a teraz pozyskali swoich ostatnich sojuszników. Być może to właśnie Johnny będzie tym, który ich poprowadzi w tym dniu, ponieważ wróżba zdawała się być prorocza.

Johnny był synem szeregu pokoleń przywódców, urodziła go matka, która walczyła z jednorożcem i go zabiła. Sam cierpiał głód, dzieląc się tą odrobiną, jaką miał, z młodymi przedstawicielami najdumniejszych i najdzikszych stworzeń na Ragnarok, a Fenrir i Sigyn będą walczyć u jego boku, w dniu kiedy poprowadzi siły piekielnej planety na bitwę z Gernami, którzy mniemali o sobie, że są bogami.

Czy Gernowie mogą mieć nadzieję, że pojawi się u nich jakiś przywódca, który mu sprosta?

Część IV

John Humbolt, przywódca, stał na szerokim murze ochronnym i obserwował zniżające się ku zachodniemu horyzontowi słońce — zachodziło dużo dalej na południe, niż wtedy kiedy był jeszcze dzieckiem. Wielkie Lato już się zakończyło, i teraz, w roku dwusetnym, znajdowali się już od trzech lat w okresie Wielkiej Jesieni. Od pięciu lat Craigi były niemożliwe do pokonania z powodu zalegających w nich śniegów, a kraina znajdująca się na północnym krańcu płaskowyżu, w której znalezione zostało żelazo, obecnie od dwudziestu lat pogrzebana była pod nigdy nie topniejącą pokrywą śniegu i rozrastających się coraz bardziej lodowców.

Do jego uszu doleciało ciche dzwonienie ceramicznych dzwonków, obwieszczających, że ze wzgórz schodzi stado mlecznych kóz. Za nimi podążało dwoje dzieci, a obok nich biegło sześć szperaczy, chroniących je przed dzikimi jednorożcami.

Kóz było niewiele. Każdego roku zimy stawały się coraz sroższe i dłuższe, wymagając zgromadzenia coraz większych zapasów siana. Wkrótce nadejdzie czas, kiedy lata będą takie krótkie, a zimy takie długie, że w ogóle nie będą mogli trzymać kozłów. A kiedy Wielka Zima zamknie ich w swoich okowach, okresy lata staną się za krótkie, aby zdążyła dojrzeć pomarańczowa kukurydza. Wtedy nie pozostanie im już nic, poza łowiectwem.

Zdawał sobie sprawę, że osiągnęli i minęli już zenit możliwości kształtowania swojego środowiska. Z niewielkiej liczby czterdziestu dziewięciu mężczyzn, kobiet i dzieci, mieszkających w ciemnych jaskiniach, rozrośli się w sześciotysięczne miasto. Przez kilka lat prowadzili życie niemal cywilizowane, ale nieunikniony upadek już się rozpoczął. Nadciągały lata mroźnej sterylności Wielkiej Zimy, i żaden potencjał determinacji ani pomysłowości, nie był w stanie tego zmienić. Sześć tysięcy ludzi będzie musiało utrzymać się z polowania. A w czasie pierwszej Wielkiej Zimy kiedy była ich zaledwie setka, z trudnością znaleźli dla siebie wystarczająco dużo zwierzyny.

Będą więc musieli migrować, w jeden z dwóch różnych sposobów: albo wyruszą na południe jako koczowniczy łowcy, albo wyruszą na lepsze, bardziej przyjazne i zdatne do życia planety, w statkach odebranych Gernom.

Decyzja była łatwa do podjęcia, i byli już niemal gotowi do działania.

W położonym na drugim krańcu miasteczka warsztacie, znajdował się, już bliski ukończenia, nadajnik podprzestrzenny. Mały piec hutniczy czekał tylko, aby włożyć do niego tokarkę oraz inne żelazne i stalowe rzeczy, i zmienić je w żelazo do budowy generatora. Broń była już gotowa, kpiarze zostały wyszkolone, szperacze czekały. A w masywnej zagrodzie za miastem tratowało ziemię czterdzieści na wpół oswojonych jednorożców, nienawidzących całego świata, których największym pragnieniem, było zabić kogoś lub coś. Nauczyły się już strachu przed ludźmi z Ragnarok, ale nie będą się bały zabijać Gernów…

Dzieci wraz kozami doszły już do muru, a dwa ze szperaczy, Fenrir i Sigyn, odwróciły się w jego stronę, widząc go stojącego na murze. Wykonał lekki ruch ręką i przybiegły do niego, wskakując na dziesięciostopowy mur, aby usiąść obok.

– To co, pobiegłyście sprawdzić czy młodzi dobrze pilnują dzieci? – spytał je.

Sigyn wywaliła język, i jej wielkie białe zębiska uśmiechnęły się do niego w odpowiedzi. Fenrir zawsze był z tej pary bardziej ponury, odpowiedział więc tylko huczącym warknięciem w głębi gardła.

Szperacze stworzyły ze swoimi panami coś w rodzaju telepatycznej więzi, i potrafiły wyczuwać ich myśli oraz rozumieć nawet dosyć złożone instrukcje. Ich inteligencja była znacznie większa, i dużo wyższego rzędu, niż w przypadku kpiarzy, ale ich struny głosowe nie były w stanie wydawać dźwięków niezbędnych dla mowy.

Położył ręce na ich barkach, gdzie hebanowe futro szperaczy było lekko przyprószone siwizną. Wiek nie miał jeszcze żadnego wpływu na ich szybkie, płynne ruchy, ale zaczęły się już starzeć. Były przecież tylko kilka tygodni młodsze od niego samego. Nawet nie przypominał sobie czasów, kiedy nie było ich u jego boku…

Czasami zdawało mu się, że pamięta te głodne dni, kiedy Fenrir i Sigyn dzieliły razem z nim miejsce na łonie matki. Chociaż prawdopodobnie była to tylko jego wyobraźnia. Słyszał przecież tę opowieść opowiadaną już tyle razy. Z całą pewnością przypominał sobie jednak, jak uczył się chodzić, a Fenrir i Sigyn, które osiągnęły już wtedy pełne rozmiary, spacerowały u jego boku, wysokie i czarne. Pamiętał zabawy ze szczeniakami Sigyn, i pamiętał również jak Sigyn pilnowała ich wszystkich, czasami myjąc swoje szczeniaki i jego twarz, z równym lekceważeniem dla protestów jego i ich. Przede wszystkim jednak pamiętał czasy, kiedy był już niemal dorosły, te dzikie dni szalonej wolności, kiedy on, Fenrir i Sigyn razem wędrowali swobodnie przez góry. Z kuszą, nożem i dwoma szperaczami u boku, czuł się jakby na Ragnarok nie istniało nic, czego by nie mogli pokonać, jakby nawet w całym wszechświecie nie było niczego, czemu by nie mogli razem stawić czoła…

Dostrzegł przelotne mignięcie, błysk czegoś czarnego, szybko się poruszającego, i od strony budynku rady przybiegł młody szperacz, posłaniec. Na jego plecach przyjechał wczepiony w sierść, kpiarz o plamistym pyszczku. Szperacz wskoczył obok niego na mur i kpiarz, jeden z tych których nauczono dosłownie zapamiętywać i powtarzać wiadomości, złapał tak głęboki oddech, że aż wydęło mu policzki. Przemówił do niego, z niecierpliwym pośpiechem, jak dziecko obawiające się, że mogłoby zapomnieć części słów.

– Jest pan proszony o przybycie do sali posiedzeń rady, aby poprowadzić zebranie na temat ostatnich przygotowań do spotkania z Gernami. Budowa nadajnika została ukończona.

Następnego dnia tokarka została rozłożona na kawałki i zaczął ryczeć piec hutniczy, wymuszonym nawiewem powietrza. Przez całe miasteczko, jak gorączka, przelatywały fale podniecenia i przewidywania. Budowa generatora miała zająć jakieś dwadzieścia dni, jeżeli będą pracować dzień i noc, i nie zmarnują nawet chwili czasu. Dalej, czterdzieści dni, zanim sygnał dotrze na Atenę, i czterdzieści dni, jakich potrzebuje krążownik Gern, aby dolecieć na Ragnarok…

Za sto dni mogli pojawić się tu Gernowie!

Mężczyźni, którzy mieli zająć się walką o krążownik, przestali pielęgnować swoje brodate oblicza. Później, kiedy zbliży się czas pojawienia się Gernów mieli zrzucić noszone na co dzień wełniane ubrania, zamieniając je na stroje z koźlej skóry. Gernowie będą ich brali za prymitywne istoty niższego rzędu, co najwyżej, i wszystkie działania wspierające to wrażenie były czymś jak najbardziej pożądanym. Dzięki temu przebudzenie Gernów, będzie dla nich nieco większym wstrząsem.

Już dawno temu wykopany został podziemny tunel, prowadzący z miasteczka, do kryjówki w znajdujących się nieco dalej lasach. Kiedy przybędą Gernowie, miały ewakuować się nim kobiety i dzieci.

Za południowym murem miasteczka przygotowano równy spłacheć ziemi, na którym niemal z pewnością wyląduje krążownik. Sama budowa miasta była już prowadzona pod

kątem tego założenia. Z obu stron miejsca lądowania, w najbliższej odległości znajdował się las, w którym ukryte zostały zagrody dla jednorożców. Z zagród tych miano poprowadzić przeciwko Gernom, uderzenia ze skrzydeł.

Szperacze, oczywiście, miały zostać porozdzielane pomiędzy wszystkie oddziały.

Dziewiętnaście dni później, w nocy, ukończony i zainstalowany został generator. Charley Craig, gigantyczny mężczyzna, którego ruda broda nadawała mu fantastyczny, morderczy wygląd, otworzył zawór na rurze z wodą. Nowa, drewniana turbina powoli ruszyła, i zaczęły się obracać pasy oraz koła przekładni. Generator zaszumiał, wskaźniki na tarczach podskoczyły i ustawiły się na swoich pozycjach.

Stojący przy nich Norman Lake popatrzył na Humbolta, a w jego bladych, szarych oczach rozbłysła chłodna satysfakcja.

– Pełna moc – powiedział do niego. – Mamy wystarczająco dużo energii na nasze potrzeby.

Przy nadajniku stał Jim Chiara, i czekali aż poprzerzuca wszystkie przełączniki, wpatrując się w tarcze przyrządów. Każdy element składowy nadajnika był wielokrotnie testowany, ale nie mieli zasilania, aby przetestować złożone urządzenie.

– No, to mamy – stwierdził w końcu, spoglądając w ich stronę. – Maszynka gotowa, po niemal dwustu latach wyczekiwania na jej włączenie.

Humbolt zastanawiał się jaki wysłać sygnał, i nie widział żadnego powodu, dla którego nie można było wysłać tego samego komunikatu, który został wyemitowany z takimi nadziejami, sto sześćdziesiąt pięć lat temu.

– W porządku, Jim – oznajmił. – Niech Gernowie wiedzą, że na nich czekamy. Wyślij znowu „Wzywa Ragnarok”.

Zagrzechotał klucz telegraficzny i w eter z szybkością pięciu lat świetlnych na dobę pomknął szerokopasmowy sygnał, którego Gernowie po prostu nie mogli przegapić.

– Wzywa Ragnarok... Wzywa Ragnarok... Wzywa Ragnarok...

To było najdłuższe lato, jakiego kiedykolwiek doświadczył Humbolt. Niecierpliwość targała nie tylko jego duszą — w miarę jak ciągnęły się kolejne powolne dni, we wszystkich z nich płonął coraz większy ogień niepokoju, niemal uniemożliwiając im zajmowanie się tymi wszystkimi rutynowymi obowiązkami. Łagodne kpiarze wyczuwały w swoich panach niecierpliwe oczekiwanie na walkę, i same również stały się nerwowe i płochliwe. Szperacze również to wyczuły, krążąc niespokojnie w ciemnościach nocy po całym miasteczku, obserwując, nasłuchując, pełniąc nieustanną straż i wypatrując tajemniczych wrogów, na których czekali ich panowie. Nawet jednorożce zdawały się wyczuwać nadciągające wydarzenia, rycząc i piszcząc w swoich zagrodach przez całe noce, świecąc czerwonymi oczyma, pełnymi żądzy krwi, i od czasu do czasu atakując bale ścian zagrody z hukiem, wstrząsającym ziemią.

Niekończące się dni wlokły się powoli jeden za drugim, i powoli lato zaczęło ustępować miejsca jesieni. Nadszedł świt setnego dnia, zimny i szary, zwiastun nadciągającej zimy. Dzień w którym mogli pojawić się Gernowie.

Tego dnia jednak żaden krążownik się nie pojawił, ani też następnego. Wieczorem, trzeciego dnia, znów stał na murze obronnym, a obok niego siedziały Fenrir i Sigyn. Wytężał słuch, by usłyszeć pierwszy, przytłumiony, daleki odgłos zbliżającego się krążownika Gernów, ale słyszał jedynie płacz owiewającego ich wiatru.

Zbliżała się zima. Na Ragnarok, zawsze nadchodziła zima, albo brunatna śmierć lata. Ragnarok była surowym i jałowym więzieniem i choćby nie wiem jak chcieli, nie zdołają zmienić jej oblicza na inne. Jedynie przylot krążownika Gern, dawał im krwawą, gwałtowną sposobność na odzyskanie swojej wolności.

A co, jeśli krążownik nigdy nie przeleci?

Takie myśli były zbyt ponure, zbyt beznadziejne, aby mogły się ziścić. Nie prosili chyba losu o zbyt wielką przysługę, po dwustu latach walki o to. Chcieli tylko szansy na rzucenie wyzwania Imperium Gern mając w rękach jedynie kusze i noże…

Fenrir zesztywniał, jego futro na barkach zjeżyło się, a z gardła wyrwał mu się stłumiony warkot. Dopiero wtedy Humbolt usłyszał pierwszy leciutki odgłos. Słaby, odległy ryk, i nie był to wiatr.

Obserwował i nasłuchiwał, a odgłos szybko się zbliżał, stawał się coraz wyższy i coraz głośniejszy. Potem przedarł się przez chmury, smukły, czarny i zabójczo piękny. Statek schodził w dół na rakietach, w strugach płomieni, wypełniając całą dolinę potężnym grzmotem, a serce Humbolta zaczęło walić jak młotem, w pełnym szczęścia uniesieniu.

Przyleciał — krążownik przyleciał!

Odwrócił się i zeskoczył dziesięć stóp na ziemię, wewnątrz muru obronnego. Z centrum miasta dźwięczał sygnał ostrzegawczy, dźwięk rogu jednorożca, przy pomocy którego wysyłali sygnały, kiedy ćwiczyli alarmy. Kobiety i dzieci już wybiegały tunelami, prowadzącymi do chwilowo bezpiecznych kryjówek w lasach, poza miastem. Gernowie mogli użyć zamontowanych na wieżyczkach blasterów do zniszczenia miasta i wszystkiego w jego obrębie, jeszcze zanim zakończy się noc. Nie było sposobu, aby przewidzieć wszystko co się może wydarzyć, zanim zakończy się cała sprawa. Ale cokolwiek by się nie stało, było to coś, czego wszyscy gorąco pragnęli.

Biegł do miejsca, w którym mieli się zebrać inni. Obok niego susami sadziły Fenrir i Sigyn, a róg rozbrzmiewał dzikim, barbarzyńskim ale tryumfalnym tonem, obwieszczając koniec dwóch wieków oczekiwania.

Krążownik osiadł na ziemi, dokładnie w miejscu, gdzie spodziewano się że wyląduje, wznosząc się ponad miasteczkiem jak potężna góra. Wszystkie wieżyczki ze stanowiskami blasterów, spoglądały z góry ponad domami.

Charley Craig i Norman Lake czekali na Humbolta, na schodach należącego do niego domu, w samym centrum miasteczka. Wysokość na której stali, dawała im dobry widok na statek, a zwisające fragmenty zadaszenia stwarzały szansę na skrycie się przed jego skanerami. Byli w uzbrojeni po zęby, obok nich czekały szperacze, a na ramionach siedziały kpiarze.

Wszędzie dookoła uzbrojeni mężczyźni śpieszyli na przydzielone im i wcześniej przygotowane stanowiska, rozmieszczone pod skrywającymi ich połączonymi rzędami zadaszeń. Większości z nich towarzyszyły szperacze, z najeżoną na grzbiecie sierścią, warczące za każdym razem, kiedy spojrzały na obcy statek. Nieopodal nich kilku ludzi celowo pokazało się na otwartej przestrzeni, zajmując się jakimiś nieistotnymi zadaniami, i jedynie od czasu do czasu rzucając w stronę statku obojętne, niezainteresowane spojrzenia. Byli oni jedynie przynętą, mającą zwabić pierwsze oddziały do centrum miasta…

– I co? – spytał Norman Lake. Jego blade oczy poruszały się niespokojnie, świecąc żądzą walki. – W końcu jest nasz statek… Kiedy go zdobędziemy?

– Zaraz jak tylko uda nam się wywabić ich na zewnątrz – odparł mu. – Realizujemy wcześniej ułożony plan. Czekamy aż wyślą wszystkie siły na ratunek pierwszemu oddziałowi, a potem walimy w niech ze wszystkiego, co mamy do dyspozycji.

Czarny kpiarz Humbolta, o białym nosku, siedział w otwartych drzwiach wejściowych i obserwował biegających ludzi i szperacze, z zatroskanym zainteresowaniem. Nazywał się Tip i był pra– pra– pra– pra– wnukiem kpiarza który zginął z Howardem Lake'm. Humbolt schylił się i sięgnął po niego ręką. Podniósł kpiarza w górę, sadzając go sobie na ramieniu i powiedział do niego:

– Jim?

– Długie łuki są już gotowe – odpowiedziała mu imitacja głosu Jima Chiary, wygłoszona dyszkantem przez Tipa. – Reflektory możemy pogasić im w każdej chwili.

– Andy? – następne pytanie.

– Właśnie nadchodzą ostatni członkowie mojej sekcji – odpowiedział Andy Taylor.

Przeprowadził po kolei kontrolę wszystkich swoich podwładnych, a potem spojrzał w górę, na dach, aby zapytać:

– Wszystko gotowe Jimmy?

Spoza krawędzi dachu wyjrzała uśmiechnięta twarz Jimmy'ego Stevensa.

– Dziesięć kusz jest gotowych do strzału i tylko czeka na rozkaz. Wystarczy podać cele.

Czekali dopóki wieczór nie zmienił się w niemal zmierzch. Wtedy pokrywa włazu śluzy powietrznej odsunęła się na bok, i wyłoniło się z niego trzynastu Gernów. Na ich czele szedł jeden, w świecącym mundurze zastępcy dowódcy.

– No dobrze, idą – przekazał Lake'owi i Craigowi. – Wygląda na to, że uda nam się złapać ich tutaj w pułapkę, i zmusić dowódcę do wysłania przeciwko nam wszystkich sił jakimi dysponuje. Zaatakujemy wtedy wszyscy na sygnał rogu, i jeżeli uda wam się dostatecznie mocno uderzyć jednorożcami na ich flanki, to będziemy mieli szansę odciąć ich od tyłu. Wtedy niektórym z nas może uda się dostać się na statek, zanim w sterówce połapią się, że powinni pozamykać śluzy powietrzne.

– Teraz – popatrzył na Gernów, którzy zbliżali się prosto do muru obronnego, ignorując znajdującą się po ich prawej ręce bramę, – lepiej już ruszajcie w drogę. Niedługo spotkamy się na statku.

Kiedy Lake i Craig odchodzili, Fenrir i Sigyn wodziły wzrokiem od idących do przodu Gernów do niego, z niemym pytaniem w oczach. Fenrir niespokojnie powarkiwał.

– Już naprawdę niedługo – uspokoił je. – Teraz jednak lepiej będzie, jeśli was nie zobaczą. Oboje macie poczekać w środku.

Niechętnie weszły do środka, całkowicie rozpływając się w ciemnym wnętrzu. Tylko widoczny od czasu do czasu żółty błysk ich oczu mówił, że przycupnęły tam, tuż za drzwiami, gotowe do skoku.

Zawołał najbliżej stojącego nieuzbrojonego człowieka, na tyle cicho by Gernowie nie mogli go dosłyszeć.

– Cliff… ty i Sam Anders, podejdźcie tu do mnie. Powiedz reszcie, żeby już stąd znikała i uzbroiła się.

Cliff Schroeder przekazał rozkaz dalej, a następnie razem z Samem Andersem podeszli do Humbolta. Obejrzał się do tyłu, żeby rzucić okiem na Gernów, i dostrzegł, że znaleźli się już w odległości niecałych stu stóp od zasłaniającego im teraz wszystko muru obronnego. Zbliżali się do niego bez śladu wahania.

Z jednej z wieżyczek krążownika strzeliła bladoniebieska smuga i pięćdziesięciostopowy odcinek muru eksplodował, z potężnym hukiem zamieniając się w proch i w pył. Wiatr zwiał pył na boki, tworząc gigantyczną chmurę, a Gernowie weszli przez powstały wyłom, nie rozglądając się w żadną stronę.

– To, jak mi się wydaje – powiedział stojący obok Humbolta Sam Anders, – miała być Lekcja Numer 1, dla zdegenerowanych dzikusów, takich jak my: Gernowie, tak jak bogowie, nie mogą pozwalać na to, by zatrzymywały ich jakieś prozaiczne bariery stworzone przez ludzi.

Gernowie szli przed siebie w jakiś dziwny sposób, który intrygował go, dopóki nie zorientował się o co chodzi. Próbowali wmaszerować do miasta aroganckim, defiladowym krokiem, który Gernowie tak uwielbiali, a przy półtora razy większej sile grawitacji, udało im się osiągnąć jedynie coś w rodzaju ciężkiego powłóczenia nogami.

Nieustannie posuwali się naprzód i kiedy zbliżyli się do niego, dostrzegł, że w prawej ręce każdego z żołnierzy Gernów tkwił blaster, a w lewej ręce metalicznie połyskiwały łańcuchy.

Schroeder uśmiechnął się kwaśno.

– Wygląda jakby chcieli zaciągnąć kilkunastu z nas na jakieś bolesne przesłuchanie.

Nikogo więcej Gernowie nie byli w stanie dostrzec, a więc maszerowali prosto w kierunku trzech stojących na schodach mężczyzn. Zatrzymali się jakieś czterdzieści stóp od nich na krótki rozkaz oficera, a następnie Gernowie i ludzie z Ragnarok zaczęli wymieniać milczące spojrzenia. Twarze ludzi z Ragnarok były brodate i pozbawione wyrazu, twarze Gernów bezwłose, ujawniające pogardliwą ciekawość.

– Narth! – Komunikator u pasa oficera Gern, przemówił metalicznym władczym głosem. – I jak oni wyglądają? Czy pokonaliśmy dwieście lat świetlnych tylko po to, żeby zobaczyć jakieś chodzące rośliny?

– Nie, panie komandorze – odparł Narth. – Wydaje mi się, że pozostawienie tutaj dwieście lat temu Odrzuconych, zaowocowało dla nas niespodziewaną nagrodą. Przede mną, pod jakimś zadaszeniem, stoi trzech tubylców, a ich doskonałość fizyczna i kompletne przystosowanie do tej diabelskiej siły ciężkości, jest zdumiewające.

– Można by ich wykorzystać do zastąpienia drogich maszyn w niektórych z naszych kopalni w kosmosie – oznajmił dowódca. – Oczywiście, zakładając, że ich inteligencja nie sięgnęła kompletnego dna. Co z tym?

– Z pewnością można ich nauczyć wykonywania prostych prac ręcznych – odparł Narth.

– Rób dalej swoje – polecił dowódca. – Spróbuj wybrać kilku, co bardziej inteligentnych z wyglądu, żebyśmy mogli ich przesłuchać. Nie chce mi się wierzyć, żeby to bydło mogło wysłać ten komunikat, i muszą nam powiedzieć, kto to zrobił. Zabierz też paru silniejszych, dla personelu medycznego, do badań. Takich, którzy nie zwiną się w kłębek i nie umrą już po kilku draśnięciach nożem.

– No dobrze, na początek zakujemy w łańcuchy tych trzech – powiedział Narth. Uniósł rękę w stronę Humbolta, we władczym geście, i polecił w ciężko akcentowanym terrańskim: – Chodź tutaj!

Nikt się nie ruszył i powtórzył jeszcze raz, ostrym tonem:

– Chodź tutaj!

Ponownie nikt się nie ruszył, i stojący obok Northa młodszy stopniem oficer, stwierdził:

– Najwidoczniej teraz już, nie potrafią zrozumieć nawet terrańskiego.

– A więc wytłumaczymy im to ręcznie, wtedy zrozumieją – warknął ostro Narth, a twarz mu poczerwieniała z rozdrażnienia. – Zawleczemy ich na statek jak bydło!

Gernowie ruszyli w uporządkowanym szyku naprzód, a trzech z nich schowało swoje blastery do kabury, żeby przygotować przyniesione kajdany. Kiedy weszli pod zadaszenie, i zniknęli z oczu pozostałych na statku, Humbolt przemówił:

– W porządku, Jimmy.

Gernowie zamarli w pół kroku, a na ich twarzach rozbłysła podejrzliwość.

– Spójrzcie tylko na dach – powiedział do nich w gernijskim.

Popatrzyli do góry i podejrzliwość zmieniła się w ogłupiałą konsternację.

– Macie do wyboru. Możecie zostać naszymi jeńcami, albo trupami – oznajmił Humbolt. – Nam jest wszystko jedno, czym.

Ich paraliż decyzyjny przełamał pośpiesznie wysyczany rozkaz Nartha.

– *Zabić ich*!

Sześciu Gernów próbowało wykonać rozkaz, unosząc blastery ruchem, który wydawał się dziwacznie ociężały i powolny, tak jakby grawitacja na Ragnarok zamieniła ich ręce w drewno. Trzem z nich, zanim strzały przebiły ich gardła, udało się nawet unieść blastery

niemal na tyle wysoko, żeby wystrzelić, w stronę znajdujących się przed nimi stopni. Trzech pozostałych nie doszło nawet tak daleko.

Narth wraz z pozostałą szóstką zamarli sztywno, i Humbolt zawołał w ich stronę:

– Rzucić blastery… szybko!

Ich blastery łupnęły głucho o ziemię, a Jimmy Stevens wraz ze swoimi łucznikami, ześlizgnęli się z dachu. W ciągu minuty Gernów, poza samym oficerem, zakuto w ich własne kajdany, a blastery znalazły się w rękach ludzi z Ragnarok.

Jimmy popatrzył z góry na rządek Gernów, i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– A więc, to są ci Gernowie? – oznajmił. – To było jak schwytanie stada leśnych kozłów.

– Chyba koźląt – poprawił go Schroeder. – I niemal tak samo niebezpieczne.

Na te słowa twarz Nartha zalała się rumieńcem, a jego wzrok powędrował w stronę statku. Widok okrętu zdawał się przywrócić mu odwagę, a wargi cofnęły się do warknięcia:

– Wy głupcy… wy głupie, megalomańskie kupy łajna… Czy wam się zdaje, że możecie zabijać Gernów, i przeżyć żeby się tym chełpić?

– Siedź cicho – rozkazał mu Humbolt, przyglądając mu się z ciekawością. Narth, podobnie jak i pozostali Gernowie, był inny niż to, czego się spodziewali. To prawda, że wkroczyli do ich miasteczka w zuchwały, arogancki sposób, ale ich wygląd był raczej nieszkodliwy, mieli miękkie twarze i obwisłe brzuchy, a warczenie czerwonego na twarzy Nartha zabrzmiało jak pogróżki zapędzonego w ślepy narożnik padlinożernego gryzonia.

– Obiecuję ci – głos Nartha ociekał złośliwością – że jeżeli w tej chwili nie wypuścisz nas i nie zwrócisz nam naszej broni, to osobiście dopilnuję eksterminacji ciebie, i każdego z dzikusów w tej wiosce, w najboleśniejszy sposób, jaki będę w stanie wymyślić, i zobaczysz…

Humbolt wyciągnął rękę i plasnął Northa pod podbródek. Usta Gerna zamknęły się z głośnym szczęknięciem zębów, a jego twarz skręciła się z bólu z powodu przygryzionego języka.

– Zwiąż go, Jess – powiedział do stojącego w pobliżu człowieka. – Jeżeli jeszcze raz otworzy paszczę, to możesz mu wepchnąć do niej pięść.

Zwrócił się do Schroedera.

– Zatrzymamy sobie trzy z tych blasterów, i wyślemy po dwa, do każdej z czołowych grup. Załatw to.

Zmierzch pogłębiał się coraz bardziej, przechodząc w zmrok. Zawołał ponownie Chiarę.

– W każdej chwili mogą włączyć swoje reflektory i oświetlić miasto jak w dzień – powiedział do niego. – Jeżeli uda ci się oślepić ich, dopóki ktoś z nas nie dostanie się na statek, wydaje się że zwyciężymy.

– Będą zupełnie ślepi – odparł mu Chiara. – Zostanie nam jeszcze parę krzemiennych strzał dla Gernów.

Humbolt wezwał przez kpiarza Lake'a i Craiga, przekazując im, żeby czekali w gotowości.

– Będziemy tu mieli niezłe piekło, próbując utrzymać jednorożce w spokoju – odpowiedział mu Craig. – Aż się rwą, by kogoś dopaść i go zabić.

Wcisnął przełącznik komunikatora, ale urządzenie było głuche. Oczywiście, musieli przenieść się na jakąś inną długość fali, tak żeby nie mógł usłyszeć rozkazów. Przewidywał zresztą, że zrobią cos takiego…

Fenrir i Sigyn ciągle posłusznie siedziały w środku, za drzwiami, niemal szalejąc z żądzy przyłączenia się do niego. Zawołał je i wypadły na zewnątrz, warcząc na mijaną trójkę Gernów, którzy na ich widok, zrobili się biali jak trupy.

Posadził Tipa na barkach Sigyn i polecił:

– Sigyn, ty i Tip macie robotę do wykonania. Niebezpieczna rzecz. Posłuchajcie mnie, oboje…

Żółte ślepia Sigyn i czarne oczka małego kpiarza, wpatrywały się w niego, kiedy wyjaśniał im o co chodzi, pomagając sobie najmocniejszymi, najostrzejszymi obrazami myślowymi, jakie był w stanie wyemitować.

– Sigyn, zabierzesz Tipa, do tej rzeczy nie-ludzi. Zostawisz go tam skrytego w trawie trochę z boku, tej wielkiej dziury jaka w tym jest. Tip, masz tam siedzieć i czekać. Kiedy nie-ludzie wyjdą ze środka, będziesz słuchał i powtarzał mi, wszystko co powiedzą.

– A więc, czy rozumiecie mnie oboje?

Sigyn wydała z siebie głos, który oznaczał, że zrozumiała, ale Tip złapał go za nadgarstek swoimi małymi łapkami, które nagle zrobiły się zupełnie zimne, i zaszlochał:

– *Nie*! Wystraszony… wystraszony…

– Musisz tam pójść, Tip – odparł, łagodnie uwalniając z jego uścisku swój nadgarstek. – Ale Sigyn schowa się blisko ciebie, i będzie cię pilnowała. – Zwrócił się do Sigyn. – Kiedy zagrają rogi, masz przybiec z powrotem razem z nim.

Znów wykonała dźwięk oznaczający zrozumienie, i dotknął obojga ręką, mając nadzieję, że nie jest to ostateczne pożegnanie.

– No dobrze, Sigyn… idźcie już.

Rozpłynęła się jak duch, w mroku zbliżającej się nocy, z mocno uczepionym do niej Tipem. Fenrir stał, obserwując jak odchodzi i przyglądając się również miejscu, z którego mogli nadejść nie-ludzie, z najeżonym na barkach futrem, i pyskiem na wpół skrzywionym do warknięcia

– Gdzie jest Freckles? – spytał Jimmy'ego.

– Tutaj – odpowiedział mu ktoś, i podszedł do niego z kolegą Tipa.

Posadził Frecklesa na ramieniu, akurat w chwili kiedy zapalił się pierwszy reflektor, świecąc w dół ze szczytu krążownika. Rozjaśnił cały teren wokół nich, mocną, białą poświatą, której poblask przeciął czarny cień. To musiała być Sigyn, która właśnie zniknęła za statkiem.

Pojawiły się promienie kolejnych dwóch reflektorów, oświetlających miasto. Potem nadeszli Gernowie.

Wylali się z wrót śluzy powietrznej, idąc w dół po rampie, a następnie formując maszerującą naprzód kolumnę, podczas gdy po rampie śpieszyło za nimi coraz więcej Gernów. Światło reflektorów błyszczało na ich hełmach bojowych i ostrzach bagnetów, przymocowanych do długich jak karabiny, blasterów o długim zasięgu. U pasa wisiały im ręczne blastery i granaty, a obok niech tępo zakończone krótkie i pękate miotacze płomieni.

Tworzyli zwartą masę ludzi, rozciągającą się aż na pół drogi do muru obronnego, kiedy we włazie pojawili się ostatni z nich, oficerowie dowodzący. Jeden z nich zatrzymał się u podnóża rampy i obserwował posuwanie się ekspedycji karnej, dając przerażonemu ale wiernemu Tipowi, pierwsze słowa, jakie mógł on przetransmitować do Frecklesa.

– Wszystkie siły już wyruszyły, panie komandorze.

Po chwili nadeszła odpowiedź, w postaci symulowanego przez Frecklesa, metalicznego głosu komunikatora.

– Sprawdziliśmy kody kluczy zabezpieczających dla skonfiskowanych blasterów i załączamy promienie zakłócające ich główne integratory. Po eksplozji tych trzynastu ładunków, pozostanie wam pewnie przy życiu tylko paru tubylców, których będziecie mogli wziąć jako jeńców, ale kontynuujcie przeczesywanie, tak by ci którzy ocaleją, nigdy nie zapomnieli tej lekcji.

A więc Gernowie mogli, w sposób zdalny, przestawić skradzione blastery, tak by ich cały ładunek eksplodował w ręku, po naciśnięciu spustu? To było coś nowego, czego nie było w czasach Starych…

Szybko wywołał Chiarę i inne grupy, aby przekazać im to, czego się właśnie dowiedział.

– Kiedy zaatakujemy, zdobędziemy więcej blasterów, takich dla których nie będą znali kluczy zabezpieczających – dodał jeszcze.

Odpiął blaster od pasa i położył go na ziemi. Do tego czasu, pierwsze szeregi Gernów dotarły już niemal do muru obronnego. Kolumna była szersza niż szczelina w murach, która została w nich wybita ogniem działka. Szli w milczeniu, z pewnością siebie.

Dwa promienie blastera strzeliły w dół z wieżyczek statku, uderzając w mur. Kiedy po nim przebiegły zahuczał grzmot, zafalowała chmura kurzu. Zniszczony został odcinek murów o długości pełnych trzystu stóp, i kiedy wkroczyli w wyłom, kurz przesłonił statek, zacieniając mgłą poświatę reflektorów.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że wszystko to miało na celu zrobienie na nich wrażenia potęgą, jaką posiadali Gernowie, ale dzięki temu oddziały z Ragnarok na kilka sekund mogły skryć się przed oczyma posuwających się do przodu Gernów.

– Jim, masz pogasić te światła, zanim opadnie kurz – zawołał. – Joe… róg! Atakujemy teraz!

Pierwsza strzała z długiego łuku uderzyła w reflektor, i jego światło pociemniało, kiedy przenoszony przez nią ładunek — cienka rurka, wypełniona gęstym atramentem z drzewa włóczniowego — rozbił się na szkle, mocno je ochlapując. Tuż za nią nadleciała kolejna…

W tym momencie zahuczał róg, surowo i władczo, a z oddali w odpowiedzi dobiegł wrzask jednorożców. Towarzyszyło mu dzikie wycie szperacza, jakby w reakcji na wyzwanie, i atak się rozpoczął.

Biegł, mając u boku Fenrira, a po jego lewej i prawej ręce mknęli pozostali ze swoimi szperaczami. Grupy prowadzące zbiegały się razem, pokonując szeroki wyłom w murze. Przebiegli przez niego, zanurzając się w chmurę kurzu, i nagle przed nimi wyrosły widmowe postaci Gernów.

Promień blastera wciął się w ich środek, i jeden z Gernów zawołał:

– Tubylcy!

Błysnęły kolejne promienie, mrugając przez kurz jak bladoniebieskie oczy, zabijając wszystko czego dotknęły. Promienie znikły kiedy pierwsza salwa strzał uderzyła stłoczone przednie szeregi, ale natychmiast zostały zastąpione przez inne.

Atakowali dalej, prosto w niebieskie błyski blasterów i czerwone lance miotaczy płomieni, w odpowiedzi grzechotały i brzęczały ich kusze. U ich boku, i przed nimi, szarżowały i walczyły szperacze. Czarne stworzenia z piekła rodem, które uderzały na Gernów za szybko by mogły ich dosięgnąć wystrzały z blasterów, zanim rozerwały gardło strzelcom. Odgłosy walki zmieniły się w kotłowaninę wściekłych warkotów, szaleńczych okrzyków i wrzasków umierających.

Obok niego przemknął szperacz, który przyłączył się do Fenrira — Sigyn — i poczuł jak po jego ramieniu wspina się Tip. Mijając go tylko krótko warknęła w pozdrowieniu, odgłos ten po chwili zamarł, gdy jej szczęki zamknęły się na Gernie.

Chmura pyłu nieco się rozwiała, i reflektory znowu mogły rozświetlić scenerię. Nie były już oślepiająco białe, ale przebijały przez czerwono-czarny atrament z drzewa włóczniowego, jako krwistoczerwona poświata. Jedna z wieżyczek reflektorów zamknęła się, i chwilę później otworzyła z powrotem, szkło zostało wytarte do czysta. Długie łuki natychmiast zmieniły jej światło w czerwoną poświatę.

Wystrzał z jednej z wieżyczek blasterów, przeorał ziemię, wycinając przez walczący tłum ścieżkę śmierci. Natychmiast zniknął, kiedy w świetle jego rozbłysku, dowódca Gern dostrzegł, że wojownicy z Ragnarok są tak wymieszani z żołnierzami Gernów, że wystrzał zabił więcej Gernów, niż ludzi z Ragnarok.

Do tej pory walka stała się tak zwarta, że lepiej nadawały się do niej noże, niż kusze. Gernowie padali jak zżęte zboże, byli za wolni i za bardzo niezgrabni, by skutecznie użyć przeciwko szybszym ludziom z Ragnarok swoich bagnetów, a kiedy próbowali użyć blasterów i miotaczy płomieni, zabijali równie wielu swoich towarzyszy, co ludzi. Gdzieś z

tyłu przez zgiełk bitwy, przebiły się rozkazy oficera Gern, wykrzykiwane wysokim piskliwym głosem:

– Z powrotem na statek… zostawić tubylców blasterom okrętowym!

Wtedy pojawiły się jednorożce, odcinając im drogę odwrotu.

Z grzmotem kopyt nadbiegło dwadzieścia jednorożców ze wschodu i dwadzieścia z zachodu. Piszczały i skrzeczały z żądzy krwi, poprzedzane nadpływającą czarną falą szperaczy. Uderzyły na Gernów. Szperacze wycinały w szeregach Gernów szerokie ścieżki, a jednorożce szarżowały za nimi, tratując ich, rozdzierając na strzępy rogami, wbijając w ziemię kopytami, dając upust wściekłości, zbierającej się w nich przez lata niewoli. Na grzbiecie każdego z nich siedział jeździec, którego długa włócznia błyskała, dźgając w gardła i brzuchy Gernów.

Odwrót Gernów został powstrzymany i przekształcił się jedną wielką kotłowaninę. Humbolt poprowadził swoje grupy do ostatecznego ataku, we wcześniej przećwiczonej formacji klina, i przeciął siły Gernów, rozdzielając je na dwie części.

Statek nagle znalazł się tuż przed nimi.

Wydał ostatni rozkaz Lake'owi i Craigowi:

– *Teraz*… do statku!

Złapał blaster wiszący u pasa jakiegoś leżącego Gerna i sam skoczył w stronę wejścia. Oficer Gern dopadł przed nim do śluzy, spoglądając do tyłu bladą i przerażoną twarzą i wyciągając rękę w stronę przycisku zamykającego. Strzelił do niego i ruszył do góry rampą, w tej samej chwili kiedy ciało oficera potoczyło się po niej na dół.

Gdzieś z tyłu zahuczał tętent kopyt jednorożców, i za jego plecami przemknęło dwadzieścia zwierząt. Ich jeźdźcy zeskakiwali w biegu z grzbietów, prosto na rampę. Dwudziestu ludzi i piętnaście szperaczy puściło się po rampie do góry, a w gdzieś wewnątrz statku zawyła syrena alarmowa. W tej samej chwili wrota śluzy powietrznej zaczęły się szybko zasuwać, uruchomione ze sterówki.

Humbolt pierwszy wpadł przez nie do środka, z Fenrirem i Sigyn u boku. W ostatniej chwili prześlizgnęli się pod nimi Lake i Craig razem z sześcioma ludźmi i czterema szperaczami. Potem wrota śluzy zatrzasnęły się i zostali uwięzieni wewnątrz statku.

Do wycia syreny swoje wrzaski dodały dzwonki i buczki alarmowe, i rozliczne szyby między pokładami statku, zmieniły się w wirowisko wind pełnych żołnierzy Gern, zjeżdżających, żeby zabić złapanych w pułapkę wewnątrz statku ludzi.

Przebiegli obok szybów wind, nie zatrzymując się, leciutcy i szybcy w warunkach sztucznej grawitacji, której siła wynosiła zaledwie dwie trzecie tego, co na Ragnarok. Rozdzielili się, tak jak to planowali przez długi czas. Trzech mężczyzn i cztery szperacze ruszyło z Charleyem Craigiem, aby spróbować opanować maszynownię. Lake i trzech pozostałych ludzi poszli z Humboltem, aby spróbować zająć sterówkę.

Znaleźli klatkę schodową dla służb technicznych i zaczęli wchodzić do góry. Fenrir i Sigyn z niecierpliwością napierały im na nogi.

Na poziomie sterówki nie było żadnych przeszkód, i pobiegli krótkim korytarzem, zgodnie z informacjami na mapach. Skręcili w lewo w korytarz, na którego końcu znajdowała się sterówka, i wpadli w skoncentrowany ogień dziewięciu czekających na nich Gernów.

Fenrir i Sigyn skoczyły na Gernów, poniżej ich linii ognia, zanim tamci zdążyli opuścić lufy swoich blasterów. Atak był tak gwałtowny i nieoczekiwany, że to co byłoby dla ludzi z pewnością śmiertelną pułapką, nagle stało się sporą szansą na zwycięstwo.

Korytarz zmienił się w piekło smug wystrzałów z blasterów, skwierczących i syczących, kiedy trafiały w siebie nawzajem i krzyżowały się w powietrzu, wyrywających ze ścian z głośnym trzaskiem drobinki i skrawki metalu, i przebijających ciała z odgłosem miękkich plaśnięć. Wszystko skończyło się już po kilku sekundach, wraz z padającym ostatnim

Gernem. U jego boku pozostał tylko jeden człowiek, jasnowłosy i niesamowicie opanowany Lake.

Thomsen i Barber leżeli martwi, a Billy West opierał się plecami o ścianę, z dziurą od blastera w brzuchu, próbując coś powiedzieć i ześlizgując się na podłogę, zanim udało mu się wypowiedzieć choćby słowo.

Na podłodze leżała również Sigyn, z rany na jej piersi buchała krew, a nad nią stał wodzący we wszystkie strony głową, w poszukiwaniu jeszcze żywych Gernów, Fenrir, z którego gardła dobywał się, przechodzący w rozwścieczony ryk, warkot.

Humbolt i Lake pobiegli dalej, z wściekłym Fenrirem u boku. Wpadli do sterówki statku.

W środku stało sześciu oficerów, jeden z nich nosił mundur komandora. Przez chwilę wpatrywali się w nich ze zdumieniem w oczach, a potem zaczęli unosić w górę swoje blastery. Robili to jednak w sposób, który Humboltowi wydał się dziwnie powolny. Rozwścieczony Fenrir zabił dwóch z nich, a blastery Lake'a i jego własny zabiły kolejnych trzech.

Dowódca nagle pozostał sam, trzymając na wpół uniesiony blaster. Fenrir rzucił mu się do gardła, a Humbolt rzucił szybkie polecenie:

– *Rozbrój*!

Szperacze były uczone takich rzeczy, podczas treningu jaki przechodziły, i zęby Fenrira szczęknęły tylko tuż koło gardła komandora, podczas gdy jego łapa odrzuciła blaster, tak mocno, że obracając się przeleciał przez całe pomieszczenie.

Komandor wpatrywał się w nich swoją opaloną ciemnoszarą twarzą, z otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Jak… jak wy to zrobiliście? – spytał w mocno akcentowanym terrańskim. – Jest was tylko dwóch…

– Masz nie odzywać się niepytany – polecił mu Lake.

„Jest was tylko dwóch…". Wydawało się, że ta myśl się przywróciła mu odwagę, podobnie jak wcześniej tego wieczora, widok statku przywrócił ją Narthowi, i w tonie jego głosu pojawiła się groźba.

– Jest was tylko dwóch, a zaraz będą tutaj kolejni strażnicy. Zabiją was w minutę. Poddajcie się mnie, a ja pozwolę wam odejść wolno…

Lake plasnął mu w usta uderzeniem z backhandu, które odrzuciło mu głowę do tyłu i rozbiło wargi.

– Masz się nie odzywać – polecił mu ponownie. – A przed wszystkim masz przestać łgać.

Dowódca wypluł wybity ząb i przycisnął dłoń do krwawiących ust. Nie odezwał się już ani słowem.

Tip i Frackles mocno przywarły mu do ramienia i do siebie nawzajem, szaleńcze bicie ich serc przypominało wibrację. Humbolt dotknął ich uspokajająco.

– Teraz już w porządku. Teraz już zupełnie bezpiecznie – powiedział do nich.

Wywołał Charleya Craiga.

– Charley… wykonałeś zadanie?

– Zajęliśmy maszynownię. Dwóch z nas i szperacz – odparł Charley. – O co z tobą?

– Norman i ja opanowaliśmy sterówkę. Wyłącz im silniki, żeby nas zabezpieczyć. Dam ci znać zaraz, jak tylko zajmiemy cały statek.

Podszedł do ekranu wizyjnego i zobaczył, że bitwa już się skończyła. Chiara pozwolił na ponowne zapalenie reflektorów i właśnie przy pomocy szperaczy, odganiano jednorożce od poddających się Gernów.

– Chyba wygraliśmy – powiedział do Lake'a.

Humbolt nie miał jednak poczucia zwycięstwa, niczego w rodzaju uniesienia, które, jak myślał, powinno go opanować. Na zewnątrz, w obcym korytarzu, umierała samotnie Sigyn. Sigyn, która opiekowała się nim i walczyła u jego boku, i dla niego oddała swoje życie…

– Idę zobaczyć Sigyn – powiedział do Lake'a.

Fenrir poszedł razem z nim. Ciągle jeszcze żyła, czekając aż wrócą do niej. Kiedy badał ranę, uniosła łeb i dotknęła jego ręki językiem.

Nie była śmiertelna… nie musiała być śmiertelna. Zaczął działać szybko, łagodnie, tamując krwawienie, które wysysało z niej życie. Przez całe tygodnie będzie musiała spokojnie leżeć, ale mimo wszystko powinna wyzdrowieć.

Kiedy już skończył, przycisnął jej głowę do podłogi, i powiedział:

– Leż spokojnie, moja malutka Sigyn. Przyjdę do ciebie, żeby cię zabrać. Poczekaj na nas. Fenrir zostanie tutaj z tobą.

Posłuchała go, i zostawił ich, odchodząc z uczuciem uniesienia i tryumfu, które wtedy zaczęło w pełni do niego docierać.

Kiedy wszedł do sterówki, Lake spojrzał na niego pytającym wzrokiem. Humbolt powiedział mu:

– Będzie żyć.

Potem zwrócił się do dowódcy Gern.

– Po pierwsze, chcę wiedzieć jak wygląda sytuacja na wojnie.

– Ja… – komandor z niepewnością spojrzał na Lake'a.

– Po prostu powiedz prawdę – odparł Lake. – Niezależnie od tego, czy wydaje ci się, że to nam się spodoba, czy nie.

– Zajęliśmy wszystkie planety, poza samą Ziemią – poinformował ich dowódca. – Wkrótce ją też zajmiemy.

– A co z Terranami na Atenie?

– Nadal tam są… pracują tam dla nas.

– A teraz – polecił mu Humbolt, – rozkażesz wszystkim Gernom znajdującym się na tym okręcie, aby poszli do swoich kwater. Polecisz im, żeby zostawili całą posiadaną broń, przed drzwiami na korytarzu, i żeby nie stawiali oporu ludziom, którzy przyjdą, żeby przejąć kontrolę nad statkiem.

Dowódca usiłował odpowiedzieć wyzwaniem.

– A co, jeżeli odmówię?

Lake odpowiedział, uśmiechając się do niego nieprzyjemnie, wyszczerzając krótko zęby, z dzikim zapałem w oczach.

– Jeżeli odmówisz, to rozpocznę od twoich palców, a potem połamię ci wszystkie kości rąk. Jeżeli to jeszcze nie wystarczy, to przejdę do palców twoich nóg, i dojdę aż do bioder. A na koniec połamię ci kręgosłup.

Komandor zawahał się, a pot pokrył mu cienką warstwą twarz. Popatrzył na nich. Potem wyciągnął rękę, żeby włączyć ogólny komunikator i zaczął do niego mówić.

– Uwaga, cały personel. Rozkazuję natychmiastowy powrót do miejsca zakwaterowania. Proszę pozostawić posiadaną broń na korytarzu. Rozkazuję nie stawiać oporu, kiedy nadejdą tubylcy…

Kiedy skończył, zapanowała cisza, a Humbolt i Lake stali, spoglądając na siebie nawzajem, brodaci, ubrani w zwierzęce skóry, ale w końcu stojący w sterówce statku kosmicznego należącego do nich. W statku, który może zawieźć ich na Atenę, na Ziemię, na najdalsze krańce galaktyki.

Komandor obserwował ich, z pustą twarzą, ciągle nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

– Śluzy powietrzne… – powiedział w końcu. – Nie udało nam się zamknąć ich na czas. Nigdy byśmy nawet nie pomyśleli, że ośmielicie się podjąć próbę przejęcia okrętu… nie jakieś tam dzikusy w zwierzęcych skórach.

– Wiem – odpowiedział mu Humbolt. – Liczyliśmy na to, że tak właśnie będziecie myśleli.

– Nie spodziewaliśmy się, że ktokolwiek z was mógł tutaj przeżyć. – Dowódca otarł pot spływający mu na wargi, skrzywił się lekko, a w jego głosie pojawiło się niemal dziecinne rozdrażnienie. – Przecież nie mieliście przeżyć.

– Wiem – ponownie odparł Humbolt. – Przyjęliśmy sobie za punkt honoru, żeby o tym pamiętać.

– Grawitacja, gorąco, zimno, choroby, zwierzęta… dlaczego te wszystkie rzeczy was nie zabiły?

– Och, próbowały – powiedział Humbolt. – Ale pokonaliśmy je. I mieliśmy swój cel — ponownie spotkać się z wami, Gernami. Pozostawiliście nas na planecie, która była kompletnie pozbawiona jakichkolwiek zasobów. Nie brak było na niej tylko wrogów, którzy nas zabijali… grawitacji, szperaczy, jednorożców. A więc, to z nich uczyniliśmy nasze zasoby. Zaadaptowaliśmy się do siły przyciągania, która w zamiarze miała nas zabić, a w efekcie uczyniła nas silniejszymi i szybszymi niż Gernowie. Uczyniliśmy naszymi sojusznikami szperacze i jednorożce, które miały być naszymi katami, a my użyliśmy ich dzisiejszego wieczora do zabijania Gernów. I tak teraz mamy w ręku twój statek.

– Tak… macie w ręku nasz statek. – Na twarzy komandora, przez niedowierzanie i rozdrażnienie, zaczął przebijać tryumfalny wyraz mściwego przewidywania. – Dzikusy z Ragnarok zdobyły krążownik Gern… Ale do czego może on im się przydać?

– Do czego może on nam się przydać? – spytał go Humbolt, niemal uprzejmym tonem. – Od dwustu lat planowaliśmy, co możemy zrobić przy jego pomocy. Mamy krążownik, a za sześćdziesiąt dni od dzisiaj, będziemy mieli Atenę. A to będzie dopiero początek, a wy Gernowie pomożecie nam tego wszystkiego dokonać.

Przez sześć dni na statku panowała nieustanna krzątanina. Ludzie mrowili się w jego wnętrzu, zadając pytania oficerom i marynarzom Gern, i spokojnie łamiąc kości tym, którzy albo odmawiali odpowiedzi, albo udzielali odpowiedzi nieprawdziwych. Po korytarzach krążyły szperacze, a ich żółte oczy obserwowały każdy ruch, jaki wykonywali Gernowie. Małe kpiarze włóczyły się swobodnie po całym okręcie, nie będąc w stanie już dłużej powstrzymywać swojej ciekawości, a pewne tego że ludzie i szperacze nie pozwolą Gernom ich skrzywdzić.

W tym czasie został zabity jeden z kpiarzy, kpiarz o poznaczonym plamkami pyszczku, który potrafił powtarzać dosłownie usłyszane wiadomości. Zawędrował do małego składziku, w którym samotnie pracował jeden z Gernów, dając mu sposobność do bezpiecznego wyrażenia swojej nienawiści do wszystkiego, co było związane z Ragnarok. Przetrącił mu grzbiet stalowym kołkiem i wrzucił go, piszczącego rozdzierająco, do włazu zsypu, który prowadził do konwertera materii. Jego piski usłyszał szperacz, i chwilę później zaczął piszczeć i wrzeszczeć Gern. Jego krzyki ucichły dopiero kiedy szperacz rozerwał mu gardło. Żaden z kpiarzy nie doznał już więcej najmniejszej krzywdy.

Zginął również jeden z chłopców z Ragnarok. Trzech fanatycznie nastawionych oficerów Gern ukradło z noże z kuchni okrętowej, i wzięło chłopca jako zakładnika, żądając wolności. Kiedy odmówiono spełnienia ich żądań, wycięli mu serce. Lake w kilka minut później zapędził ich w ślepą uliczkę, i nie dotykając nawet blastera, wypatroszył ich własnymi nożami. Stojąc nad nimi, kiedy zwijali się i jęczeli na podłodze, uśmiechał się szeroko. Zanim umarli, wszyscy pozostali Gernowie na statku przez długi czas musieli słuchać ich jęków. Żadnemu z ludzi nigdy już nie stała się krzywda.

Szybko odkryli, że obsługa krążownika była dosyć prosta, generalnie podobna do obsługi statków terrańskich, opisanych w podręcznikach napisanych przez oryginalnego Lake'a. Większość operacji wykonywane było przez roboty i mechanizmy, a działania ręczne, dostosowane do wolniejszego refleksu Gernów, dla nich były łatwe do opanowania.

Na dalszą naukę i ćwiczenia mogli poświęcić czterdzieści dni podróży na Atenę, tak więc szóstego dnia po zdobyciu statku, przygotowani byli już do odlotu. Jednorożcom zwrócona została wolność, o którą tak długo i z takim uporem walczyły, a w ich miejsce wypożyczono pojazdy zwiadowcze ze statku. W późniejszym okresie, z Ateny miały zostać przywiezione na statkach transportowych maszyny i najróżniejszego rodzaju zapasy.

Czasu zostało już niewiele, a przed nimi było jeszcze całe mnóstwo pracy. Siódmego dnia rano, wystartowali z Ragnarok i wypuścili się na czarne morze hiperprzestrzeni.

W tym, czasie, dowódca Gernów przestał już stanowić dla nich jakąkolwiek wartość. Nie był w stanie pogodzić się z tym, że dzikusy mogły przejąć jego statek, co spowodowało narastającą psychozę. W końcu jego kabina zmieniła się w mostek statku, i spędzał w niej całe godziny śmiejąc się i chichocząc przed wyimaginowanymi ekranami wizyjnymi, na których blastery krążownika na okrągło nieustannie niszczyły miasteczko na Ragnarok, wraz ze wszystkimi znajdującymi się ludźmi.

Ale Narth, ten sam oficer, który chciał ich zamęczyć na śmierć, za to że ośmielili się przeciwstawiać swojemu schwytaniu, okazał się być bardzo pomocny. Szczególnie gorliwie współpracował z nimi w sterowni. Dwudziestego dnia podróży, pozwolili mu zrealizować to, co próbował osiągnąć dzięki temu wybiegowi: dali mu dostęp do nadajnika, kiedy w zasięgu słuchu nie było żadnego z ludzi.

Po tym wydarzeniu jego stosunek do ludzi gwałtownie się zmienił. Każdego dnia coraz bardziej widoczna stawała się jego nienawiść do nich i potajemna radość z ich przewidywanego losu.

Kidy nadszedł trzydziesty piąty dzień podróży, do Ateny pozostało już jedynie pięć dni. Do dnia egzekucji, którą pozwolili mu dla nich przygotować.

Międzywymiarowy ekran widokowy wypełniały gwiazdy, ze słońcem układu Ateny pośrodku. Humbolt wpatrywał się w przestrzeń kosmiczną po lewej stronie, u dołu ekranu, gdzie od czasu do czasu coś migało. Mała czerwona kropka, która znikła już po niecałej mikrosekundzie, tak szybko że siedzący w fotelu obok niego Narth, niczego nie dostrzegł,

To był króciutki błysk wykrytego innego statku. Niewidocznego statku, lecącego z postawionymi ekranami antydetektorowymi, które jednak musiał na chwilę opuścić, aby sprawdzić pozycję krążownika. Nikt, nawet Gernowie nie byli w stanie wynaleźć spolaryzowanego ekranu antydetektorowego.

Zmienił kurs i szybkość krążownika, powodując wzrost siły ciążenia, który jemu wydawał się raczej niewielki, ale Nartha ciężko wcisnął w jego fotel. Gern wyprostował się, a Humbolt oznajmił mu chłodno:

– Za kilka minut zajmiemy się tym statkiem, który wezwałeś.

Narth otworzył zaskoczony usta, szybko jednak przyszedł do siebie.

– A więc szpiegowaliście mnie?

– Jeden z naszych sojuszników z Ragnarok to robił — małe zwierzątko siedzące w pobliżu nadajnika. Służą nam jako środek komunikacji. Dowiedzieliśmy się, że zorganizowałeś statek, który w drodze na Atenę ma przeciąć nasz kurs i nas przechwycić.

– A więc, wiecie? – spytał Narth. Uśmiechnął się, robiąc nieprzyjemny grymas, wykrzywiający mu twarz. – Czy myślisz, że wiedza o tym, w czymkolwiek wam pomoże?

– Wydaje mi się, że tak – odparł Humbolt.

– To jest okręt liniowy – oznajmił North. – Jest trzy razy większy niż ten krążownik. To najnowszy i najpotężniejszy okręt liniowy w całej flocie Gern. No i co teraz powiecie?

– Brzmi całkiem nieźle – odparł Humbolt. – Zrobimy z niego nasz okręt flagowy.

– Wasz okręt flagowy… wasz okręt flagowy! – Ostatnie ślady pozorów opadły z twarzy Northa i pozwolił na to, aby jątrząca go nienawiść ujrzała światło dzienne. – Zdobyliście ten

krążownik podstępem i nauczyliście się jak go obsługiwać, głównie dzięki waszemu nienormalnemu, zwierzęcemu refleksowi. Przez czterdzieści dwa dni, wy przypadkowi mutanci, wydawaliście rozkazy lepszym od siebie i myśleliście, że jesteście nam równi. Teraz jednak wasz małpi raj, nieuchronnie zmierza ku końcowi.

Czerwona kropka pojawiła się ponownie, nieco bliżej, i Humbolt jeszcze raz zmienił kurs statku. Odwrócił się w stronę analizatora kursu, który właśnie kliknął i obecna pozycja okrętu liniowego została skorelowana z miejscem w którym pojawił się poprzednio. Na ekranie pojawiła się krótka żółta kreseczka, prognoza jego kursu w najbliższej przyszłości.

– I co wtedy? – spytał z ciekawością w głosie, odwracając się z powrotem w stronę Nartha.

– I wtedy, ci wszyscy z was, którzy przeżyją, zostaną odtransportowani do tej waszej wioski. Filmy z tego co z wami zrobimy, zostaną przetransmitowane na wszystkie planety zajmowane przez Gern. To będzie wartościowa nauczka dla wszystkich, którzy zapominają o karze za opór Gernom.

Czerwona kropka pojawiła się ponownie. Humbolt nacisnął przycisk STANOWISKA BOJOWE i w odpowiedzi na pulpicie pokazał się rząd światełek wskaźników GOTOWE.

– Wszyscy inni Gernowie są już w kojach antyprzeciążeniowych – powiedział potem do Nartha. – Przypnij się pasami i przygotuj na manewry przy dużych przeciążeniach. Za dwie minuty nawiążemy kontakt bojowy z okrętem liniowym.

Narth wykonał jego polecenie, robiąc to ostentacyjnie powoli, tak jakby nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Nie będzie żadnych manewrów. Natychmiast po rozpoczęciu ataku, strzelą w rufę krążownika i zniszczą wasz napęd.

Zapiął ostatni pas pogardliwie się uśmiechając, w drwinie z tych środków bezpieczeństwa i wykrzywiając się z powodu powodowanej przez nie niewygody.

– Pojawienie się tego okrętu liniowego nieco rozbiło wasze plany, dumnego wkroczenia pomiędzy niewolników na Atenie, jako zwycięzcy bohaterowie, co?

– Niezupełnie – odparł Humbolt. – Jeżeli chodzi o zakres naszych planów, to są one nieco szersze od tego. Na Atenie są dwa nowe krążowniki, gotowe za kilka dni do opuszczenia stoczniowych warsztatów. Oczywiście, przekażemy kontrolę nad Ateną przebywającym tam ludziom, a potem polecimy trzema krążownikami i okrętem liniowym z powrotem na Ragnarok. Tam weźmiemy na pokład każdego mężczyznę jaki pozostał na Ragnarok, i nie jest za młody ani za stary do walki, i polecimy na Ziemię. Po drodze wszyscy przejdą szkolenia z obsługi okrętów. Nie spodziewamy się jakichś większych kłopotów, podczas przełamywania szeregów Gern wokół Ziemi. Mając do pomocy ziemskie statki, bez trudu zdobędziemy wszystkie okręty Gern znajdujące się w Układzie Słonecznym.

– Bez trudu! – Narth podkreślił pogardliwy i szyderczy wydźwięk tych słów. – Czy naprawdę jesteś aż taki głupi, żeby sobie pomyśleć, że takie wybryki natury jak wy, mogłyby się równać z oficerami Gern, którzy zrobili karierę na prowadzeniu wojny w kosmosie?

– Dalece ich przewyższamy – stwierdził Humbolt. – Bitwa w kosmosie polega na próbie utrzymania promieni swoich blasterów w jednym punkcie okrętu wroga, na tyle długo by przebić się w tym punkcie przez jego osłony antyblasterowe. A w tym samym czasie trzeba próbować przesuwać się i manewrować na tyle szybko, by okręt wroga nie zrobił tego samego tobie. Statki potrafią osiągać przyśpieszenia aż do pięćdziesięciu g, a nawet więcej, ale posiadają ograniczniki przyśpieszenia, których zadaniem jest stworzenie gwarancji, że statek nie osiągnie tak dużego przyspieszenia, albo nie wykona takiej nagłej zmiany kierunku lotu, które spowodowałyby śmierć załogi.

– My, z Ragnarok – kontynuował Humbolt, – przyzwyczajeni jesteśmy do półtora razy większej siły przyciągania, a więc możemy wytrzymać dużo większe przyśpieszenia niż Gernowie, czy też jakakolwiek inna rasa z planety o normalnej grawitacji. Dzięki temu

możemy wykorzystać przewagę, wynikającą z tego, że na tym statku ogranicznik przyśpieszenia został wyłączony.

– *Wyłączony*? – pogardliwe zainteresowanie Nartha zniknęło natychmiast w fali szaleńczej konsternacji. – Ty głupcze… nie zdajesz sobie sprawy, co to oznacza… *wystarczy że przesuniesz dźwignię przyśpieszenia odrobinę za daleko, i zabijesz nas wszystkich*!

Czerwona kropka zamrugała na ekranie, zadrżała i nagle stała się gigantycznym okrętem liniowym w pełnej krasie. Humbolt dotknął dźwigni przyśpieszenia i kolejne słowa Nartha zostały ucięte przez skurcz przepony. Zwinął krążownik w skręcie po ciasnej krzywej i Narthem rzuciło na bok, tak że pasy mocno wpiły mu się w ciało, a przyśpieszenie rozciągnęło mu mięśnie twarzy na boki. Oczy, mu niemal wyskoczyły z czaszki, i zrobiły się puste. Stracił przytomność.

Na burcie okrętu liniowego, rozkwitły jak rząd bladoniebieskich kwiatów, promienie jego potężnych blasterów, koncentrując swój ogień na rufie krążownika. Kiedy zaczęły przebijać się przez ich osłony, rozwyła się syrena ostrzegawcza. Humbolt podniósł ekran antydetektorowy, który powinien zabezpieczyć krążownik przed obserwacją, ale nie mógł osłonić go przed promieniami blasterów, i zacieśnił promień skrętu tak bardzo, że grawitacja zwaliła się ciężarem nawet na jego ciało.

Syrena ostrzegawcza umilkła, kiedy promienie blasterów okrętu liniowego ześlizgnęły się nieszkodliwie w przestrzeń kosmiczną, podążając ciągle za najbardziej prawdopodobnym kursem krążownika, wykreślonym na okręcie liniowym na podstawie jego ostatnio zaobserwowanej pozycji i kursu otrzymanego ze zrobotyzowanych układów śledzenia celu.

Opuścił ekran antydetektorowy, stwierdzając, że okręt liniowy znajduje się niemal dokładnie w miejscu, w którym analizatory kursu krążownika przewidywały że będzie. Blastery okrętu liniowego z pełną siłą ognia koncentrowały swoje promienie w obszarze z tyłu i po boku krążownika.

Po pojawieniu się krążownika na nowej pozycji, blastery zamrugały i ponownie zapłonęły, zmierzając w kierunku jego rufy. Opuścił ekran antydetektorowy i zwinął krążownik w kolejnym skręcie, lecąc po spirali w przeciwnym kierunku. Tak jak poprzednio wycie syreny ostrzegawczej urwało się natychmiast, ponieważ blastery okrętu liniowego podążały za kursem wytyczonym dla nich przez analizatory kursu i układy śledzenia celu, skonstruowane przy założeniu, że wszystkie wrogie statki wyposażone są w ograniczniki przyśpieszenia.

Krążownik mógłby zniszczyć okręt liniowy w każdej chwili, ale chcieli zdobyć swój statek flagowy nieuszkodzony. Dalej więc kontynuowali prowadzone manewry, z każdą chwilą przesuwając krążownik coraz bliżej okrętu liniowego. Okręt liniowy, w desperacji, zaczął wykorzystywać tę samą technikę skryj się i odskocz, z której korzystał krążownik, ale przyniosło to niewielki pożytek — okręt liniowy poruszał się w granicach znanych przedziałów przyśpieszenia, i analizatory kursu krążownika przewidywały jego każdą nową pozycję, z dostatecznie dużą dokładnością.

Krążownik wykonał ostateczny ruch po zacieśniającej się spirali, jego ekran antydetektorowy zamigotał włączony i wyłączony. Uderzył w okręt liniowy ze ściśle wyliczoną szybkością, a następnie rozległ się huk i brzęk metalu, kiedy uchwyty magnetyczne przyssały krążownik do burty okrętu liniowego, jak pijawkę.

W tym miejscu, ani dziobowe ani rufowe blastery okrętu liniowego nie mogły go dosięgnąć. Pozostało jedynie przekonać dowódcę okrętu liniowego, że dalszy opór jest daremny.

Humbolt zrobił to, przekazując dowódcy Gern proste ultimatum:

– Ten krążownik został pewnie umocowany do waszego statku, a jego ograniczniki przyśpieszenia zostały wyłączone. Nasze silniki mają wystarczającą moc, by wyrzucić oba statki do przodu, z dużo większym przyśpieszeniem, niż byłyby w stanie wytrzymać osoby

pochodzące z planet o sile przyciągania jeden. Albo natychmiast się poddacie, albo będziemy zmuszeni do skierowania obu naszych statków w skręt o tak małym promieniu, że większość z was zostanie zabita na skutek zbyt silnego przeciążenia.

Potem dodał jeszcze:

– Jeżeli się poddacie, postąpimy z wami znacznie lepiej, niż wy postąpiliście z ludźmi, dwieście lat temu. Odwieziemy wszystkich z was na Atenę.

Dowódca, który już zaczynał chorować z powodu przeciążenia, które nie miało żadnego znaczenia dla ludzi z Ragnarok, nie miał żadnego wyboru.

Wkrótce nadeszła jego odpowiedź, nieco zduszona z powodu problemów z przeciążeniem i dużo większych problemów z przyznaniem się do porażki.

– Poddajemy się.

Narth odzyskał przytomność. Zobaczył, że Humbolt siedzi przed nim, tak samo jak przedtem, że w sterówce nie widać tłumu ratujących go Gernów, wykrzykujących polecenia i wymachujących wyciągniętymi blasterami.

– Gdzie oni są? – spytał Humbolta. – Gdzie jest okręt liniowy?

– Zajęliśmy go – odparł Humbolt.

– Zajęliście… okręt liniowy Gern?

– To nie było specjalnie trudne – wyjaśnił Humbolt. – Byłoby jeszcze łatwiejsze, gdybyśmy na krążowniku mieli tylko ludzi z Ragnarok. Z powodu znajdujących się na pokładzie Gernów, nie chcieliśmy przyspieszać w stopniu powodującym silniejsze przeciążenia, niż było to absolutnie konieczne.

– Naprawdę to zrobiliście… zdobyliście okręt liniowy – powiedział Narth, a jego głos brzmiał, jakby nadal był nie do końca przytomny.

Zwilżył wargi językiem, wpatrując się przed siebie, zastanawiając się nad nieprzyjemnymi implikacjami powstałej sytuacji.

– Jesteście wybrykami natury, dziwacznymi mutantami, którym udało się zdobyć okręt liniowy. Być może uda się wam nawet odebrać nam Atenę i Ziemię. Ale… – Wyraz nienawiści powrócił na jego twarz. – Co wam to wszystko da? Czy kiedykolwiek o tym myśleliście?

– Tak – powiedział Humbolt. – Myśleliśmy o tym.

– Czy aby na pewno? – Narth pochylił się do przodu, a jego twarz jaśniała złośliwą satysfakcją. – Nigdy nie uda wam się uniknąć konsekwencji tego co zrobiliście. Imperium Gern dysponuje zasobami dziesiątków planet. Imperium zbuduje flotę specjalnych statków, siłę wobec której wasze możliwości będą zupełnie niczym, i wyśle ją na Atenę, Ziemię i Ragnarok. Imperium zmiażdży was za to, co zrobiliście, i te żałosne niedobitki które pozostaną z waszej rasy, przez setki następnych pokoleń będą się kulić ze strachu przed Gernami. Radzę wam o tym pamiętać, kiedy będziecie dumnie kroczyć w godzinie waszej drobnej chwały, na Atenie i Ziemi.

– Upierasz się przy swojej koncepcji, że będziemy działać tak samo, jak zrobiliby to Gernowie – zauważył Humbolt. – Nie mamy zamiaru marnować czasu na jakieś dumne kroczenie. Kiedy zakończymy sprawy na Ziemi, będziemy mieli już całkiem sporą flotę i natychmiast wyruszymy aby uderzyć na home fleet Gern. Myślałem, że domyślasz się, że mamy zamiar tak to rozegrać. Będziemy zdobywać kolejne okręty, osłabiając waszą flotę, a następnie chcemy zniszczyć wasze imperium.

– Zniszczyć Imperium… *od razu*? – Narth ponownie zaczął wpatrywać się w niego, a cała jego satysfakcja uleciała, kiedy wreszcie zrozumiał, że oznacza to szybki i nieuchronny koniec. – Od razu… zanim będziemy mogli was powstrzymać… zanim będziemy mieli na to szansę?

– Kiedy jakaś rasa zostaje przez inną skazana na śmierć, i musi walczyć, zmagać się w bólu i cierpieniu, i w końcu jakoś udaje jej się przetrwać, to wyciąga z tego odpowiednią nauczkę. Uświadamia sobie, że nigdy więcej nie może pozwolić tej drugiej rasie, aby znalazła się w położeniu, pozwalającym na to żeby mogła ją zniszczyć. To co się dzieje, jest pokłosiem tego co zasialiście na Ragnarok dwieście lat temu.

– Rozumiesz to chyba? – dodał Humbolt, niemal łagodnym tonem. – Przez dwieście lat Imperium Gern było zagrożeniem dla naszego przetrwania, jako rasy. Teraz nadszedł w końcu czas, na to abyśmy je usunęli.

Humbolt stał w sterówce okrętu liniowego i obserwował na ekranie wizyjnym słońce Ateny, płonące jak biała, rozżarzona pochodnia. Sigyn, która wyzdrowiała już w pełni, wyciągnęła się obok niego na podłodze, wykrzywiając się i cicho powarkując we śnie, w którym ponownie walczyła w bitwie z Gernami. Fenrir krążył dookoła pomieszczenia, kołysząc niespokojnie swoim czarnym masywnym łbem, podczas gdy Tip i Freckles badały z fascynacją i ciekawością kolekcję jasno świecących medali, które zostały wyciągnięte z biurka dowódcy Gern.

Lake i Craig, równie niecierpliwi jak Fenrir, pozostawili swoje stanowiska i przyszli do sterówki, aby razem z nim obserwować ekran.

– Jeszcze jeden dzień – powiedział Craig. – Jesteśmy spóźnieni dwieście lat, ale w końcu przybyliśmy na planetę, która miała być naszym domem.

– Teraz, to może nigdy się nie zrealizować – zauważył Humbolt. – Czy ktoś z was może się nad tym zastanawiał… różnimy się od ludzi, i być może żadnej ludzkiej planety nie będziemy mogli nazwać swoim domem?

– Ja o tym myślałem – odparł Lake. – Ragnarok odmieniła nas fizycznie i zmieniła nasz sposób myślenia. Będziemy mogli żyć na ludzkich planetach… ale zawsze już będziemy odrębną rasą, i tak naprawdę nigdy nie będziemy należeli do tych miejsc.

– Przypuszczam, że wszyscy o tym dużo rozmyślali – stwierdził Craig. – I zastanawiali się co będziemy robić w przyszłości, kiedy już skończymy z Gernami. Nie osiedlimy się przecież na Atenie albo na Ziemi, w małym domku otoczonym dookoła ogródkiem i trawnikiem, gdzie jedyną przygodą byłoby oglądanie programów Trzy-D, po kolejnym dniu jakiejś bezpiecznej, rutynowej pracy.

– Nie ma też powrotu na Ragnarok – wtórował mu Lake. – Mając zapewnione dostawy surowców i pozostałych zapasów z innych planet, moglibyśmy zdziałać tam bardzo dużo, ale przecież bitwa jest już wygrana. Tam pozostałby nam tylko pokojowy rozwój… budowa miasta na równiku, na czas Wielkiej Zimy, niwelowanie gruntu, uprawa zbóż. Nigdy nie bylibyśmy usatysfakcjonowani, takim stylem życia.

– Nie – przyznał Humbolt, i poczuł jak jego własna niespokojna dusza skręca się w proteście na samą myśl o osiedleniu się w jakimś bezpiecznym i spokojnym otoczeniu. – Ani Atena, ani Ziemia, ani nawet Ragnarok… żadna z planet, które znamy.

– Jak długo zajmie nam wykończenie Gernów? – spytał Lake. – Dziesięć lat? Ciągle jeszcze będziemy wtedy młodzi. Dokąd się udamy potem… my wszyscy, którzy walczyliśmy z Gernami, i wszyscy ci, co w przyszłości nie będą chcieli przeżyć swojego życia na Ragnarok? Gdzie jest jakieś miejsce dla nas? Planeta, która będzie naszą własną?

– Gdzie znajdziemy sobie planetę dla nas? – powtórzył pytanie Humbolt i przyglądał się chmurom gwiazd, pełznącym na ekranie w ich kierunku, skłębionych, płonących i wspaniałych, ponad wszelkie wyobrażenie.

– Mamy całą galaktykę do poszukiwań – powiedział w końcu. Czekają na nas całe miliony gwiazd i tysiące planet. Być może spotkamy tam jeszcze inne rasy, podobne do Gernów, a być może znajdziemy również jakieś rasy, które są w sytuacji takiej jak my

byliśmy sto lat temu, i które potrzebują naszej pomocy. A może, tam w kosmosie są też planety z rzeczami, o których żadnemu człowiekowi nawet się jeszcze nie śniło.

– Wyruszymy, żeby zobaczyć jak tam jest. Nasze kobiety polecą z nami, i być może znajdziemy tam jakieś planety, na których część z nas będzie chciała pozostać. I zawsze będzie coraz więcej niespokojnych dusz, przybywających z Ragnarok. Tam w kosmosie znajdą się planety i domy dla wszystkich z nas.

– Oczywiście – powiedział Lake. – Poza kosmicznym pograniczem… gdzie indziej moglibyśmy przynależeć?

Potem, wszystko już zostało powiedziane i zapadło milczenie, podczas gdy wielki okręt płynął zanurzony w hiperprzestrzenni, z lecącym tuż obok krążownikiem, a jego silniki dudniły i jęczały, podobnie jak silniki Constellation, sto lat temu.

Wtedy podróż została przerwana, i narodziła się nowa rasa. Teraz ponownie zmierzali na Atenę, potem na Ziemię i do najdalszych granic Imperium Gern. I jeszcze dalej, w rozciągające się za nimi dzikie, nieznane regiony kosmosu.

Czekały tam na nich nowe światy, a razem z nimi czekało przeznaczenie, by stać się rasą rozproszoną na obszarze tysięcy lat świetlnych, by stać się imperium, jakiego galaktyka nigdy jeszcze nie widziała.

Oni, niespokojne duchy, niechciani i zapomniani, ocalali.

KONIEC